2/2023

Nowa Europa Wschodnia

www.new.org.pl Kwartalnik kwiecień–czerwiec 2 (84) / 2023 ISSN 1899-5543 Indeks 245534 Cena 24,90 zł (w tym 8% VAT)

Życie w piekle rosyjskiej okupacji

Roman Kabaczij | Olga Solarz

Ludobójstwo kulturowe. Akcja „Wisła”

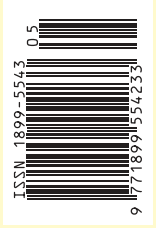
Grzegorz Motyka

Kijów versus rosyjskie dziedzictwo

Piotr Andrusieczko

BIAŁORUŚ: WIELKA CZYSTKA

Michał Potocki | Leszek Szerepka



Azja Centralna wyrywa się ze szponów Moskwy

Miłosz Szymański

704293

REKLAMA



10 artykułów

i 8 godzin słuchania

magazyn.new.org.pl

Wrocław miasto spotkań

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Co-funded by the European Union

704293

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl ea67704293

eprasa.pl ea67704293

Nowe odsłony tej samej wojny

Wojna w Ukrainie toczy się na wielu frontach. W cieniu frontu militarnego trwają ciche bitwy o rosyjską spuściznę historyczną i kulturową w Ukrainie. Rosyjscy propagandyści uważają, że Ukraińcy nie są narodem, nie posiadają swojego języka, a to co wartościowe – w obrębie literatury i kultury – stworzyli w kraju nad Dnieprem rosyjscy pisarze, kompozytorzy czy architekci. Rosyjscy politycy (z obozu władzy) posuwają się dalej i twierdzą, że Ukraina, nie posiadając odrębności kulturowej, nie ma prawa do własnej państwowości, jest ni mniej, ni więcej tylko „młodszą siostrą Rosji". Czy można się więc dziwić, że w Kijowie i innych dużych ukraińskich miastach, a nawet na prowincji, jeden za drugim padają symbole rosyjskiego kolonializmu? Z cokołów lecą sylwetki Puszkina oraz imperatorki Katarzyny II. Na drobne kawałki rozsypuje się Lew Tołstoj. Na ukraińskie zmieniają się też nazwy ulic kojarzonych ze spuścizną ZSRR (nawiązującą do wielkiej wojny ojczyźnianej, radzieckiej nauki itp.). Procesowi temu przygląda się w ukraińskiej stolicy Piotr Andrusieczko i wyczerpująco opisuje go na łamach „Nowej Europy Wschodniej". Z drugiej strony – o czym w reportażu z Charkowa donosi Stasia Budzisz – rosyjska kultura popularna wciąż jest w Ukrainie obecna. Nawet ludzie zaangażowani w walkę z rosyjskim najeźdźcą wieczorami bawią się w rytm piosenek Leningradu, rosyjskiej kapeli rockowej, która poparła wojnę w Ukrainie.

Oprócz Puszkinopadu – jak w Ukrainie mówi się o kulturowej i symbolicznej odsłonie wojny z Rosją – opisujemy sytuację wewnętrzną w Rosji, stosunki rosyjsko-chińskie (w perspektywie długoterminowej), sytuację w Azji Centralnej (która w coraz większym stopniu uniezależnia się od Moskwy), publikujemy reportaże z ukraińskiego frontu i Mołdawii. Przyglądamy się młodzieży w Armenii i Gruzji. Jakie marzenia mają przedstawiciele młodego pokolenia? Jakie wartości wyznają? Czy jedynym ratunkiem przed brakiem perspektyw, a niekiedy biedą i wojną jest dla nich emigracja z kraju? Dużo miejsca poświęcamy kulturze i literaturze. Zapraszamy do lektury.

Redakcja

eprasa.pl ea67704293

Spis treści

Rozmowa numeru

Rozmowa z Jakubem Gałęziowskim **Urodzone z powodu wojny** 7

Publicystyka i analizy

Piotr Andrusieczko **Puszkinopad, czyli jak Ukraina pozbywa się imperialnej zależności** 16
Roman Kabaczij **Południe bez ukraińskiego słońca.** 25
Rozmowa z Pawłem Pieniążkiem **Jestem świadkiem czyjegoś końca świata** 41
Rozmowa z Pawłem Kowalem **Renesans prometeizmu** 47
Kuba Benedyczak **To nie jest kraj dla młodych raperów.** 55
Przemysław Mazur **Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem. O samotności Putina i jego Rosji** 64
Michał Potocki **Starej Białorusi już nie ma.** 75
Leszek Szerepka **Wielka czystka** 80
Wojciech Wojtasiewicz **Gruzja. Czas na młodych?** 86
Jakub Osiecki **Sami nic nie zrobimy** 93
Miłosz Szymański **W autorytarną stronę** 97

Reportaż

Stasia Budzisz **Tusowka pod melodie Leningradu. Obrazek wojenny** 106
Miłosz Szymański **Bodajbo** 114
Olga Solarz **Dlatego zwyciężymy.** 131

Historia

Rozmowa z Grzegorzem Motyką **Akcja „Wisła", czyli ludobójstwo kulturowe** ... 144

Kultura

Urszula Pieczek **Zawodowa ukrainizatorka.** 154
Rozmowa z Michałem Szymko **Łemkowska sztuka to nie margines** 157
Rozmowa z Kamilą Łabno-Hajduk **Robota na kraj.** 163

eprasa.pl ea67704293

Recenzje

Jan Pisuliński **Akcja „Wisła" jako próba etnobójstwa** 169
O książce Grzegorza Motyki *Akcja Wisła '47. Komunistyczna czystka etniczna*
Łukasz Grzesiczak **Kundera liryczny**..... 172
O książce Olgi Żyminkowskiej *Milana Kundery filozoficzna koncepcja postawy lirycznej, dramatycznej i powieściopisarskiej*
Magdalena Moskal **Szukając słowackiego króla**..... 174
O książce Weroniki Gogoli *Ufo nad Bratysławą*

eprasa.pl ea67704293

Nowa Europa Wschodnia
Kwartalnik

Wydanie zostało dofinansowane
przez MIASTO WROCŁAW

Wrocław miasto spotkań

www.wroclaw.pl

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania. Redakcja ceni swobodę wypowiedzi i różnorodność opinii, dlatego teksty publikowane w „Nowej Europie Wschodniej" nie muszą być zgodne z poglądami Wydawcy ani Redakcji. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych bez zgody Wydawcy jest zabronione. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść zamieszczanych materiałów promocyjnych.

REDAKCJA
Łukasz Grzesiczak, Sonia Knapczyk, Anna Łazar, Małgorzata Nocuń (redaktorka naczelna), Urszula Pieczek, Ewa Polak, Krzysztof Popek, Sławomir Popowski, Zbigniew Rokita, Wojciech Wojtasiewicz, Kamila Zimnicka (korekta)

WSPÓŁPRACUJĄ: Piotr Andrusieczko, Kuba Benedyczak, Jan Brodowski, Kamil Całus, Maciej Falkowski, Wojciech Górecki, Iwona Kaliszewska, Piotr Kępiński, Wojciech Konończuk, Kamil Kłysiński, Tomasz Kobylański, Tomasz Kułakowski, Grzegorz Nurek, Piotr Oleksy, Piotr Pogorzelski, Witalij Portnikow, Jadwiga Rogoża, Ziemowit Szczerek, Andrzej Szeptycki, Marcin Wojciechowski

PRENUMERATA
prenumerata@new.org.pl
Informacja o prenumeracie:
www.new.org.pl

WINIETA I PROJEKT GRAFICZNY
Piotr Grzyb

SKŁAD, ŁAMANIE I OKŁADKA
Małgorzata Chyc | AT Wydawnictwo

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
we Wrocławiu
Zamek Wojnowice
ul. Zamkowa 2, 55-330 Wojnowice
tel. +48 71 341 71 97
office@kew.org.pl, www.kew.org.pl

„Nowa Europa Wschodnia"
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
redakcja@new.org.pl, www.new.org.pl

Partnerem wydania jest Fundacja Znak

Fundacja
Znak

ISSN: 1899-5543
ISSN: 2084-3992 (online)
Cena 24,90 zł (w tym 8% VAT)
Nakład 1500 egz.

eprasa.pl ea67704293

Urodzone z powodu wojny

Z historykiem Jakubem Gałęziowskim, autorem książki *Niedopowiedziane biografie. Polskie dzieci urodzone z powodu wojny*, rozmawia Urszula Pieczek

URSZULA PIECZEK: Twoja książka *Niedopowiedziane biografie* dotyczy dzieci urodzonych z powodu wojny, gwałtów wojennych, a także powojennych aborcji i samodzielnego macierzyństwa. Rozpoczynasz ją od fragmentów przemówienia Alena Muhicia, mężczyzny poczętego w wojennym gwałcie. Prócz wielu przejmujących słów, które w nim padły, Muhić wypowiada takie zdanie: „Nie chcę być obciążany grzechami tych, którzy sprowadzili mnie na świat". O jakim grzechu on mówi?

JAKUB GAŁĘZIOWSKI: W bardzo szerokim i potocznym postrzeganiu winą za gwałt obarcza się kobiety. W przypadku zgwałconych matek wina przechodzi na dzieci. Podczas wojny domowej w byłej Jugosławii zbrodnia gwałtów nosiła znamiona ludobójstwa. Celem Serbów było unicestwienie Boszniaków, przy czym jednym z narzędzi było celowe zapładnianie Boszniaczek, aby więcej nie rodziły dzieci dla własnego narodu. Często działo się to w specjalnych ośrodkach zwanych obozami gwałtów. Doświadczone w ten sposób kobiety, jeśli przeżyły, nie miały łatwego powrotu do własnych społeczności, gdzie patrzono na nie, delikatnie ujmując, w sposób podejrzliwy. Na wysokości zadania stanęli wtedy muzułmańscy liderzy, zarówno lokalni, jak i mający autorytet międzynarodowy. Głosili, aby w zgwałconych kobietach nie dopatrywać się wroga. Nakazywali społecznościom traktować je jako bohaterki, kombatantki i zalecali, aby otoczyć opieką dzieci, które one urodzą. Dziś wiemy, że wielu ludzi w bośniackich wspólnotach nie przejęło się tymi apelami, a dzieci piętnowano na wielu poziomach: państwowym, społecznym i prywatno-rodzinnym. I właśnie ponad dwadzieścia lat po tamtej wojnie potrzebny był apel Alena. Myślę, że on właśnie ten rodzaj obciążenia miał na myśli.

Czy gwałty wojenne to nadal temat tabu? Dużo miejsca

eprasa.pl ea67704293

w książce poświęcasz tak zwanej zmowie milczenia.

W ostatnich latach zaczyna się zmieniać percepcja osób urodzonych z powodu wojny, jak tłumaczę określenie *children born of war* (CBOW), i sam temat gwałtów wojennych. W Bośni one dorosły, dojrzały i wzięły sprawy w swoje ręce. Zaczęły walczyć o swoje prawa i miejsce w bośniackim społeczeństwie. Głośno mówią o osobistych historiach i cierpieniu, którego doświadczały od urodzenia. Ale ta sprawa przestaje być tematem tabu także na forum międzynarodowym, w instytucjach europejskich, międzynarodowych. A to, że Alen Muhić czy Ajna Jusić (współzałożycielka i prezeska stowarzyszenia bośniackich CBOW) opowiadają głośno o swoim doświadczeniu, ma ogromne znaczenie zwłaszcza dziś. Samo budzenie świadomości jest tu istotne.

W ubiegłym roku wyszła w Polsce książka Christiny Lamb, brytyjskiej dziennikarki i korespondentki, *Nasze ciała, ich pole bitwy. Co wojna robi kobietom?* Jeden z rozdziałów tej książki rozpoczyna się tymi słowami: „Wiele osób po raz pierwszy usłyszało o gwałcie jako narzędziu wojny w latach dziewięćdziesiątych, podczas walk w Bośni. Doniesienia w mediach o obozach gwałtów wywołały wstrząs. Jak to możliwe, że coś takiego działo się w sercu Europy?". Gwałt jako narzędzie zbrodni nie był stosowany od czasów wojny w byłej Jugosławii.

Mówi się, że przemoc seksualna jest tak stara jak same wojny, że była obecna, odkąd ludzie zaczęli ze sobą walczyć. Przywołam stwierdzenie Sabine Lee, również brytyjskiej badaczki, która pisała, że wojenna przemoc seksualna jest zarówno najstarszym, jak i najmłodszym przestępstwem.

Dlaczego?

Już wiemy, że przemoc seksualna stosowana była „od zawsze", używali jej żołnierze wobec przegranych czy okupowanych społeczności. W międzynarodowym prawodawstwie za zbrodnię wojenną uznano ją stosunkowo niedawno. Choć przez setki czy nawet tysiące lat kobiety padały ofiarą gwałtów podczas konfliktów zbrojnych, to nie widziano w tym przestępstwa, raczej nieodłączny element wojny.

O motywach można debatować, naukowcy dzisiaj próbują dociec, skąd to się w ogóle bierze. Wymieniają wiele przyczyn – przytaczam je w książce – niemniej jednak mnie najbardziej przekonują głosy mówiące o złożoności tego zjawiska. Według mnie nie istnieje jedna odpowiedź na pytanie, dlaczego żołnierze gwałcą kobiety. Jednocześnie panuje zgodność co do tego, że dopiero podczas wspomnianej wojny w byłej Jugosławii, a także niemal równocześnie toczącej się wojny w Rwandzie

eprasa.pl ea67704293

z gwałtu wojennego uczyniono przemyślaną strategię wojenną.

To znaczy?

Gwałci się po to, żeby zniszczyć przeciwnika na wszystkich poziomach.

Wspomniałem o obozach gwałtów – tam gwałcono, dopóki kobieta nie została zapłodniona, a wypuszczano ją dopiero wtedy, gdy ciąża była zaawansowana. Z tego między innymi powodu wiele kobiet urodziło dzieci, bo było za późno na aborcję. W tym tkwił świadomy zamysł, strategia upokorzenia wroga. Dostrzegły to organizacje humanitarne pomagające na miejscu w obu krajach ogarniętych wojnami, a następnie kwestie te wypłynęły przy okazji powołania międzynarodowych trybunałów sądowych, które miały osądzić sprawców masakr dokonywanych w tych miejscach. Nie od razu, ale też dano posłuch zgwałconym kobietom. Zaproszono je, żeby złożyły zeznania i opowiedziały, co tak naprawdę się wydarzyło. To jest wciąż bardzo świeża historia.

A kwestia dzieci?

O ile w latach dziewięćdziesiątych dostrzeżono kobiety, o tyle dzieci jeszcze przez jakiś czas nie były zauważane. Nie mieściły się w agendzie humanitarnej, gdzie ich prawa miały konkurować z prawami kobiet. Osoby urodzone w wyniku wojennych gwałtów dopiero od kilku lat upominają się o swoje miejsce w świecie.

Twoja książka dotyczy Europy Środkowo-Wschodniej, powstała w wyniku badań w projekcie międzynarodowym. Jakie są cechy wspólne, a co odróżnia dzieci urodzone z powodu wojny na naszym obszarze?

Do niedawna ostatnim konfliktem zbrojnym, o którym można było mówić w naszym regionie, była II wojna światowa. I jej dotyczyły moje badania. Dzisiaj już wiemy, że to się zmieniło, ponieważ trwa wojna w Ukrainie. Podejrzewam, że kolejne badania, jeśli takie zostaną podjęte w naszym regionie, będą dotyczyć również tego konfliktu zbrojnego, być może pojawią się próby porównywania tego, co dzieje się w Ukrainie, z tym, co wydarzyło się osiemdziesiąt lat temu. Podobieństw jest boleśnie wiele.

Moje badania dotyczyły Polski, realizowałem je w ramach międzynarodowego programu podejmującego temat dzieci urodzonych z powodu wojny w ujęciu globalnym. Poza moim projektem było jeszcze czternaście innych. W Europie Środkowo-Wschodniej badania prowadzono jeszcze na Litwie, Łotwie i w Czechach. Należy podkreślić, że po raz pierwszy w tym polu badawczym dostrzeżono nasz region. Dotąd bowiem wszelkie badania na temat dzieci urodzonych z powodu II wojny światowej koncentrowały się głównie na obszarach Europy Zachodniej i Północnej. Najpierw brano pod uwagę

eprasa.pl ea67704293

wyłącznie osoby spłodzone przez żołnierzy Wehrmachtu, później zajęto się dziećmi, których ojcami byli żołnierze alianccy, a matkami Niemki i Austriaczki (także Brytyjki, Belgijki czy Holenderki). Przez wiele lat badania skupiały się na tych dwóch grupach. Choć studia dotyczyły także konfliktów pozaeuropejskich, to jeśli mówimy o II wojnie światowej, faktycznie brano przede wszystkim pod uwagę Europę Zachodnią i Północną. Cały aparat teoretyczny opierał się na wynikach badań z tamtych regionów, a ja z początku próbowałem go przyłożyć do naszej rzeczywistości. Miałem przede wszystkim dotrzeć do osób w Polsce, których ojcami byli albo okupanci niemieccy, albo żołnierze radzieccy. Trudno jednak było znaleźć i ludzi, i źródła. To wcale nie było takie oczywiste, że dotrę do jakichś dokumentów oraz że w ogóle ktokolwiek z tych dwóch grup zechce opowiedzieć o swoich doświadczeniach.

Wreszcie po kilkunastu miesiącach odezwały się do mnie pierwsze osoby, które przeczytały bądź usłyszały o tym, kogo szukam i czym się zajmuję. Wśród nich były takie, które urodziły się w Niemczech i do Polski przyjechały w drugiej połowie lat czterdziestych w ramach akcji rewindykacyjno-repatriacyjnej. Ich matkami były polskie robotnice przymusowe, a ojcami cudzoziemcy.

Nagle okazało się, że wśród moich rozmówców są osoby, które nie pasowały do żadnej kategorii wymyślonej przez badaczki i badaczy zachodnich.

W Europie Środkowo-Wschodniej nie jest jednoznacznie.

Nie obeszło się bez kontrowersji, bo kiedy na forum całego zespołu opowiadałem o tym, kto się do mnie zgłasza, to słyszałem, że te osoby „nie pasują" do definicji. Owszem, nie pasowały do istniejących kategorii; widziano w nich raczej kolejną grupę dzieci naznaczonych wojną. Natomiast im wnikliwiej analizowałem źródła, im więcej opowieści słyszałem, tym nabierałem głębszego przekonania, że to są dzieci urodzone z powodu wojny. Nie da się bowiem mówić o II wojnie światowej i okupacji w Polsce i w całej Europie Środkowo-Wschodniej bez dotknięcia tematu pracy przymusowej. Taka jest nasza perspektywa. W krajach Europy Zachodniej i Północnej okupacja niemiecka wyglądała inaczej, a badania jednoznacznie potwierdzają, że pozyskiwanych stamtąd robotników, a szczególnie robotnice przymusowe traktowano odmiennie. Przede wszystkim to nie byli podludzie. Być może dlatego zjawisko pracy przymusowej dzisiaj ma tam inną wagę. Polki i Polaków do pracy na rzecz okupanta zmuszano masowo. Część z nich pracowała na miejscu, część była wywożona do Niemiec. Praca przymusowa tworzyła więc pewną ramę dla kontaktów kobiet i mężczyzn

eprasa.pl ea67704293



Archiwum prywatne

W ostatnich latach zmienia się percepcja osób urodzonych z powodu wojny i sam temat gwałtów wojennych. W Bośni one dorosły, dojrzały i wzięły sprawy w swoje ręce. Zaczęły walczyć o swoje prawa i miejsce w bośniackim społeczeństwie.

będących niejako z różnych porządków. Dochodziło do relacji mniej lub bardziej przymusowych, bo trudno jest mówić o pełnej dobrowolności w takiej sytuacji. Władza niemieckich pracodawców – bauerów czy przełożonych w fabrykach – tak jak i strażników w obozach, była totalna. Robotnice, więźniarki zachodziły w ciąże, rodziły się dzieci. Wyszedłem z założenia, że skoro decydujemy się na poszerzanie pola badawczego o nowe terytoria, to z intencją, że to może nam zburzyć wcześniej wypracowany aparat naukowy, że trzeba będzie go zmodyfikować.

Istniała jednak już wcześniej inna kategoria: „dzieci wojny". Czym one różnią się od „dzieci urodzonych z powodu wojny"?

Świadomie unikałem używania terminu „dzieci wojny". Podobnie jak w innych kulturach, funkcjonuje on i w polskim dyskursie publicznym; tu został ukuty jeszcze w poprzed-

eprasa.pl ea67704293

niej epoce. Polskie „dzieci wojny" (zresztą tak jak niemieckie) nawet nie tyle urodziły się w czasie wojny, ile ich dzieciństwo przypadło na ten okres. Kategoria „dzieci urodzonych z powodu wojny" więc się w niej mieści, ale wskazuje na coś odrębnego, na specyficzne okoliczności poczęcia i unikalne doświadczenie. Trzeba jednak pamiętać, że jest to kategoria przede wszystkim teoretyczna – osoby, które do niej należą, raczej w ten sposób się nie określają, używają właśnie terminu „dzieci wojny". Stworzenie nowego pojęcia było jednak konieczne między innymi w dyskursie humanitarnym czy naukowym.

W tym miejscu opowiem jeszcze o jednej zasadniczej różnicy, którą dostrzegłem, zajmując się tym tematem. W innych projektach zwykle mamy do czynienia z dziećmi urodzonymi z powodu wojny w danym kraju: w Norwegii, Danii, Belgii, we Francji i tak dalej… Zidentyfikowane zaś przeze mnie osoby nie urodziły się wyłącznie w Polsce, ale na przykład w III Rzeszy lub za Bugiem. Stąd, choć nie przepadam za określeniami narodowymi, to mówię o polskich CBOW. Istotnym dla mnie kryterium było dzieciństwo przynajmniej częściowo spędzone w powojennej Polsce.

Czyjej historii wysłuchałeś jako pierwszej?

To historia kobiety, która w mojej książce występuje z imienia i nazwiska, jest nią Renata Juras. Okazało się, że urodziła się w Augsburgu, a ja wówczas pracowałem na augsburskim uniwersytecie. Ta okoliczność (z której oboje sobie nie zdawaliśmy sprawy aż do momentu spotkania) z pewnością wpłynęła na relację badacz–uczestniczka badań. Ona ten zbieg okoliczności odczytywała wręcz metafizycznie. A ja chodziłem po Augsburgu i próbowałem sobie wyobrazić to wszystko, o czym mi opowiedziała, a także zrekonstruować historię jej najwcześniejszego dzieciństwa ze skrawków dokumentów. Przy okazji robiłem zdjęcia miejsc, z którymi była związana. To było i dla niej, i dla mnie bardzo poruszające.

Wiele aspektów tej historii na zawsze pozostanie niejasnych. Renata Juras urodziła się w Niemczech, gdzie jej mama w pewnym momencie się znalazła – już pod koniec wojny. Prawdopodobnie była we wczesnej ciąży i trafiła do miejscowości, z której miał pochodzić domniemany ojciec dziecka. Poznali się we Lwowie, ona pracowała w kawiarni, sprzątała też kwatery żołnierzy Wehrmachtu; on był na służbie. Trzeba pamiętać, że tego rodzaju kontakty na okupowanych terenach były zakazane, a konsekwencje ponosili zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Czy jej wyjazd do Augsburga w tym kontekście mógł być przypadkiem? Tam mama pani Renaty pracowała w fabryce tekstylnej; córkę urodziła w izbie porodowej

eprasa.pl ea67704293

przeznaczonej dla miejscowych Niemek. Po trzech miesiącach od urodzenia oddała ją do sierocińca, a po kilku następnych zniknęła, ślad po niej zaginął. Kiedy Amerykanie pojawili się w Augsburgu, podobnie jak w innych miejscowościach przeczesywali domy dziecka w poszukiwaniu „dzieci narodów zjednoczonych". Mała Renata jako tak zwane dziecko bezpieczne trafiła najpierw pod opiekę UNRRA, a następnie została sprowadzona do Polski ze względu na narodowość, którą miała po matce. Przyjechała do Katowic i tam już została.

Opowiada o tym otwarcie? Podkreśliłeś, że występuje w książce z imienia i nazwiska.

Tak, dla niej było to bardzo ważne. Tu muszę jednak wprowadzić dodatkowy kontekst. Jak mówiliśmy, moje badania były częścią dużego europejskiego projektu. Jako że *children born of war* uznaje się za *vulnerable population*, czyli grupę ranliwą, cały projekt został poddany bardzo rygorystycznym restrykcjom. Nałożono na nas wiele dodatkowych wymagań w związku z tym, że rozmawiamy z ludźmi szczególnie doświadczonymi przez los. Jednym z takich wymogów była całkowita anonimizacja wywiadów.

Kiedy po rozmowie, przy podpisywaniu stosownych dokumentów, przypomniałem pani Renacie, żeby wybrała sobie pseudonim, pod jakim chce wystąpić, ona się oburzyła. Powiedziała: „Ale jak to! To ja po raz pierwszy otwarcie i w całości odważyłam się opowiedzieć swoją historię życia, a pan chce mnie znowu zamknąć?". Trzeba pamiętać, że dzieci, które przyjechały z Niemiec, były stygmatyzowane, ponieważ uważano je za Niemców (w tym konkretnym przypadku narodowość ojca nawet nie miała aż takiego znaczenia). W każdym razie wymóg anonimizacji moja rozmówczyni potraktowała jako policzek i powiedziała, że albo wystąpi pod imieniem i nazwiskiem, albo wycofa zgodę na udział w projekcie.

Wtedy zaczęła się moja batalia o podmiotowość moich, naszych rozmówców. Zresztą w historii mówionej, kiedy przeprowadzamy wywiady, to zwykle nieanonimowo. Oczywiście każdy może zastrzec, żeby jego dane nie zostały ujawnione, ale nie odwrotnie – że my taką formułę narzucamy rozmówcom. W tym kontekście tylko potwierdziła się słuszność krytyki, jaka raz po raz pojawia się w odniesieniu do kwalifikowania odgórnie kogoś jako ranliwego: że ta etykieta w niektórych przypadkach może więcej szkodzić, niż przynosić dobrego. Stąd optymalne jest podejście elastyczne. Wracając do pani Renaty, widziałem w mojej propozycji próbę odebrania jej sprawczości, w dodatku rzekomo dla jej dobra. W rezultacie otrzymałem zgodę, aby w uzasadnionych przypadkach odstąpić od anoni-

eprasa.pl ea67704293

mizacji – ufam, że jest to jakaś wartość dodana w całym projekcie.

A czy ktoś się do Ciebie zgłosił, ale koniec końców nie zgodził się na publikację opowieści o swoim doświadczeniu?

Tak, i o tym też piszę. W książce znalazło się szesnaście wywiadów, ale zgłosiło się (lub zostało zgłoszonych) do mnie ponad trzydzieści osób. Wskazanie na liczbę rezygnacji zmienia dynamikę i wydźwięk tych badań. Pokazuje pewien problem, który jest i z którym ludzie się wciąż mierzą. Miałem okazję spotkać ludzi, którzy są w trakcie własnej pracy biograficznej i nie są jeszcze gotowi, żeby o tym opowiadać. Rozmówcy, którzy ostatecznie się zgodzili, nie zawsze robili to od razu. Janusz Majewski potrzebował wielu miesięcy na decyzję. Kiedy ją podjął, wywiad nagraliśmy niemal od razu. Był gotów.

A czy osoby, które zrezygnowały, podawały jakieś konkretne powody?

Nie zawsze, czasami po prostu nagle urywał się kontakt i traktowałem to jako znak, że wyczerpaliśmy przestrzeń do spotkania. W wielu przypadkach korespondowałem z członkami rodzin, zwykle z przedstawicielami kolejnych pokoleń. Dzieci lub wnuki były pośrednikami pomiędzy rodzicami czy dziadkami. W książce przytaczam historię, w której zamiast rozmówcy, z którym się umówiłem, przyszła jego żona. Cóż mogłem zrobić? Wysłuchałem jej historii życia – opowieści żony mężczyzny urodzonego z powodu wojny. To było dla mnie bardzo ważne i pouczające wydarzenie. Potwierdziło coś, co intuicyjnie przeczuwałem – jak bardzo brak ojca i jednocześnie piętno niemieckiego ojca wpływało na życie rodzinne dorosłego już mężczyzny i ludzi z nim związanych. Ta kobieta upatrywała w tym także przyczyn problemów w ich związku.

To podobny mechanizm do tego, który opisują na przykład żony korespondentów wojennych. Grażyna Jagielska pisała, że trauma jej męża, korespondenta wojennego i reportera, przeniosła się na nią. Nie wiesz, gdzie kończy się czyjeś doświadczenie, a zaczyna twoje.

To wtórna trauma, badacze też jej doświadczają.

Twoja książka dotyczy II wojny światowej, ale nieoczekiwanie przez wojnę w Ukrainie się zaktualizowała. Wiemy, że żołnierze rosyjscy używają gwałtu jako narzędzia wojennego wobec Ukrainek. Ta sytuacja będzie się komplikowała, bo słyszeliśmy historie o porywaniu młodych kobiet z granicy. Nie wiemy, co się z nimi dzieje…

Przez wszystkie lata pracy nad tym projektem wydawało mi się, że

eprasa.pl ea67704293

zajmuję się historią – wojną sprzed osiemdziesięciu lat i jej konsekwencjami. Do głowy by mi wówczas nie przyszło, że to, o czym piszę, stanie się tak aktualne. W relacjach, które do nas dzisiaj dochodzą, widać wyraźnie, że wobec Ukrainek stosowane są te same mechanizmy przemocowe, co osiemdziesiąt czy trzydzieści lat temu wobec kobiet innych narodowości. To zresztą dotyczy też dzieci. Po raz kolejny agresor wykrada je, aby niszczyć jeden naród, a zasilać własny. Wciąż słyszymy o wywożeniu ukraińskich dzieci do Rosji w celu ich rusyfikacji. Czy nie to samo robili Niemcy z dziećmi z Europy Środkowo-Wschodniej? To wciąż taka sama metoda i pomysł na pokonanie wroga. Najłatwiej walczy się z kobietami i z dziećmi.

Powiedz, czy w związku z tym, że Twoje badania tak boleśnie się zaktualizowały, będziesz je kontynuował?

Książka dotyka wielu kwestii. Miałem do wyboru albo skoncentrować się na jednym z wątków, albo spróbować naświetlić ich jak najwięcej. Wybrałem to drugie z nadzieją, że z czasem będzie można pójść dalej. To jest zresztą praca dla wielu osób, jedna tej wielości nie udźwignie. Natomiast z pewnością do części tematów wrócę. Na przykład historia zrabowanych dzieci czeka na ponowne opowiedzenie – w książce nie byłem w stanie wykorzystać wszystkich materiałów, które zgromadziłem przez wiele lat. Reakcje na tę publikację skłaniają mnie też do tego, aby poważnie przyjrzeć się, jak te wszystkie tematy pracują w kolejnych pokoleniach, na przykład wśród moich rówieśników. Obserwuję, że dla wielu osób to nie jest obojętne – choć tamta wojna wydaje się tak bardzo dla nich odległa.

Jakub Gałęziowski jest doktorem historii Uniwersytetu w Augsburgu i Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmuje się historią mówioną i badaniami biograficznymi. Interesuje się aspektami etycznymi i rolą emocji w badaniach naukowych. Brał udział w kilkunastu projektach dokumentacyjnych, w tym kilku międzynarodowych. Nagrał ponad dwieście autobiograficznych wywiadów narracyjnych. Jest autorem książek opartych na źródłach mówionych oraz artykułów w czasopismach naukowych i opracowaniach zbiorowych. Współzałożyciel Polskiego Towarzystwa Historii Mówionej (PTHM) i obecnie jego prezes. Członek zespołu redakcyjnego „Wrocławskiego Rocznika Historii Mówionej" (WRHM).

eprasa.pl ea67704293

Puszkinopad, czyli jak Ukraina pozbywa się imperialnej zależności

Piotr Andrusieczko

W Ukrainie znikają rosyjskie i radzieckie pomniki oraz nazwy ulic. Proces Puszkinopadu znacząco przyspieszył pod wpływem rosyjskiej agresji.

Mapa Google nie nadąża za derusyfikacją nazw ulic w ukraińskiej stolicy. Tak jest na przykład z ulicą Jewhena Czykałenki w centrum Kijowa. Jego nazwisko do niedawna nie było szerzej znane. Zdolny ukraiński agronom, współcześnie nazwalibyśmy go farmerem, a przede wszystkim działacz ukraiński z okresu „rewolucji ukraińskiej" 1917 roku, współzałożyciel Ukraińskiej Centralnej Rady. Zapomniany mecenas i przedsiębiorca. Jego fraza „Łatwo jest lubić Ukrainę do głębi duszy, ale spróbujcie lubić ją do głębi swojej kieszeni", powinna stać się hasłem dla ukraińskiego dużego biznesu.

Tyle że ulica Czykałenki od 1899 roku do października 2022 roku nosiła nazwę Puszkińska i do teraz widnieje pod nią na googlowskiej mapie. Zapewne każde miasto, najpierw Imperium Rosyjskiego, a potem Związku Radzieckiego, posiadało ulicę i pomnik imienia Puszkina. Czy Aleksander Puszkin był związany z Kijowem? Raczej nie. Przebywał w ukraińskiej stolicy dwa razy: w maju 1820 roku i w lutym 1821 roku, łącznie – jak wyliczyli ukraińscy badacze – spędził tu dwanaście–czternaście dni. Kijów pojawił się w jego poezji, trudno jednak mówić o jakichś głębokich motywach kijowskich w twórczości rosyjskiego poety. A tym bardziej zasługach dla ukraińskiej stolicy.

Ulicą Czykałenki można dojść do placu Lwa Tołstoja. Tołstoj też może raz był w Kijowie. Wiemy, że miasto mu się spodobało. W marcu plac przemianowano na Bohaterów Ukrainy. I w tym przypadku na elektronicznej mapie wciąż pojawia się stara nazwa. Ale to kwestia czasu. Stolica Ukrainy sukcesywnie pozbywa się śladów rosyjskości: poradzieckich pomników oraz rosyjskich nazw ulic i placów. Do marca bieżącego roku zmieniono w ukraińskiej stolicy aż 288 nazw, które były związane ze

eprasa.pl ea67704293

Związkiem Radzieckim lub Rosją. Podobny proces objął inne miasta, w tym uważane przez rosyjską propagandę za „rdzennie" rosyjskie: Charków i Odessę.

Ołeksandr Tkaczenko, minister kultury Ukrainy, który wcześniej był zwolennikiem „naturalnej derusyfikacji", pod koniec grudnia ubiegłego roku oświadczył, że „Nadszedł czas pożegnania się na zawsze z symbolami imperium rosyjskiego i ideologii radzieckiej".

I wszystko wskazuje na to, że rzeczywiście jesteśmy świadkami początku ostatniego etapu trwającej od 1991 roku dekolonizacji Ukrainy.

Od Lenina do Puszkina

22 marca 2022 roku mieszkaniec Tarnopola oblał czerwoną farbą pomnik Puszkina i napisał na nim „*stop war*". 7 kwietnia 2022 roku zdemontowano pomnik tego poety w Mukaczewie na Zakarpaciu, dwa dni później w Tarnopolu i Użhorodzie. Tak rozpoczął się Puszkinopad. Według Ministerstwa Kultury w ciągu roku rosyjskiej agresji padło aż dwadzieścia osiem pomników Puszkina, dziewięć pomników Maksyma Gorkiego i cztery pomniki dowódcy wojskowego Imperium Rosyjskiego – Aleksandra Suworowa.

Stolica Ukrainy sukcesywnie pozbywa się śladów rosyjskości: poradzieckich pomników i rosyjskich nazw ulic i placów.

Puszkinopad jest kontynuacją Leninopadu, czyli obalania pomników Lenina. 8 grudnia 2013 roku (rewolucja godności) w Kijowie protestujący obalili pomnik Lenina. Inicjatywę przejęli aktywiści w innych regionach Ukrainy. Według Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej do końca 2016 roku zdemontowano 1320 pomników „wodza rewolucji", początki pozbywania się Lenina i innych upamiętnień komunistycznej przeszłości rozpoczęły się już w 1990 roku. W tym czasie pomniki Lenina stały praktycznie we wszystkich miastach i w wielu wsiach. Z cokołu spoglądał też w zakładach pracy, szkołach i jednostkach wojskowych. Pomników Lenina nie było tylko w trzech niedużych centrach rejonowych w obwodach: tarnopolskim, wołyńskim i zakarpackim. Usuwanie obiektów rozpoczęło się od zachodnich obwodów kraju i do 2013 roku zdemontowano ich aż 3200.

Po rewolucji godności w 2015 roku przyjęto pakiet ustaw dekomunizacyjnych i od tego czasu usuwanie pomników i pozbywanie się radzieckiego nazewnictwa przybrało systemowy charakter. Do 2019 roku usunięto łącznie dwa i pół tysiąca komunistycznych pomników i różnego rodzaju upamiętnień. Zmieniono także nazwy 987 miejscowości, 25 rejonów i 52 tysięcy toponimów. Na przykład Dniepropietrowsk stał się Dnieprem, a Artiomowsk Bachmutem.

eprasa.pl ea67704293



Piotr Andrusieczko

O tym, że jeszcze niedawno stał tu pomnik kojarzący się z kulturą rosyjską, przypomina jedynie cokół.

Jednak dopiero rosyjska pełnoskalowa agresja postawiła kwestię dekolonizacji ukraińskiej przestrzeni na ostrzu noża. Pod koniec marca ubiegłego roku Rada Najwyższa Ukrainy przyjęła ustawę zabraniającą nadawania obiektom geograficznym nazw, które propagują lub symbolizują Rosję.

Pojawiły się oczywiście głosy, że nie należy łączyć „wybitnych poetów i pisarzy" z rosyjską agresją. Jednak większość społeczeństwa uznała, że pomniki Puszkina symbolizują rosyjski imperializm w Ukrainie. I stawiano je nie ze względu na wielbicieli jego twórczości, decyzje podejmowały władze carskie, a później radzieckie.

„Oczywiste jest, że Puszkin nie został wybrany przypadkowo (…). Faktem jest, że Puszkin (wraz z Tołstojem) jest jednym z twórców rosyjskiego mitu imperialnego. A teraz ten rosyjski imperialny mit wykorzystuje się do mobilizowania Rosjan, w szczególności do wojny z Ukrainą. Dlatego Puszkinopad jest całkowicie naturalną reakcją Ukraińców. Chcemy pozbyć się symboli, które są dla Rosji potwierdzeniem jednej z kluczowych tez, mówiącej rzekomo »żyjemy w tej samej przestrzeni kulturowej«, że rzekomo »w ogóle nie ma odrębnego narodu ukraińskiego«, że »jesteśmy jednym narodem«, a zatem ukraińskie państwo to »jakiś rodzaj nieporozumie-

eprasa.pl ea67704293

nia, które należy zlikwidować«" – powiedział w wywiadzie dla ukraińskiej redakcji Radia Swoboda deputowany i były szef ukraińskiego IPN Wiaczesław Wiatrowycz.

Puszkin stanowi tylko jeden z symboli. Zresztą to nie obalanie jego pomników wywoływało w ubiegłym roku największe emocje. Palmę pierwszeństwa należy oddać Katarzynie II. Chodzi o pomnik carycy w Odessie.

Pierwotnie monument stanął w Odessie w 1900 roku, dokładnie w setną rocznicę założenia miasta, był poświęcony „założycielom Odessy". Centralne miejsce zajmowała na cokole figura imperatorki. Wraz z przyjściem władzy radzieckiej Katarzyna II ustąpiła miejsca monumentowi poświęconemu marynarzom rewolucjonistom. W późniejszych latach pojawiały się głosy, że należy przywrócić stary pomnik, udało się to uczynić – o dziwo – dopiero w czasach niepodległej Ukrainy. W 2007 roku odsłonięto odtworzony monument Katarzyny II. Trudno się dziwić, że u wielu Ukraińców fakt ten wywołał oburzenie – bardziej znaczącego symbolu imperium rosyjskiego w ukraińskim mieście być nie mogło. Więcej: cesarzowa miała na sumieniu zniszczenie Siczy Zaporoskiej. Aktywiści organizowali pod pomnikiem akcje protestu. Domagali się demontażu monumentu. Jednak dopiero rosyjska agresja postawiła tę kwestię na ostrzu noża.

Początkowo władze Odessy na czele z kontrowersyjnym merem Hennadijem Truchanowem (miejscowi aktywiści zarzucali mu korupcję i prorosyjskość) sprzeciwiały się demontażowi. Argumentowano, że Odessa jest ośrodkiem wielokulturowym i że pomnik symbolizuje fragment historii miasta, której nie sposób zmienić. Zdaniem aktywistów dyskusja nie dotyczyła zmiany historii, a niestosownego symbolu, który stał w centrum miasta bombardowanego przez Moskwę.

We wrześniu ubiegłego roku mer miasta zmienił zdanie. W jednym z wywiadów stwierdził, że „Rosja zademonstrowała swój stosunek do naszego państwa i do Ukraińców. Teraz naszym zadaniem jest przemyślenie naszego stosunku do naszych pomników". Urzędnik jednocześnie podkreślił, że jest przeciwny „wandalizmowi". O zdanie zapytano samych mieszkańców Odessy. Ci w sondażu w większości opowiedzieli się za pozbyciem się pomnika. Władze, komentując rezultaty badania opinii publicznej, stwierdziły, że Katarzyna II nie przyczyniła się do założenia miasta i należy pozbyć się symbolu imperialnej przeszłości. Pod koniec grudnia ubiegłego roku pomnik zdemontowano. Stanął w miejscowym muzeum.

Kolej odjeżdża od Rosji

Jednym z przykładów dobrze obrazującym, jak głęboko zakorzenione są w Ukrainie rosyjskie wpływy kolonialne, jest kolej. Ukraińska kolej stała się podczas rosyjskiej agresji symbolem niezłomności, oporu i skutecznego funkcjonowania państwa.

eprasa.pl ea67704293

Przekonać mogli się o tym nie tylko ewakuowani w pierwszych miesiącach wojny mieszkańcy zagrożonych regionów, ale też wszyscy liderzy państw, którzy odwiedzają Ukrainę.

Ołeksandr Kamyszin, były już szef ukraińskich kolei, przed odejściem ze stanowiska (koniec lutego bieżącego roku) anonsował ukrainizację kolei do 2025 roku. Okazuje się, że – mimo niemal trzydziestu trzech lat ukraińskiej niepodległości – do zrobienia wciąż pozostaje wiele. W roku bieżącym nastąpi geograficzne przeorientowanie regionalnych filii. Do dziś bowiem funkcjonuje podział z XIX wieku, w którym obowiązują nazwy: Kolej Południowa i Kolej Południowo-Zachodnia, a wyznacznikiem położenia jest Moskwa.

Minister kultury Ukrainy oświadczył, że „Nadszedł czas pożegnania się na zawsze z symbolami imperium rosyjskiego i ideologii radzieckiej".

Następnie zmienione zostaną nazwy stacji i przystanków. Chodzi na przykład o Październikową i Kołchozową. Nowe nazewnictwo będzie nawiązywać do historii danych miejsc, związanych z nimi postaci historycznych i ukraińskich bohaterów. Nastąpi też zmiana numeracji kilometrażu. Okazuje się bowiem, że kilometr zerowy wciąż wyznaczała Moskwa. 21 lutego płytę z kilometrem zerowym wmontowano w peron Pierwszego Dworca Centralnego w Kijowie.

Do dziś większość napisów w wagonach pojawia się w dwóch wersjach językowych: po ukraińsku i po rosyjsku. W bieżącym roku ma zostać stworzony rodzimy standard oznakowania, zgodny z europejskim. Rosyjskie napisy na biletach papierowych zastąpią angielskie. Bilety internetowe przeszły już tę korektę. Zukrainizowane zostaną także oznaczenia semaforów i innych systemów sygnalizacji. Obecnie używa się skrótu „Cz", pochodzącego od rosyjskiego słowa „parzysty".

Kres dwujęzyczności

Zmiany nazw ulic, demontaż pomników czy wprowadzanie ukraińskich napisów w wagonach kolejowych to tylko zewnętrzne oznaki zmian. Owszem, proces derusyfikacji znacznie przyspieszył pod wpływem rosyjskiej agresji w ubiegłym roku. Prawdziwa rewolucja dokonuje się przede wszystkim w świadomości samych Ukraińców.

Po 24 lutego 2022 roku obserwowałem, jak wielu facebookowych znajomych zaczęło na swoich profilach zamiast języka rosyjskiego używać ukraińskiego. Proces ten dotyczył także ukraińskich patriotów, którzy mogli przecież pisać antyrosyjskie posty w języku rosyjskim. Po rosyjskiej napaści w ciągu jednego dnia przeszli na ukraiński albo publikowali post tłumaczący zmianę swojej postawy.

eprasa.pl ea67704293

„Ukrainizację" wśród użytkowników sieci społecznościowych (Facebook, Twitter, Instagram) potwierdziły wyniki badań przeprowadzonych od maja do czerwca 2022 roku przez Centrum Analizy Treści. Pokazały one, że 66 procent postów publikowanych jest w języku ukraińskim. Oznacza to duży wzrost popularności języka ukraińskiego w porównaniu z rokiem 2020.

Firmy i różnego rodzaju organizacje w większości prowadzą konta w języku ukraińskim, znaczny wpływ na tę postawę wywarła ustawa językowa obowiązująca od stycznia 2021 roku. W przypadku kont prywatnych (tu liczba postów ukraińskojęzycznych wzrosła nawet o 45 procent) proces odbył się wyłącznie na zasadzie wolnej woli.

W stolicy Ukrainy wciąż słychać język rosyjski i – nie zważając na rosyjską propagandę – nikt tu za jego używanie nie bije. Ale ukraińskiego używa się znacznie częściej, niekiedy odnoszę wrażenie, że nawet zaczyna dominować.

Stolica Ukrainy w 1991 roku (ogłoszenia niepodległości) była w większości rosyjskojęzyczna. Ukraiński stawał się popularny pod wpływem ruchu niepodległościowego. Wiele osób – zwłaszcza młodych – świadomie przechodziło na ukraiński nie tylko w sferze publicznej, ale również w domu. Proces uległ jednak zatrzymaniu i przez kolejne lata rosyjski zdawał się dominować. Nawet w przypadku osób dwujęzycznych (a ci stanowili zapewne większość) w powszechnym użyciu był rosyjski.

Dochodziło do kuriozalnych sytuacji. Na wspomnianej ulicy Puszkińskiej w nieistniejącej już klimatycznej kawiarni słyszało się, jak obsługa mówi między sobą po ukraińsku. Podobnie zresztą klienci. Ale kiedy tylko dochodziło do spotkania przy ladzie, wszyscy przechodzili na rosyjski. To samo przez wiele lat miało miejsce w telewizji, prowadzący i rozmówca niejednokrotnie mówili w różnych językach (rosyjskim i ukraińskim).

Według Ministerstwa Kultury w ciągu roku rosyjskiej agresji padło dwadzieścia osiem pomników Puszkina, dziewięć Maksyma Gorkiego i cztery Aleksandra Suworowa, dowódcy wojskowego Imperium Rosyjskiego.

Historyczne wydarzenia, takie jak pomarańczowa rewolucja (przełom 2004 i 2005 roku) czy też rewolucja godności, aneksja Krymu i wojna w Donbasie, zmieniały nastawienie części mieszkańców kraju nad Dnieprem. Ukrainizacja – wbrew temu, co mówiła rosyjska propaganda – miała charakter łagodny. Pomagały zmiany w ustawodawstwie, które zukrainizowały telewizję, radio i media cyfrowe. Także w kinach filmy wyświetlano w języku ukraińskim. Rewolucję przeżył również rynek wydawniczy.

Na przełomie lat dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych książki ukraińskojęzyczne kupowało się w Kijowie przede wszystkim w księgarni Naukowa Dumka mieszczącej

eprasa.pl ea67704293



fot. Piotr Andrusieczko

Rosji i rosyjskiej spuściźnie kulturowej życzy się w Ukrainie „szczęśliwej drogi".

się przy ulicy Hruszewskiego. Dominowały tam książki naukowe, tuż obok znajduje się Instytut Historii Akademii Nauk Ukrainy. W Dumce można jednak było kupić także ukraińską klasykę, bajki czy na przykład wspomnienia pierwszego prezydenta Leonida Krawczuka. Dostępne były książki „nowych" ukraińskojęzycznych autorów: Jurija Andruchowycza, Oksany Zabużko i innych. Nie było jednak praktycznie ukraińskojęzycznych wydań literatury światowej. Tę czytano w języku rosyjskim. Niemal wszystko, co ukazywało się w Moskwie, można było kupić na bazarze mieszczącym się przy stacji metra Petriwka. Notabene od lutego 2018 roku stacja nosi nazwę Poczajna. Dlaczego i tu zdecydowano się na zmianę? Większość mieszkańców miasta nawet nie wiedziała, że nadano ją na cześć Hryhorija Petrowskiego, byłego działacza komunistycznego pochodzącego z Ukrainy. Petrowski był współinicjatorem powołania Czeka i był współodpowiedzialny za wprowadzenie polityki Wielkiego Głodu. Jego pomniki ustawiono w wielu miejscach Ukrainy. Obecny Dniepr do 2016 roku nosił nazwę nadaną na jego cześć – Dniepropietrowsk.

Wracając do książek – sytuacja zaczęła zmienić się po 2014 roku. Wtenczas rynek wydawniczy zaczął ograniczać druk rosyjskiej i rosyjskojęzycznej literatury, co

eprasa.pl ea67704293

stymulowało publikowanie książek ukraińskojęzycznych. Do ideału jeszcze daleko, ale różnica – szczególnie w porównaniu z poprzednimi dekadami – naprawdę jest zauważalna.

Pożegnanie z ZSRR

W Ukrainie dokonuje się także głęboka zmiana dotycząca oceny totalitarnej przeszłości. Podczas gdy w Rosji trwa gloryfikacja czasów radzieckich, w Ukrainie jest na odwrót.

Według rezultatów badań socjologicznych, przeprowadzonych w grudniu 2022 roku przez Fundację Demokratycznych Inicjatyw im. Ilka Kuczeriwa, większość Ukraińców (73 procent) pozytywnie ocenia rozpad ZSRR. Przy tym – co ciekawe – na wschodzie kraju takich obywateli notuje się 71 procent. Jedynie na południu odsetek ten stanowi 48 procent.

Aby dostrzec zmiany, które dokonały się w ostatnim czasie, spójrzmy na rezultaty podobnych badań z 2020 roku. Wtedy rozpad ZSRR pozytywnie oceniało jedynie 49 procent mieszkańców Ukrainy, za ZSRR tęskniło 32 procent (obecnie 12 procent). Co zrozumiałe, większość Ukraińców (59 procent) popiera zmiany nazw miejscowości, ulic itp. symbolizujących dziedzictwo ZSRR, ale też Imperium Rosyjskie i Rosję. To także duża zmiana, jak wskazują analitycy z Fundacji Demokratycznych Inicjatyw, gdyż jeszcze w 2022 roku przemianowywanie ulic i miejscowości wywoływało duże kontrowersje. Ponad połowa respondentów (52,8 procent) podkreśla, że napaść Rosji na Ukrainę zmieniła ich podejście do radzieckiego dziedzictwa. Z kolei absolutna większość (80,2 procent) stwierdziła, że kwestia pamięci historycznej i wiążącej się z tym procesem polityki państwowej jest dla nich osobiście ważna.

Pod koniec marca ubiegłego roku Rada Najwyższa Ukrainy przyjęła ustawę zabraniającą nadawania obiektom geograficznym nazw symbolizujących Rosję.

„Bez rakiet ich słowa nie docierały. Wszystko się zmieniło" – napisał historyk Ołeksandr Zinczenko w kwietniu bieżącego roku na Facebooku. Tym wpisem odniósł się do naukowców i działaczy, którzy starali się formułować ukraińską świadomość historyczną.

„Wcześniej nam, prekursorom zmian w polityce pamięci, mówiono: »Nie bierzcie się za to, nie dzielcie narodu! Wielki Głód, Stalin, Bandera, OUN i UPA, dekomunizacja, wielka wojna ojczyźniana/II wojna światowa – wszystkie te tematy dzielą naród! Zaprzestańcie tych tańców na kościach!« Nie! Szczera debata na temat trud-

eprasa.pl ea67704293

nych kwestii z przeszłości nie jest równoznaczna z podziałem narodu! Stworzyliśmy nową jedność narodową!" – dodał Zinczenko.

Nową politykę historyczną można by uznać za triumf, jeśliby nie cena, którą przychodzi płacić za nią Ukraińcom każdego dnia. Dotkliwe traumy zawsze przyśpieszają procesy o dziejowej wadze, ale jak zauważa wielu specjalistów, agresywna ukrainizacja może przynieść więcej szkody niż korzyści. Zamiast wytykać komuś, że nie posługiwał się do tej pory ukraińskim albo wciąż słabo zna język, znacznie lepiej okazać takim osobom wsparcie.

Rzecz dotyczy zresztą nie tylko języka. Pomniki, które spadają z cokołów w Ukrainie, kojarzą się obywatelom ze złym dziedzictwem narzuconym z zewnątrz. Dekolonizacja kultury będzie rodziła zapewne jeszcze wiele sporów. Takich jak choćby zainicjowana przez Związek Pisarzy Ukrainy w ubiegłym roku debata na temat zamknięcia Muzeum Bułhakowa w Kijowie albo protest studentów Narodowej Akademii Muzycznej. Nie tak dawno na kijowskim placu Niepodległości jej studenci postulowali, by z nazwy uczelni wykreślono nazwisko Piotra Czajkowskiego, rosyjskiego kompozytora.

Co ważne: te dyskusje Ukraińcy toczą pomiędzy sobą. Rosyjskie możliwości oddziaływania na nie są już minimalne.

Podczas pracy nad tekstem musiałem sięgnąć do internetu. Chciałem sprawdzić, jak nazywała się wcześniej stacja metra Poczajna. Wystarczyło więc zaledwie kilka lat, bym zapomniał nazwę.

Piotr Andrusieczko jest dziennikarzem, publicystą, korespondentem „Gazety Wyborczej" w Kijowie. Stale współpracuje z „Nową Europą Wschodnią".

eprasa.pl ea67704293

Południe bez ukraińskiego słońca

Roman Kabaczij

Tymczasowo okupowane części obwodu chersońskiego i zaporoskiego po wschodniej stronie Dniepru cierpią z powodu ciągłego ostrzału Rosjan. Ludzie płacą rublami w sklepach i na bazarach, czekając na wyzwolenie.

11 listopada 2022 roku ostatecznie wyzwolono Chersoń leżący na zachodnim brzegu Dniepru. Linia demarkacyjna między wojskami ukraińskimi i rosyjskimi przebiegała wzdłuż dolnego biegu rzeki, w jej górnej części wzdłuż Zbiornika Kachowskiego o powierzchni 2155 kilometrów kwadratowych. Linia ta w rzeczywistości pokrywa się z granicą, która istniała w XIX i na początku XX wieku między guberniami chersońską i tawryjską (ta ostatnia składała się z Krymu i dwóch powiatów na kontynencie – dnieprowskiego z centrum w Oleszkach i melitpolskiego). Obwód chersoński w obecnych granicach zaczął istnieć w 1944 roku. Od tego czasu zaczęto „zszywać" dawny obwód dnieprowski z częścią zachodnią. Rejon melitopolski stał się południową częścią obwodu zaporoskiego.

Dlaczego uciekam się do historii? Kiedy w latach dwudziestych XX wieku bolszewicy sięgnęli po politykę „rdzenności", którą na terenie sowieckiej Ukrainy nazywano „ukrainizacją", pokazali różnice mentalne w obu stronach przyszłego obwodu chersońskiego. Na zachodnim brzegu (nie używam określeń lewy i prawy, bo są one odwrotne do brzegów Wisły w Polsce), według czekistów, żyła ludność bardziej proukraińska, która chętnie słuchała takich dowódców jak Nestor Machno. Na wschodzie – ludność z bardziej prorosyjskim, monarchistycznym nastawieniem (w końcu było to też umowne, bo chodziło głównie o wschodnią część byłego okręgu dnieprowskiego, o takie miasta jak Kachowka i Heniczesk, o część miast Oleszky, Hola Prystan, Skadowsk, które ciążyły w stronę Chersonia). W czasie rządów komunistycznych wiele się zmieniło (społeczności niemiecka i żydowska zniknęły z południowej Ukrainy, było kilka fal przesiedleń Ukraińców z centralnej i zachodniej części USRR), ale echa przeszłości się zachowały. Nic dziwnego, że po wycofaniu wojsk rosyjskich z zachodniego brzegu okupanci nazwali Heniczesk „stolicą obwodu chersońskiego", a nie większą od niego Nową Kachowkę.

eprasa.pl ea67704293

Na dno

Najbardziej aktywni i proukraińscy obywatele musieli opuścić okupowane tereny po obu brzegach Dniepru. Wiele osób zginęło w swoich samochodach, nie docierając do „szarej strefy". Musieli odejść, bo po tysiącach protestów w Chersoniu, Nowej Kachowce, Zaporożu zaczęto liczyć ludzi ze zdjęć i nagrań wideo, zabierać ich na przesłuchania i torturować. Dwukrotnie przeżył aresztowanie Wiktor Maryniak, sołtys z miejscowości Stara Zburyjewka koło miasta Hola Prystan. Był jednym z bohaterów filmu dokumentalnego Romana Bondarczuka *Ukraińscy szeryfowie*. Po drugim aresztowaniu przyjaciele Wiktora zorganizowali mu ucieczkę przez ujście Dniepru do Oczakowa. Długi i kosztowny wyjazd okazał się najbezpieczniejszym rozwiązaniem. Maryniak przejechał przez Krym, Rosję i kraje bałtyckie do Unii Europejskiej. Podróż byłej sołtyski Walentyny Kuźminy kosztowała ją i jej wnuczkę 1100 euro – tyle zapłaciły za przewiezienie ze Skadowska do Warszawy, gdzie czekała na nią córka. „Wycieczka" trwała trzy i pół doby.

Na ziemiach okupowanych przez Rosjan dochodzi do prawdziwego ekobójstwa.

Proukraińscy obywatele, którzy zdecydowali się zostać, musieli „zejść na dno", czyli zwrócić się do konspiracji. Uczynił to na przykład prorektor Akademii Morskiej w Chersoniu Ołeksandr Szumej. W czerwcu 2022 roku główny chersoński kolaborant Kyryło Striemousow zarzucił Szumejowi, że nie został wybrany do piastowania tej pozycji, a pełni funkcję „protegowanego i obserwatora z Prawego Sektora". Szumej bardzo rzadko pojawiał się we własnym mieszkaniu, jego żona i córka wyjechały wiosną. Przyczynę takiego zachowania okupantów ujawnia trzydziestojednoletni historyk Artem Petryk w swojej książce *Sny o Chersoniu*. Jest to zbiór opowiadań napisanych na podstawie notatek Artema z czasów okupacji Chersonia (zapiski sporządził na telefonie, przeniósł na pendrive'a i schował w budzie dla psa). Jego zdaniem potomkowie czekistów postrzegali historyków i dziennikarzy tak samo, jak postrzega się ich w Rosji – jako sługusów propagandy. Dlatego Artem też się ukrywał, ostrzegano go, że jest „na liście". Prawie wszyscy dziennikarze opuścili Chersoń. Dziennikarka telewizyjna Andżela Słobodian spędziła dwa miesiące w piwnicy za swoje proukraińskie poglądy. Po wyzwoleniu Chersonia odkryto dwadzieścia miejsc, w których katowano ludzi.

Paradoksalnie wyzwolenie, które sprawiło w Chersoniu ogromną radość, doprowadziło do jeszcze większego wyludnienia. Miasto położone jest na wysokim brzegu Dniepru o długości 20 kilometrów, Rosjanie zaczęli codziennie ostrzeliwać je z dolnego brzegu. Jarosław Koncewyj, szef organizacji pozarządowej WeloChersoń, na-

eprasa.pl ea67704293

pisał na Facebooku: „Jestem zaskoczony i kłaniam się nisko wszystkim, którzy nie wyjechali z miasta. Nie wiem, co to znaczy, chyba po prostu pogodzili się z realną perspektywą śmierci. Wiele osób nie myśli o wyjeździe, jest kilka powodów, które zmuszają je do pozostania, ale chyba przetrwanie jest naszym głównym zadaniem. W zasadzie nie wiem, dlaczego tak jest, bardzo chcę mieszkać w domu, ale boję się o swoje życie, więc znowu muszę gdzieś jechać i czekać, aż sytuacja się poprawi". Dlatego nie ma mowy o powrocie większości mieszkańców – wszyscy czekają na wyzwolenie dalszych terytoriów obwodu chersońskiego.

Ekobójstwo

Natomiast na dolnym, południowo-wschodnim brzegu Dniepru dzieją się rzeczy, które bardzo trudno nazwać „powrotem na łono matki Rosji".

Zacznę od stosunku Rosjan do przyrody. Rosja ma ogromne połacie lasów i rezerw wodnych, a społeczeństwo rosyjskie rozwinęło konsumpcyjne podejście do darów natury. Świadomość, że państwo żyje głównie ze sprzedaży bogactw naturalnych – ropy, gazu, węgla, lasów – daje złudne wrażenie, że można je wykorzystać w barbarzyński, drapieżny sposób. A w obwodzie chersońskim jest przyroda jedyna w swoim rodzaju. Znajduje się tu największa wyspa w Ukrainie, Dżaryłgacz, gdzie nie było stałego zaludnienia, natomiast swobodnie wędrowały jelenie i muflony. Mieścił się tutaj rezerwat Askania Nowa z 33 tysiącami hektarów autentycznego nieuprawnego stepu. Mierzeja Kinburn, która ma 40 kilometrów długości i oddziela Morze Czarne od ujścia Dniepru. Na mierzei znajdowały się starodawne lasy, dolina storczyków, słone jeziora. Żyły jelenie i dzikie konie. W czasie okupacji rosyjskiej spłonęło 30 procent mierzei, wysadzono w powietrze stada koni i jeleni, a tysiące gniazdujących na jej terenie ptaków, takich jak pelikany i kormorany, uciekły wystraszone z powodu pożarów i huku ostrzału. Według deputowanej Aliony Szkrum Rosjanie ponownie nadali wyspie Dżaryłgacz status terytorium, na którym dozwolone jest polowanie, strzelanie i chwytanie zwierząt. Askanii Nowej grozi głód – zebry, konie Przewalskiego, żubry, antylopy i inne potrzebowały stałego dokarmiania do 2002 roku, a teraz nie jest pewne, czy nie pójdą pod nóż wygłodniałej armii.

W 2012 roku, dwa lata przed okupacją Krymu, w Symferopolu ukazała się po rosyjsku dystopijna powieść *Ptaszarnia* miejscowego pisarza, Rosjanina Iwana Ampilogowa. Chodziło o okupację Krymu przez Rosję. Kiedy w lutym 2014 roku Krym został zajęty, a później Rosja przeniosła się do Donbasu, Iwan poszedł walczyć za Ukrainę. Po roku przyjechał do Kijowa, by pisać i pracować jako dziennikarz. Jego powieść została skonfiskowana z symferopolskich bibliotek, a z nakładu pięciuset egzemplarzy pozostały pojedyncze sztuki, które ktoś zakupił od autora. Ręce mi się

eprasa.pl ea67704293

trzęsły podczas lektury: Iwan opisał, że Rosjanie zaczęli od eksterminacji przyrody gór krymskich i mieszkańców Morza Czarnego. Po inwazji na pełną skalę zmierzyliśmy się z rzeczywistością opisaną przez Ampilogowa: setki czarnomorskich delfinów butlonosych już zginęło w wyniku eksplozji min morskich; Morze Azowskie, przekształcone w wewnętrzną rosyjską kałużę, cierpi z powodu katastrofy ekologicznej przez zniszczenia z Mariupola i Azowstalu – do wody przedostają się zanieczyszczenia i odpady chemiczne. Na ziemiach okupowanych przez Rosjan dochodzi do prawdziwego ekobójstwa. Powieść *Ptaszarnia* nie została ponownie opublikowana w języku ukraińskim.

Namiestnik i caryca

Równolegle ze zniszczeniem przyrody najeźdźcy z Rosji atakują sferę historyczną i kulturową. Kiedy wojska ukraińskie wkroczyły do Chersonia, były zdumione ilością propagandy ulicznej w stylu „Rosja jest tu od zawsze", której głównymi postaciami historycznymi byli: caryca Katarzyna II, jej namiestnik na południu Ukrainy Grigorij Potiomkin, feldmarszałek Aleksandr Suworow i admirał Fiodor Uszakow. Według rosyjskiej propagandy na południu Ukrainy było pustkowie, dopiero ci ludzie sprowadzili cywilizację. Jeszcze przed inwazją na pełną skalę siły prorosyjskie próbowały przywrócić podejście ukształtowane w czasach carskich. W okresie sowieckim nie można było gloryfikować Katarzyny i Potiomkina, ale „siła rosyjskiej broni" istniała. W Chersoniu główna aleja nosiła nazwę Uszakowa, a największy deptak – Suworowa. W 2003 roku burmistrz Chersonia z Partii Regionów Wołodymyr Saldo odrestaurował pomnik Potiomkina, który po raz pierwszy stanął tam w 1836 roku. Prowadzącej do niego ulicy przywrócono historyczną nazwę Potiomkinowska. Mniej więcej w tym samym czasie w Odessie odrestaurowano pomnik Katarzyny II. Kiedy Rosjanie opuścili Chersoń, zabrali ze sobą pomniki Potiomkina i Uszakowa, popiersie Suworowa i „szczątki" Potiomkina z jego grobu w katedrze Świętej Katarzyny. Umieściłem szczątki w cudzysłowie, ponieważ grobowiec księcia był kilkakrotnie splądrowany i zdewastowany, więc to usunięcie ma charakter propagandowy. Dziś Wołodymyr Saldo jest mianowanym przez Putina zarządcą okupowanej części obwodu chersońskiego. Mieszkańcy Chersonia powinni być mu wdzięczni za usunięcie pomników – pozostaje jeszcze zdekolonizować nazwy ulic.

Propaganda w edukacji

Szkoły w okupowanej części regionu są zaśmiecone drukowaną propagandą i rosyjskimi podręcznikami. Choć nie wszyscy nauczyciele i liderzy oświaty zgodzili

eprasa.pl ea67704293

się na współpracę z okupantem, rosyjskiej administracji udało się rozpocząć proces w szkołach, dowożąc autobusami dzieci z okolicznych miejscowości. Tak na przykład jest we wsi Metropol koło Nowotroicka. Według jej mieszkanki Ludmyły Dyby (była zmuszona wyjechać z dziećmi z Chersonia na zachód Ukrainy) w szkole rosyjskiego programu edukacyjnego uczy się około stu dzieci z Metropola i okolic. Nauczyciele zagrozili rodzicom, że jeśli nie poślą dzieci do szkoły, zostaną im odebrane prawa rodzicielskie, a dzieciaki zostaną wywiezione do Rosji. Trzy nauczycielki z tej szkoły wyjechały na Krym, by „podnieść kwalifikacje". Według Ludmyły większość okolicznych szkół jednak nie współpracowała z Rosjanami.

Kiedy opuszczają domy, zabierają wszystko. Czego nie wezmą, to niszczą. Drewnianą podłogę wyłamują. W jednym domu napisali gównem na ścianie, że „nie da się tak [dobrze] żyć".

Rodzina Ludmyły, która pozostała we wsi, zabrała rosyjskie paszporty, ukryła ukraińskie. Jest ku temu kilka powodów. Bez tego paszportu matka Ludmyły i dwoje starszych krewnych, którzy przenieśli się do niej z rejonu ostrzału, nie byliby w stanie otrzymać po 10 tysięcy rubli – matka jako emerytka, a krewni jako „uchodźcy". Podobną sytuację w mieście Primorsk nad brzegiem Morza Azowskiego opisał mi Artem Hryszaczow, ojciec kilkorga dzieci, któremu udało się opuścić miasto po trzymiesięcznym pobycie pod okupacją. Według niego sąsiadka, która opiekuje się ich domem, została zwolniona na sześć miesięcy przed przejściem na emeryturę, ale jest całkiem zadowolona.

– Teraz pobiera rosyjską emeryturę. Jej ojciec ma osiemdziesiąt cztery lata, a siostra jest niepełnosprawna, więc otrzymuje za nich rentę ukraińską i rosyjską. Mówi, że pieniędzy jest mnóstwo, więc grzech to narzekać. Otrzymaliśmy już rosyjskie paszporty – mówi Artem.

Mleko bez wolności

Natomiast przez wieś Metropol przetoczyła się fala nieznanej ptasiej choroby. W domu matki Ludmyły nie było kurczaków, więc liczyła tylko na pieniądze z emerytury. Raz w tygodniu kobiety jeżdżą do Nowotroicka na zakupy – według mamy Ludmyły jest dużo produktów z Rosji i Krymu, ale są dość drogie, więc stać je tylko na podstawowe jedzenie (zamiast tego tani gaz; przepisany na rosyjski). Jeden z braci Ludmyły poszedł do szkoły uczyć się na ratownika medycznego. Rosjanie zagrozili, że jeśli nie znajdzie zatrudnienia, zabiorą go na kopanie rowów na trasie od Dniepra do Heniczeska. Brat może dostarczać mleko do fabryki w Dżankoja na Krymie. Kolejny brat opiekuje się trzema starszymi kobietami; żonę i dzieci udało mu się wy-

eprasa.pl ea67704293

słać do Niemiec. Artem Hryszaczow mówi, że jego przyjaciel pracuje jako elektryk w organizacji Czyste Miasto, po czym dodaje, że od trzech miesięcy nie otrzymuje wynagrodzenia. Jego matka jest w podeszłym wieku i nie chce wyjeżdżać, więc z nią został.

– Nawiasem mówiąc, takich ludzi jest wielu: zostali, bo ich rodzice są starzy – podsumowuje Hryszaczow.

Wira Żmakina, która obecnie mieszka w Czechach, opowiedziała o swojej wsi Niżni Sirohazy. Tam szkoła została założona przez osoby bez wykształcenia pedagogicznego (z poprzedniej kadry zostało kilka osób z „niską moralnością"). Jej była uczennica została mianowana na dyrektorkę – według Wiry „to dość dziwne, dorastała z niepełnosprawną matką".

– Kolaborantów jest sporo. Jako pierwsi po rosyjską pomoc humanitarną ubiegali się byli członkowie partyjnych [z ZSRR – przyp. red.] szeregów różnych organizacji. Jeden z nich przyniósł Rosjanom jedzenie, tłumacząc, że to „są czyjeś dzieci". Moja była wychowawczyni również stanęła po ich stronie – dodaje Wira.

Jej matka i ojczym stanowczo odmówili przyjęcia rosyjskich paszportów, a to uniemożliwiło mamie pracę w charakterze fryzjerki. Początkowo obiecano jej, że będzie strzyc osoby z najuboższych warstw społecznych, ale kiedy zaczęli napływać okupanci, a matka odmawiała im pod różnymi pretekstami, dostała odpowiedź, że lepiej, żeby wyjechała. Kolejną rzeczą, która przeraża Wirę, jest to, że w ciągu roku okupacji rodzice przyzwyczaili się do pewnych zwrotów i zasad zachowania, na przykład, aby nie pojawiać się ponownie na ulicy czy aby okna w domu były cały czas zamknięte.

– Rodzice kategorycznie odmówili wyjazdu. Mama ma problemy zdrowotne, nie może się stresować. Powiedziała, że miała już długie, dobre życie – dodaje Wira. Spokojny ton matki tłumaczy tym, że mieszkają na dość głębokim tyle okupacji, pod granicą z Zaporożem, gdzie nie było działań wojennych, a jedynie kilka przelotów nad miejscem. Powiedziała, że pierwsze miesiące były dla nich bardzo przerażające, a potem się uspokoili. „W końcu jestem w domu. Mamy wszystko oprócz wolności" – powiedziała Wirze jej matka.

Koszty przyzwyczajenia

Ten spokój wynika z przyzwyczajenia, a to nie oznacza braku zagrożenia. Artem Hryszaczow opowiada:

– W Primorsku ludzie boją się cokolwiek powiedzieć; jest kilku facetów, którzy mówią: „Nie pytaj o nic, bo martwię się o bezpieczeństwo rodziny. Nadal może się zdarzyć, że nowy rząd zainteresuje się tym, co masz w telefonie, żołnierze mogą łatwo cię zatrzymać i dokładnie sprawdzić, jeśli cię nie polubią. Kolega w Berdiańsku

eprasa.pl ea67704293

został pobity, bo nie miał przy sobie telefonu. Czasami są zmuszani do śpiewania hymnu narodowego Rosji".

W Syrogoże okupanci (Wira mówi, że „dużo mięsa", czyli zwłok Rosjan, wywożono w ciężarówkach Kamaz) zaczęli chodzić po domach i sprawdzać telefony, szukając regulatorów. Wira przestraszyła się i zażądała, aby jej matka przestała używać smartfona i ukryła go. Kobieta odmówiła – nauczyła się korzystać z VNP, dzięki czemu ma stały kontakt z córką.

Setki czarnomorskich delfinów butlonosych już zginęło w wyniku eksplozji min morskich; Morze Azowskie, przekształcone w wewnętrzną rosyjską kałużę, cierpi z powodu katastrofy ekologicznej.

Wira rozumie, dlaczego mama twierdzi, że „jak wyjedziemy, to nie będzie dokąd wracać". Wszędzie puste domy są okupowane przez Rosjan, wojskowych czy imigrantów. Rodzicom Wiry udało się uratować dom, z którego wyjechali młodzi sąsiedzi, ale tylko matka jednego z nich od czasu do czasu przyjeżdżała ze wsi obok, żeby zobaczyć, co się dzieje. Rodzina Artema wynajęła swój dom kobiecie, która jednak wyjechała bez ostrzeżenia i trzeba było pilnie znaleźć nowych lokatorów, bo Rosjanie już się nim zainteresowali. W Metropolu, według Ludmyły, okupanci mieszkają w opuszczonych mieszkaniach i praktycznie nie komunikują się ani nie wchodzą w interakcje z miejscową ludnością.

Wira opowiada o tym, co dzieje się z miejscowościami, w których żyją Rosjanie, i jak się tam zachowują:

– Buriaci jako pierwsi weszli do wsi. Niezbyt inteligentni żołnierze. Potem byli Czeczeni. Moja koleżanka pracuje w sklepie, więc powiedziała mi, że kilka miesięcy temu zakazali sprzedaży alkoholu, bo dużo piją, a potem się zabijają. Buriaci trochę się „przestraszyli". Zadawali pytania typu „gdzie jest twoja studnia" – byli strasznie zdziwieni, że do domów doprowadzono wodę i że są tam toalety. Kiedy moja koleżanka ze sklepu została zapytana, gdzie jest studnia, odpowiedziała, że nie mają studni. A później przyjechali, jak ich określiła, „grzeczni". Ci, którzy mówią „cześć" i „proszę". Mówiła, że to nie jest łatwe, to oczywiste, że są bardziej obeznani zawodowo.

Ale opuścili już kilka domów na końcu wsi. Byli tam Czeczeni. Kiedy się wyprowadzili, dom został wysadzony w powietrze. Moja nauczycielka biologii, starsza kobieta urodzona w 1946 roku, wyjechała do syna. Wprowadzili się do jej domu, a opuścili go miesiąc temu. Wielu już wyjechało. W pobliżu Melitopola było mniej blokad drogowych. Kiedy opuszczają domy, zabierają wszystko. Czego nie wezmą, to niszczą. Drewnianą podłogę wyłamują. W jednym domu napisali gównem na ścianie, że „nie da się tak [dobrze] żyć". Wszystkie śmieci i „odpady" z domu mojej nauczyciel-

eprasa.pl ea67704293

ki wrzucili do piwnicy. Gdzie jedli, tam srali. W tych domach nie można już mieszkać, są martwe. Wyglądają, jakby zostały zgwałcone.

Świnie w koszulach

Okupanci w Niżnym Syrogożu nazywani są robotnikami, ponieważ większość z nich pracuje na kontraktach i zarabia grube pieniądze podczas wojny. To też forma spisku, żeby Rosjanie nie rozumieli, co się do nich mówi. Jest jednak jeszcze jeden aspekt: słowo „zarobitczany" (robotnicy) w języku ukraińskim ma obraźliwe, pogardliwe konotacje – to ludzie, którzy wyjeżdżają zarobkowo najczęściej do niskopłatnych prac dorywczych. Artem Petryk pisze w książce *Sny o Chersoniu*, że w czasie okupacji musiał się narodzić specyficzny slang. Na przykład kolaboranci nazywani są „kolobkami" lub „świniami w haftowanych koszulach". Należał do nich chociażby były burmistrz i były parlamentarzysta Wołodymyr Saldo, który w inscenizowanych rozmowach z Putinem mówi po ukraińsku znacznie lepiej niż po rosyjsku.

Ukraińska prokuratura zbiera materiały na temat współpracowników za pomocą danych publicznych (na przykład z rejestrów tworzonych przez dziennikarzy) i niepublicznych. Jednym z najnowszych przykładów jest Tetiana Tomilina z Chersonia, była dyrektorka liceum przy Uniwersytecie Pedagogicznym, którą okupanci mianowali na rektorkę Uniwersytetu Chersońskiego, a ona z radością się zgodziła. W swoich przemówieniach obrażała Ukrainę i jej kulturę, a także przekonywała, że „Rosja jest tu od zawsze i nie będzie wyzwolenia"; we wrześniu 2022 roku przeżyła zamach we własnym mieszkaniu, a jej ochroniarz zginął. Po 11 listopada, kiedy do miasta wkroczyły wojska, zniknęła. Niewykluczone, że okupanci sami pozbędą się części kolaborantów. Najbardziej jaskrawym przykładem jest tajemnicza śmierć w wypadku drogowym 9 listopada 2022 roku wspomnianego na początku Kyryła Striemousowa. Ten ojciec pięciorga dzieci z szaloną mieszanką w głowie opartą na ortodoksyjnym mistycyzmie i ezoteryzmie stał się prawdziwym symbolem absurdu, który miał miejsce w Chersoniu i regionie, a teraz nadal rozwija się na wschód od Dniepru. Teraz Rosjanie umieścili Striemousowa na ikonach, a rosyjscy popowie błogosławią nowo zmobilizowanych na front.

Do tej pory połowa ukraińskiego południa nie jest oświetlona ukraińskim słońcem. Ale pamiętam hasło gazety regionalnej w Chersoniu „Nowy Den'". Brzmiało ono tak: „Nowy dzień będzie słoneczny!".

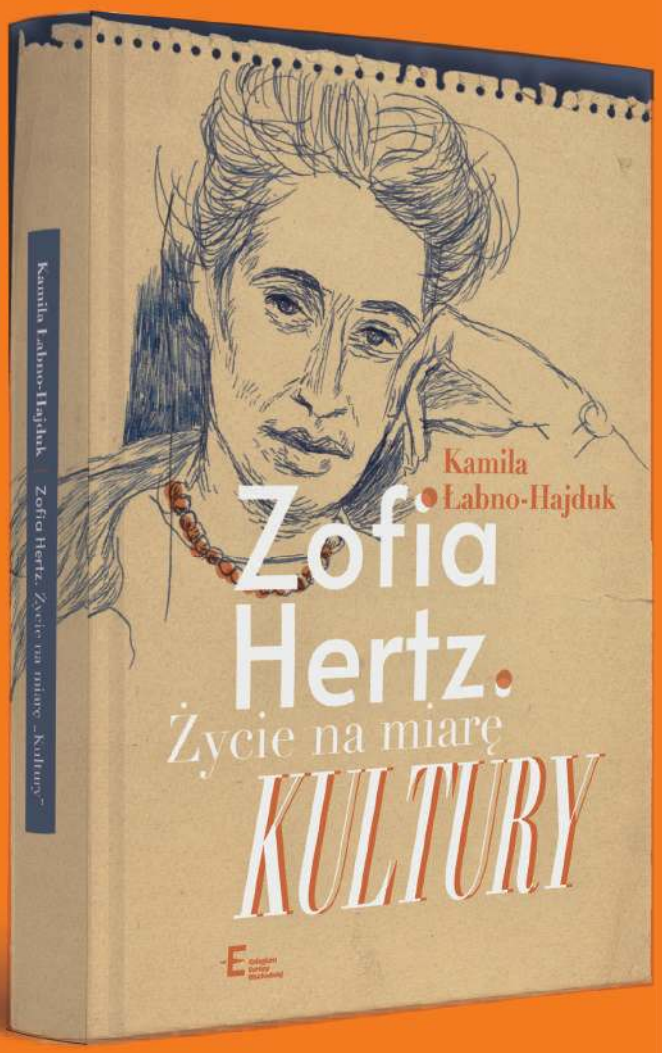
Przełożyła Urszula Pieczek

Dr Roman Kabaczij jest ukraińskim historykiem i dziennikarzem.

eprasa.pl ea67704293

REKLAMA

Nowość wydawnictwa Kolegium Europy Wschodniej



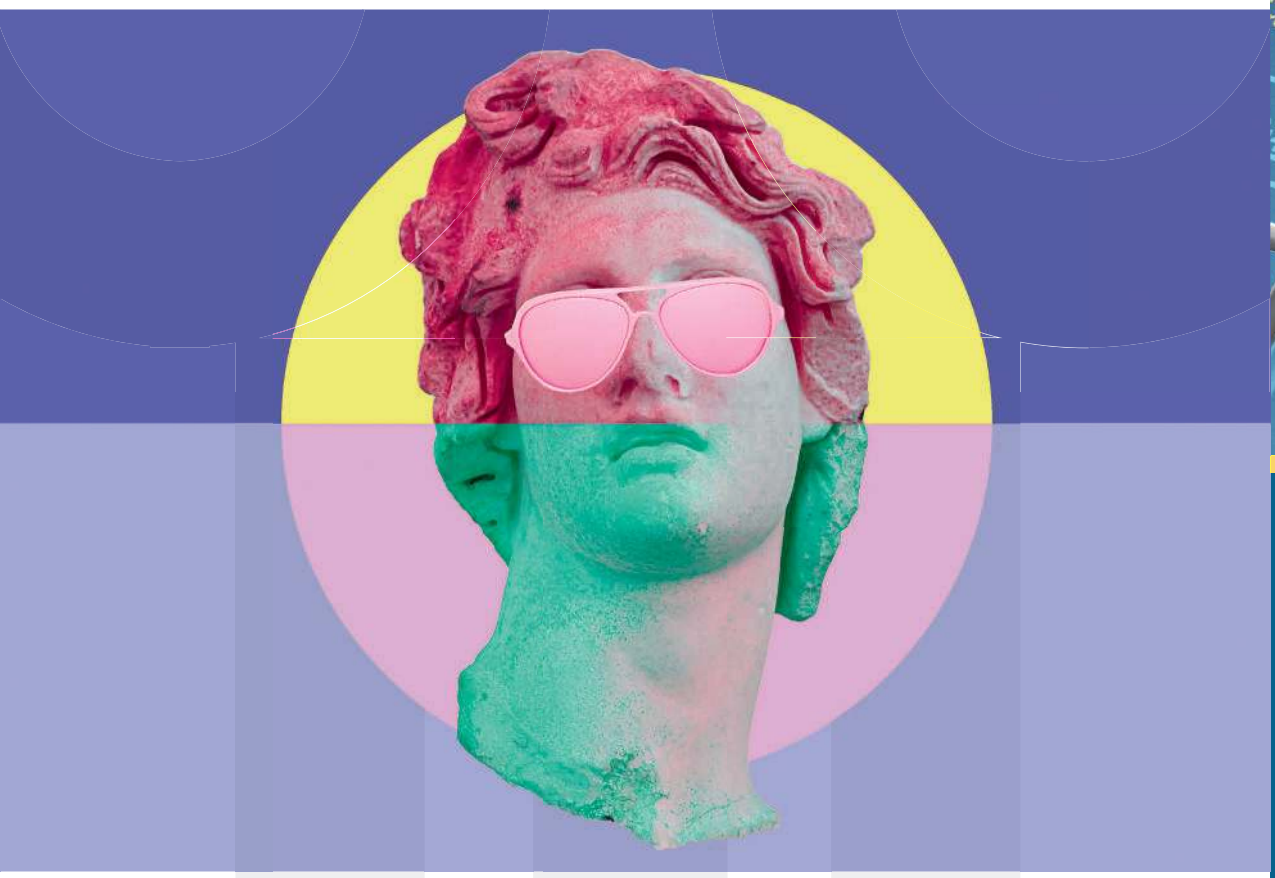
Kolegium Europy Wschodniej

PRZEGLĄD POLITYCZNY

eprasa.pl ea67704293

REKLAMA

Podcasty
Nowej Europy
Wschodniej



PO CO HOMER?

Nowe podcasty o antyku w naszych czasach.

– *Żyjemy w świecie, który stracił pamięć* – przekonuje Karolina Wigura w podcaście z cyklu „Po co Homer?"
Filologowie klasyczni z Uniwersytetu Jagiellońskiego zapraszają gości spoza swojej dziedziny, by rozmawiać o miejscu i znaczeniu antyku w otaczającej nas rzeczywistości.

Zapraszamy do słuchania podcastów na **www.new.org.pl**
i kanałach podcastowych

STITCHER

eprasa.pl ea67704293

REKLAMA



Mockup: pixpine

NOWE WYDAWNICTWO
Ośrodka „Pamięć i Przyszłość”

MARCELINA JAKIMOWICZ

„Świat, który już nie istnieje. Polskie i ukraińskie opowieści biograficzne (1918–1956)”

„Autorka pokazuje, w jaki sposób wielka historia, wydarzenia o charakterze politycznym lub militarnym wpływały lub mogły wpływać na życie ludzi. Jest to nie tylko narracja, ale i argumentacja spójna, przekonująca, świadcząca o ogromie pracy, jaką wykonała Badaczka z zebranymi przez siebie materiałami. Książka ta pokazuje również, że wywiad autobiograficzny może być źródłem niebanalnych interpretacji bliskich indywidualnemu doświadczeniu i jednocześnie pozwalających zrozumieć szersze zjawiska społeczne i historyczne”.

– dr hab. Marty Kurkowskiej-Budzan
prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego

Książka dostępna pod adresem: SKLEP.ZAJEZDNIA.ORG

Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”, prowadzący Centrum Historii Zajezdnia, jest instytucją kultury współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Miasto Wrocław.

centrum historii zajezdnia · Ośrodek Pamięć i Przyszłość · SZZiP · Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego · Wrocław miasto spotkań

Publikacja dofinansowana ze środków budżetu państwa w ramach programu Ministra Edukacji i Nauki pod nazwą „Doskonała nauka – Wsparcie monografii naukowych” (projekt nr DNM/SP/547688/2022, kwota dofinansowania: 21 700 PLN; całkowita wartość projektu: 28 460 PLN)

eprasa.pl ea67704293

REKLAMA



Martin Ryšavý

zapowiedź

Wydawnictwa KEW

Wracz

eprasa.pl ea67704293

REKLAMA

WROMIGRANT

miejski punkt informacji i aktywności migrantów i migrantek we Wrocławiu

• **KONSULTACJE DLA MIGRANTÓW**
w zakresie legalizacji pobytu i pracy, spraw urzędowych, edukacji, opieki medycznej, bezpieczeństwa i innych.

• Od 2020, konsultanci/tki udzielili porad migrantom/kom **z ponad 60 krajów świata z 6 kontynentów.**

• **WIELOJĘZYCZNA OFERTA**
Konsultacje prowadzone są w języku **angielskim, ukraińskim, rosyjskim i polskim.**

• **WSPARCIE INFORMACYJNE**
WroMigrant wydaje własne materiały informacyjne, m.in. kompleksowy „Przewodnik WroMigrant dla migrantów/ek i konsultantów/ek międzykulturowych" i „Mapa Wrocławia dla nowych mieszkańców/ek".





WroMigrant to projekt **Wrocławskiego Centrum Rozwoju Społecznego** realizowanego w ramach **Wrocławskiej Strategii Dialogu Międzykulturowego (2018-2022)**.

WroMigrant jest przykładem projektu międzysektorowego, budującego współpracę pomiędzy instytucjami miejskimi, a organizacjami pozarządowymi, uczelniami i lokalnym biznesem.

Zapraszamy do współpracy! Więcej informacji:
www.wielokultury.wroclaw.pl wromigrant
wielokultury_wrocław wromigrant@wcrs.pl

Projekt jest finansowany ze środków Gminy Wrocław

Wrocław miasto spotkań

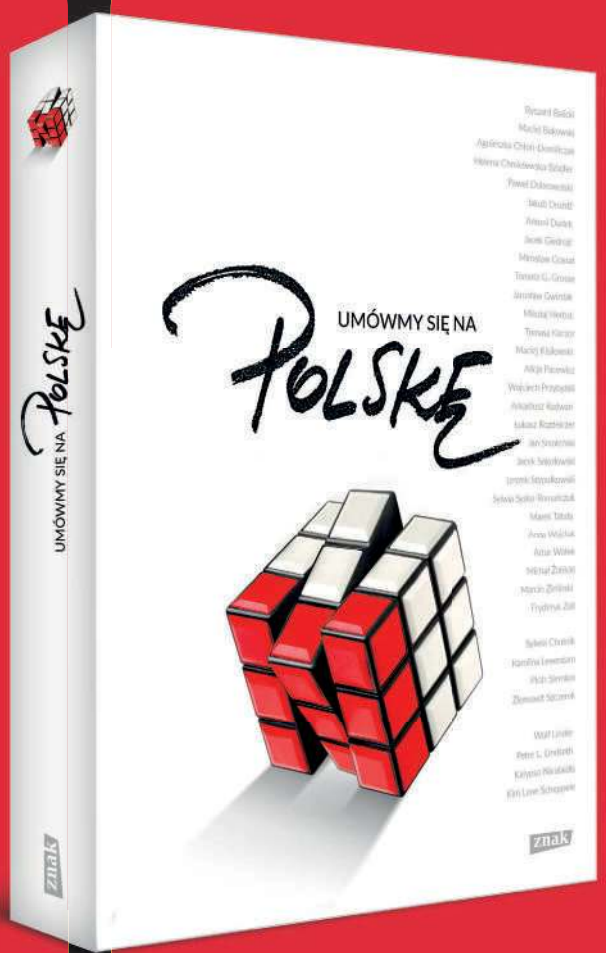
wrocławskie centrum rozwoju społecznego

WROCŁAWSKA STRATEGIA DIALOGU MIĘDZYKULTUROWEGO

eprasa.pl ea67704293

REKLAMA

Zaproszenie do nowego sposobu myślenia o przyszłości naszego kraju i do znalezienia Polski, która pomieści nas wszystkich.



Ta książka jest realizacją wspaniałej idei: można się różnić, a jednak działać wspólnie w ramach ładu instytucjonalnego. Jest nadzieja!

prof. Adam Czarnota
rektor Riga Graduate School of Law

znak
KSIĘGARNIA

eprasa.pl ea67704293

REKLAMA



11 zł
miesięcznie

Miej „Znak” zawsze pod ręką

Wszystkie treści z Miesięcznika dostępne w subskrypcji cyfrowej!

Wygodne, automatyczne odnowienie. Rezygnujesz, kiedy chcesz

Subskrybuj na:

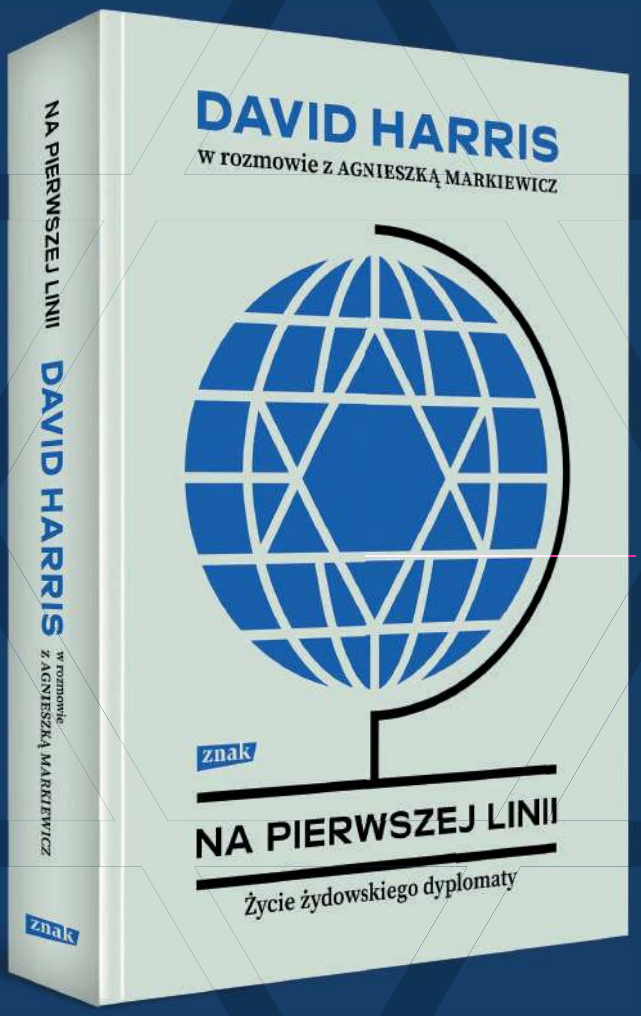
miesiecznik.znak.com.pl/subskrypcja

eprasa.pl ea67704293

REKLAMA

znak
KSIĘGARNIA

Szczera rozmowa z **Davidem Harrisem,** liderem American Jewish Committee



David Harris jest najlepszym rzecznikiem Izraela i Żydów, jakiego znam. Ma świetne pióro, pisze mądrze i przekonująco. Jest znakomitym analitykiem. To ważny głos w relacjach polsko-żydowskich.

Marian Turski
prezydent Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego

eprasa.pl ea67704293

Jestem świadkiem czyjegoś końca świata

Z Pawłem Pieniążkiem, autorem książki *Opór. Ukraińcy wobec rosyjskiej inwazji*, rozmawia Tomasz Kobylański

TOMASZ KOBYLAŃSKI: Przed wybuchem wojny byłeś w Ukrainie. Jakie wówczas panowały nastroje wśród mieszkańców?

PAWEŁ PIENIĄŻEK: Różne. I bardzo szybko się zmieniały. Do Kijowa przyjechałem na przełomie stycznia i lutego 2022 roku, wtedy nastroje były bardzo spokojne. Wybrałem się wtedy na marsz jedności, który nie był zbyt liczny. Może pięć tysięcy osób, a w mieście mieszka ich przecież półtora miliona. Ale podejście ludzi zmieniało się w kolejnych tygodniach. 16 lutego, kiedy rzekomo miało dojść do inwazji, wiele osób traktowało tę zapowiedź jako żart. Mówili, że nic się nie stanie, że wszyscy panikują. Że tak naprawdę to głównie świat tym żyje, mniej Ukraina. Jednak im bliżej było do 24 lutego, nastroje stawały się coraz gorsze, napięcie wzrastało. Częściej słyszało się, że wojna nieuchronnie nadejdzie. Choć jeszcze na dzień przed jej wybuchem spotykałem ludzi, którzy myśleli, że do tego nie dojdzie. 23 lutego przeprowadzałem wywiady z mieszkańcami Charkowa, którzy mówili mi, że nic się nie stanie. Później dotarłem do wyników badań pokazujących, że większość osób w Ukrainie uważała, że konflikt jednak nie wybuchnie. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że coś się dzieje, ale nie do końca było wiadomo co. Mogło się to skończyć tak, jak w 2021 roku, kiedy wojska też grupowały się blisko granicy, ale ostatecznie się wycofały. I wiele osób myślało, że i tym razem przebieg będzie podobny. Nawet żołnierze, z którymi rozmawiałem, myśleli, że wojska rosyjskie nie są na tyle silne, aby sobie poradzić z ukraińską armią. Mimo to w ostatnich dniach przed pełnoskalową wojną widoczna była duża mobilizacja. Nabywano broń i wyposażenie – w sklepach z militariami ludzie kupowali wszystko, co się tylko dało. Dlatego obserwowałem różne podejścia: od wyśmiewania zagrożenia aż po konkretną obawę.

24 lutego nadal byłeś w Charkowie. Wspominasz, że wielu mieszkańców nie było gotowych na wybuch wojny. Okazuje się, że Ty też nie byłeś przygotowany.

Jak najbardziej. Było tak do 23 lutego, czyli do przemówienia Władimira Putina, w którym oficjalnie uznał samozwańcze republiki w Doniecku i Ługańsku. Ta

eprasa.pl ea67704293

deklaracja pokazała, że Rosji nie chodzi tylko o Donbas, ale o coś więcej. Byłem wtedy ze znajomymi w knajpie, oglądaliśmy jego wystąpienie i nabraliśmy wówczas przekonania, że dzieje się coś bardzo poważnego. Moja koleżanka powiedziała, że wojna – a właściwie jej kolejna odsłona – naprawdę nas czeka. Liczyłem jednak na to, że minie jeszcze trochę czasu i atak nie nastąpi z dnia na dzień. Sporo myślałem o tym w kategoriach wydarzeń z 2014 i 2015 roku. Wówczas od deklaracji do jej realizacji minęło co najmniej kilka dni. Wybuch pełnoskalowej wojny w Ukrainie pokazał, że to jednak nie jest reguła.

W każdym razie pojechałem do Charkowa kilka dni wcześniej, mając wykupiony bilet na powrót do Kijowa właśnie na 24 lutego wieczorem. Myślałem, że zdążę przed wojną. W styczniu czy lutym rozmawiałem z kimś o koledze fotoreporterze, który woził cały sprzęt fotograficzny ze sobą. Ja swój ekwipunek zostawiłem w Kijowie, bo wożenie tego ważącego piętnaście kilogramów barachła nie jest zbyt komfortowe.

Co się stało później?

Będąc na miejscu w Charkowie 24 lutego, napisałem pierwsze materiały. Starałem się zrozumieć sytuację, choć początki były chaotyczne. Pojechałem też na obrzeża Charkowa, chodziłem po samym mieście, starałem się pojąć skalę tego, co się dzieje. Teraz widzimy to wszystko dosyć jasno i klarownie, ale tego dnia nikt nie miał pojęcia, co ma miejsce. Skala ataku była bardzo przytłaczająca, a nikt nie wiedział, że rozwój wydarzeń będzie tak dramatyczny. Atak z tylu stron stał się zaskoczeniem dla wielu osób. Potem zrozumiałem, że bez swojego ekwipunku nie mam czego szukać w Charkowie. Sytuacja wyglądała tam bardzo źle. Rosjanie stacjonowali na obrzeżach miasta. Pojawiały się też rosyjskie pojazdy już w samym mieście. Zapowiadało się na to, że nastąpią walki uliczne. Charków mógł zostać zajęty, to było bardzo realne. Dlatego pojechałem do Kijowa, chciałem spojrzeć z lotu ptaka na to, co się dzieje w Ukrainie. I wtedy miałem zamiar dopiero zdecydować, co będę robił dalej.

Wróciłem pociągiem do Kijowa. To był pierwszy pociąg ewakuacyjny, w którym jechało jeszcze niewiele osób. Dopiero później ludzie zaczęli masowo wyjeżdżać, ale wtedy było jeszcze komfortowo: wolne miejsca siedzące, nawet trafiłem do pierwszej klasy. Wróciłem do Kijowa i zostałem na dłużej, niż to się zapowiadało. Wieści nie były najlepsze. Rosyjska armia zbliżała się do stolicy szybko, podeszła niemal pod Kijów. Nie było też wiadomo, czy miasto nie zostanie lada moment zajęte. Kijów stanowił dla mnie najważniejszą historię.

Tytułowy *Opór*... to wedle Twojej relacji nie tylko opór zbrojny przeciwko rosyjskiej inwazji. To także oddolne działania milionów obywateli, którzy zaangażowali się w konflikt od samego początku. Bez nich ta wojna potoczyłaby się zupełnie inaczej?

eprasa.pl ea67704293

Bez oporu zbrojnego ten cywilny niewiele by zdziałał. Ale też wsparcie okazywane w drugą stronę ma tu ogromne znaczenie. Szczególnie w pierwszych dniach i tygodniach wojny było widać, jak wiele osób chce zaangażować się w działania militarne. Armia ukraińska w krótkim czasie gwałtownie zwiększyła liczebność. Choć nie była w najlepszej kondycji, bo nawet świetnie zorganizowane państwo nie poradziłoby sobie z zapewnieniem ekwipunku dla setek tysięcy ludzi w tak krótkim czasie. A Ukraina nim nie jest. Brakowało wszystkiego. Nawet jedzenie stanowiło problem. Nie było jednak tak źle jak w 2014 roku, kiedy Ukraina miała wedle szacunków pięć tysięcy żołnierzy gotowych do walki. Ochotnicy w Donbasie walczyli jednak często w dresach, adidasach i z pałkami zamiast broni. Ludzie w pierwszym momencie pomagali jednak z wyposażeniem wojskowym, szykowali umocnienia, gdyż ukraińskie władze świadomie umniejszały przed 24 lutego możliwe zagrożenie ze strony Rosji. Głównie wychodząc z założenia, że potrzebna jest silna gospodarka. Gdyby o konflikcie wspominano wcześniej, zaczęłaby się panika, ludzie opuściliby kraj i gospodarka całkowicie by upadła. I z tego też powodu mnóstwo rzeczy było nieprzygotowanych.

Tworzono też pewne umocnienia, ale nie na taką skalę, na jaką były potrzebne. W wielu miejscach, na co wskazują publikowane teraz wspomnienia, nie było wystarczającego przygotowania. Mam tu na myśli chociażby Chersoń czy Mikołajów. Mikołajów udało się uratować tylko dlatego, że znajdował się dalej od frontu i było więcej czasu na zorganizowanie obrony miasta. Stąd też liczni ochotnicy w miastach od pierwszych dni wojny. Zwykli ludzie z łopatami i workami z piaskiem, którzy robili barykady. We wszystko byli zaangażowani. Stąd też w książce znajduje się moja rozmowa z kijowskim rzeźbiarzem, który robił jeże przeciwpancerne. Społeczeństwo stało się tkanką, która pomagała tworzyć obronność tego kraju. I to zaplecze okazało się bardzo ważne, bez niego opór Ukrainy jako państwa by się nie powiódł.

To też mnóstwo przelanych pieniędzy, zakupionego dzięki zbiórkom ekwipunku. Do teraz kupowane są samochody dzięki zaangażowaniu wolontariuszy z całej Ukrainy. Pojazdy te jadą na front. Sam znam pewnego bardziej zamożnego żołnierza, który poza frontem jest biznesmenem. W połowie 2022 roku powiedział mi, że w tę wojnę zainwestował już 60 tysięcy dolarów. Przejawy działania są jak widać różne. Ale to też mniejsze gesty, takie jak przyniesienie herbaty na posterunek, kupno jedzenia, ewakuowanie ludności cywilnej czy organizowanie różnych form pomocy. Trochę tak samo, jak było podczas protestów na Majdanie w Kijowie, gdzie popularne hasło głosiło: „Jestem kroplą w oceanie". Tak też stało się i tym razem. Istniało poczucie, że każdy dokłada się do tej sprawy i to tworzy wielką siłę, która jest w stanie stawić opór nacierającej armii. Pokazuje to skuteczność militarną, ale też poparcie spo-

eprasa.pl ea67704293



Archiwum prywatne

Zwracam uwagę na to, że pokój jest czymś ulotnym, nie jest dany raz na zawsze. Jak o niego nie zabiegasz, to może zniknąć. Nikt z tych, z którymi rozmawiam, nie spodziewał się, że wojna w Ukrainie przyjdzie.

łeczne. Rosjanie mieli przewagę liczbową nad Kijowem w skali 12 do 1. To jest dużo więcej, niż potrzeba do przeprowadzenia skutecznej ofensywy. Dzięki temu oporowi Kijów jest dziś bezpiecznym miastem, jest tam spokojnie.

Twierdzisz, że nic Cię nie nauczyło umiejętności cierpliwego czekania tak dobrze jak wojna. W czym się to przejawia?

We wszystkim. Na przykładzie Ukrainy widać, że im dłużej trwa wojna, tym częściej jako reporterzy stykamy się z biurokracją. Czas poświęcony na napisanie materiału, który trafia do rąk czytelników, to jakieś 5 procent całej pracy. Większość to siedzenie i czekanie, umawianie się na rozmowy. W międzyczasie ktoś odwołuje spotkania, wojskowi zabierają dziennikarzy w zupełnie nieciekawe miejsca. Ukraina jest świetnym przykładem tej biurokracji. W lutym czy marcu 2022 roku można było sobie robić, co się chciało. Teraz panuje skomplikowany system akredytacji, konieczność

eprasa.pl ea67704293

kontaktów za pośrednictwem oficerów prasowych. Na samo przyznanie akredytacji czeka się około półtora miesiąca. Lista oficerów prasowych liczy kilka stron. Nie wiadomo, gdzie stacjonują. Aby cokolwiek ustalić, musisz zadzwonić do odpowiedniej osoby. Często dzwonisz do oficera odpowiadającego za konkretny region, ten kieruje do odpowiedzialnego za daną brygadę i tak dalej. Jest to męczące. W 2014 roku było inaczej i na pewno łatwiej. W ciągu dnia mogłeś kilka razy zmieniać strony, po których pracujesz. Teraz jest to całkowicie niemożliwe.

Ponad dekadę temu byłeś redaktorem „Nowej Europy Wschodniej". Później relacjonowałeś dla innych mediów wiele konfliktów zbrojnych. Byłeś w Syrii i Afganistanie. Czym z perspektywy dziennikarza różni się od nich trwająca wojna w Ukrainie?

I one także były raczej zbiurokratyzowane. Afganistan opierał się jednak bardziej na kontaktach: ktoś cię przepchnie, coś załatwi. Wszędzie są takie sytuacje, że znajomości – także z politykami i wojskowymi – pozwalają załatwić pewne sprawy dużo szybciej, dojechać dużo dalej. Tam bardziej oczekiwało się od dziennikarza lojalności i tego, że będzie opowiadał to, co chce konkretna strona konfliktu. Były też próby cenzurowania rzeczywistości, pokazywania elementów wygodnych dla danej strony. Więc w zasadzie trudno było tam pozostać niezależnym dziennikarzem, który robi, co chce, jeździ, dokąd chce. Zresztą wielu dziennikarzy wciąż nie relacjonuje, są bojownikami o jakąś sprawę. Przez to różne strony tych konfliktów żywią uzasadnioną obawę, że ci ludzie nie chcą pokazywać obrazu takim, jaki jest, tylko czynią to na swoją modłę.

Konkretne państwa posługują się swoją propagandą i z perspektywy dziennikarza nie stanowi to żadnego problemu. Po prostu zależy im na tym, aby ich sprawa była jak najlepiej opowiedziana. Dla dziennikarza relacjonującego wojnę najbardziej złotym czasem jest jednak okres chaosu, kiedy panuje kompletny bałagan.

Ale to zarazem najbardziej niebezpieczny czas?

Tak. Nikt nie sprawuje nadzoru nad tym, dokąd pojechać, a gdzie nie. W pierwszych tygodniach wojny w Ukrainie zginęło najwięcej dziennikarzy. Bo mogłeś jechać niemal wszędzie, ale czasami niestety za daleko. Z drugiej strony daje to możliwości robienia materiału takiego, jaki się chce zrealizować. Można łatwiej wejść we współpracę z żołnierzami. Teraz jest mnóstwo pozamykanych stref, do których nie sposób wjechać. Chyba że są to uprzywilejowani dziennikarze, bo politycy uważają ich z jakiegoś powodu za ważnych. W ostateczności takie postępowanie zabije zainteresowanie mediów wojną w Ukrainie. Dziennikarze będą się zniechęcać.

Planujesz wrócić nad Dniepr?

Tak. Będę wracał regularnie. Przyjeżdżałem do Ukrainy wielokrotnie od 2008 czy 2009 roku. W Kijowie byłem po raz

eprasa.pl ea67704293

pierwszy w 2011 roku. Ubiegły rok jednak bardzo fizycznie mnie zmęczył. Współpraca z licznymi mediami, relacjonowanie konfliktu, napisanie książki, o której rozmawiamy. Robię to wszystko już od dziewięciu lat i co roku jestem świadkiem czyjegoś końca świata. Tak było w Afganistanie w 2021 roku, tuż po tym jak talibowie przejęli władzę. Wcześniej, gdy Turcja atakowała Syrię. Albo gdy Turcja atakowała Państwo Islamskie. Co roku śledzę straszne wydarzenia. A z każdym kolejnym rokiem okazuje się, że może być jeszcze gorzej. Więc nie mam już takiego przeczucia, że coś przegapię i muszę być zawsze na miejscu. Nawet jak coś mnie ominie, to wiem, że znowu coś się pojawi.

Wszystkich konfliktów jest dużo, dużo więcej. Jest to dla mnie bardzo przygnębiające. Staram się zwrócić uwagę na to, że pokój jest czymś bardzo ulotnym, złudnym, nie jest dany raz na zawsze. Jak o niego nie zabiegasz, to może zniknąć. Żaden z moich rozmówców nie spodziewał się, że ta wojna przyjdzie. To trochę tak, jak w półorientalnej opowieści, w której są ludzie walczący ze sobą od dawna. A tak naprawdę to są ludzie, którzy tej wojny się nie spodziewali. Mieli nadzieję, że ich ominie. W 2022 roku to postrzeganie trochę się zmieniło, ale w Europie i Polsce zawsze istniało poczucie, że wojna jest czymś dalekim, archaicznym. Konflikty postrzegano w sposób bardzo naiwny – że jeśli gdzieś wybuchają, to nie mają nic wspólnego z Polakami czy Europejczykami.

W jakim kierunku zmierza według Ciebie ta wojna?

To wróżenie z fusów. Obecnie każde rozwiązanie jest możliwe. Najbardziej skłaniam się ku temu, że nie wygra nikt. Wojna ugrzęźnie. I jeśli konflikt nie zostanie rozwiązany, to pewnie po latach będziemy mieć kolejną jego eskalację. Dlatego dążenie za wszelką cenę do złudnego pokoju jest odroczeniem wojny w czasie, tak jak w Górskim Karabachu. Zamrożony konflikt zazwyczaj się odmraża. Zmiennych jest tu jednak bardzo dużo i wszyst-ko może się jeszcze zdarzyć.

Paweł Pieniążek jest dziennikarzem, stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym". Był również redaktorem „Nowej Europy Wschodniej", jego artykuły ukazywały się też m.in. na portalu Gazeta.pl, w „Gazecie Wyborczej" i „Krytyce Politycznej". Relacjonował wydarzenia m.in. z Afganistanu, Iraku, Syrii i Ukrainy. Autor książek *Wojna, która nas zmieniła* i *Pozdrowienia z Noworosji*. W lutym 2023 roku ukazał się jego najnowszy reportaż *Opór. Ukraińcy wobec rosyjskiej inwazji*.

eprasa.pl ea67704293

Renesans prometeizmu

Z prof. Pawłem Kowalem, współautorem książki *Spokojnie już nie będzie. Koniec naszej belle époque*, rozmawia Wojciech Wojtasiewicz

WOJCIECH WOJTASIEWICZ: Co czeka Polskę, Europę i świat po *belle époque*, która jak Pan twierdzi w rozmowie rzece z redaktorką Agnieszką Lichnerowicz, przeszła do lamusa?

PAWEŁ KOWAL: Należy zadać sobie dwa pytania. Po pierwsze, kiedy skończyła się III Rzeczpospolita, a po drugie, kiedy dokładnie po rozpadzie sowieckiej strefy wpływów skończyła się *belle époque*. To drugie zagadnienie jest pojęciem szerszym, dotyczy w pewnym sensie regionu, a nawet całego zachodniego świata. III RP była oparta na trzech fundamentach: mocno wolnorynkowej gospodarce szkoły neochicagowskiej, gwarancjach zewnętrznych NATO i Stanów Zjednoczonych dla twardego bezpieczeństwa Polski, zrównoważonym ustroju opartym na trójpodziale władzy, który był jednym z warunków holistycznego wparcia ze strony Zachodu. Podstawę aksjologiczną państwa stanowił katolicyzm. To był jeden z bodaj największych paradoksów, że państwo *par excellence* liberalne za aksjologię przyjęło katolicyzm w konserwatywnym, wojtyłowym wydaniu. Chociaż był to konserwatyzm otwarty, to jednak konserwatyzm, nawet z punktu widzenia historii Kościoła, w którym po Soborze Watykańskim II istniało wiele liberalniejszych nurtów. I to właściwie się skończyło. Polska nie ma już dziś superliberalnego systemu gospodarczego. Przechodzimy na socjalny ustrój państwa. Powiedziałbym nawet za bardzo socjalny, jak na nasze możliwości finansowe. Gwarancje militarne dla naszego kraju także należy już inaczej rozpatrywać: zagrożenie konfliktem jest bardziej prawdopodobne, zaangażowanie Zachodu – większe, ale też oczekiwane jest takie, czyli znacznie większe zaangażowanie ze strony naszego kraju. Gwarancje mają zatem inny charakter niż po 1991 roku. Jeżeli chodzi o zrównoważony system polityczny, to trójpodział władzy został poważnie naruszony, kwestia sądów jest jednym z najpoważniej dyskutowanych tematów. Katolicyzm nie jest już powszechnie uznawaną podstawą aksjologiczną państwa. Jednocześnie zamknęła się *belle époque* dla całej Europy Środkowej. Gwarancja bezpieczeństwa bezpowrotnie zakończyła się 24 lutego 2022 roku.

W książce wielokrotnie wraca Pan do nurtu prometejskiego i myśli Giedroycia w polskiej polityce wschodniej. Ile z tej spuścizny obecne jest w polityce rządów PiS i na ile ta polityka zmieniła się po 24 lutego?

eprasa.pl ea67704293

Początek rządów PiS w 2015 roku oznaczał wycofanie się z polityki prometejskiej, a także wycofanie się z linii przyjętej wcześniej przez Lecha Kaczyńskiego. Właściwie przez pierwsze lata rządów PiS relacje polsko-ukraińskie zredukowano do kwestii bezpieczeństwa i bezowocnego dyskutowania spraw historycznych. Można powiedzieć, że na szczęście w kwestiach bezpieczeństwa relacje te pozostawały efektywne. Nastał taki czas w polskiej polityce, kiedy PiS, ale też inne środowiska uważały, że kwestie ukraińskie – szczególnie w kontekście spraw historycznych – stanowią strukturalny problem dla każdego rządu. Pisowcy uznali, że duża liczba ich wyborców jest powiązana ze środowiskami kresowymi czy poleskimi. W związku z tym podtrzymywanie dobrych relacji polsko-ukraińskich miało oznaczać utratę części elektoratu. To się potem trochę zmieniło. Ministrem spraw zagranicznych, który po Witoldzie Waszczykowskim dokonał pewnej korekty, był Jacek Czaputowicz. Zorientował się, że sprawy nie idą w dobrym kierunku. Później, w czasie drugiej kadencji PiS, nastąpiła pełna konfrontacja z instytucjami europejskimi. W związku z tym środowiskami sojuszniczymi PiS stały się grupy populistyczne i nacjonalistyczne w Europie, między innymi: Viktor Orbán, Silvio Berlusconi, Matteo Salvini, Marine Le Pen. Następnie prawie doszło do zawarcia sojuszu z tymi partiami. Był to sojusz mocno antyeuropejski, ale w rzeczywistości niósł otwarcie na relacje z kremlowską Rosją. Na szczęście to się nie powiodło. Atak Rosji na Ukrainę spowodował, że konstrukcja partii proputinowskich, antyeuropejskich i antyintegracyjnych nie miała żadnego sensu. Nastąpił powrót do bardziej holistycznych relacji z Ukrainą i błyskawiczne odnowienie stosunków ze Stanami Zjednoczonymi. Obie te kwestie ściśle wiązały się ze zwycięstwem Ukrainy. Rząd PiS znalazł się w sytuacji, w której nie mógł prowadzić żadnej innej polityki, musiałby bowiem działać całkowicie wbrew społeczeństwu. Nie miałby szans na reelekcję. Dzisiaj polityka prometejska ponownie znajduje się w głównym nurcie. Trzy lata temu wydawało się, że doktryna ta jest już nieaktualna. Wielu ekspertów się ze mnie podśmiewało, że jej się tak kurczowo trzymam.

W książce wraca Pan często do postaci Karola Wojtyły. Na czym polegała jego rola w odniesieniu do upadku komunizmu i polskiej polityki wschodniej oraz czy na jego dokonania nie wpłyną negatywnie doniesienia o tuszowaniu pedofilii w Kościele?

Bez wątpienia Karol Wojtyła był jednym z najwybitniejszych polityków w dziejach Polski. Był kluczową postacią XX wieku, która przeprowadziła proces wyjścia z totalitaryzmu, nie tylko w odniesieniu do Polski, ale wielu państw na świecie. Był pierwszym papieżem, który na taką skalę przyjął doktrynę uniwersalnych praw człowieka, pod którą podpisywał się jako duchowny. W praktyce

eprasa.pl ea67704293

był politykiem, mężem stanu biorącym praktyczny udział w rozmontowywaniu państwa komunistycznego, marksizmu. Jego sojusz z Ronaldem Reaganem okazał się jednym z najbardziej efektywnych sojuszy politycznych XX wieku. Osiągnięcia Wojtyły w kontekście zniszczenia komunizmu i rozmontowania Związku Sowieckiego i polityki wschodniej stanowią chwałę polskiej pozycji politycznej w świecie. W kategorii Polaków, którzy wykorzystując pozycję międzynarodową, wsparli sprawę polską, można go zestawić jedynie z Janem III Sobieskim, Zbigniewem Brzezińskim i Adamem Jerzym Czartoryskim. Tylko takie porównanie daje nam pojęcie o skali wielkości Wojtyły.

To, w jaki sposób jako arcybiskup w Krakowie radził sobie ze sprawcami przestępstw na gruncie seksualnym, należy rozpatrywać na gruncie epoki. Z perspektywy historycznej widzę, jak w tamtych czasach źle radzono sobie z przestępstwami seksualnymi, jak słabe było pod tym względem prawo karne, jak niedopracowane normy. Jeżeli chodzi o ocenę etyczną – sprawa jest fundamentalna. Wielu z tych przypadków można jeszcze zadośćuczynić. To polityczne zadanie dla Kościoła, dla polityków, bo sprawa ta ma znaczenie polityczne.

Szukając całościowej mądrej oceny czasów Wojtyły, można i trzeba sobie zadawać pytania o typ jego przywództwa. Był to lider charyzmatyczny. Jego przywództwo było oparte na słowie, przekonywaniu, perswazji. Najsłabsze jego strony dotyczą zarządzania finansami i kadrami. W tym zakresie popełnił jako papież kilka błędów: sprawa Marciala Maciela Degollado, nominacje dla Hansa Hermana Groëra czy Theodore'a McCarricka. Jeżeli wskazałbym na rzeczy, które były problemem w ocenie politycznej Wojtyły, to nie należą do nich historie z Krakowa, ale późniejsze. Niektóre nominacje papieskie poważnie osłabiły efekty jego wysiłków w budowie pozycji Kościoła na świecie. Jeżeli uważnie czyta się źródła, trudno za wszystkie błędy winić Wojtyłę. Widać po prostu problemy z zarządzaniem instytucją, zbytnią naiwność i jej konsekwencje itd.

Pamiętam z dzieciństwa kult papieża. Obecnie mam wrażenie, że narracja przeszła z jednej skrajności w drugą. W tym rozliczaniu zapomina się o roli politycznej Wojtyły.

Żeby zrozumieć sprawę Wojtyły od strony tego, jakim był zarządcą, musimy przeprowadzić chłodną analizę. Każdego przywódcę należy poddać ocenie w kilku kategoriach. Wśród nich znajdują się następujące zagadnienia: możliwość zmieniania świata i formowanie programu politycznego. I w większości tych kategorii Wojtyła otrzymuje dziesięć punktów na dziesięć. Natomiast są takie aspekty, jak właśnie zarządzanie personelem i finansami, gdzie widać jego słabości. Jeżeli rozumiemy jego osobowość, to łatwo dochodzimy do wniosku, z czego brały się jego słabości. Był to człowiek empatyczny, co pozwalało mu dobrze wyczuwać emocje społeczne. Empatia w zarządza-

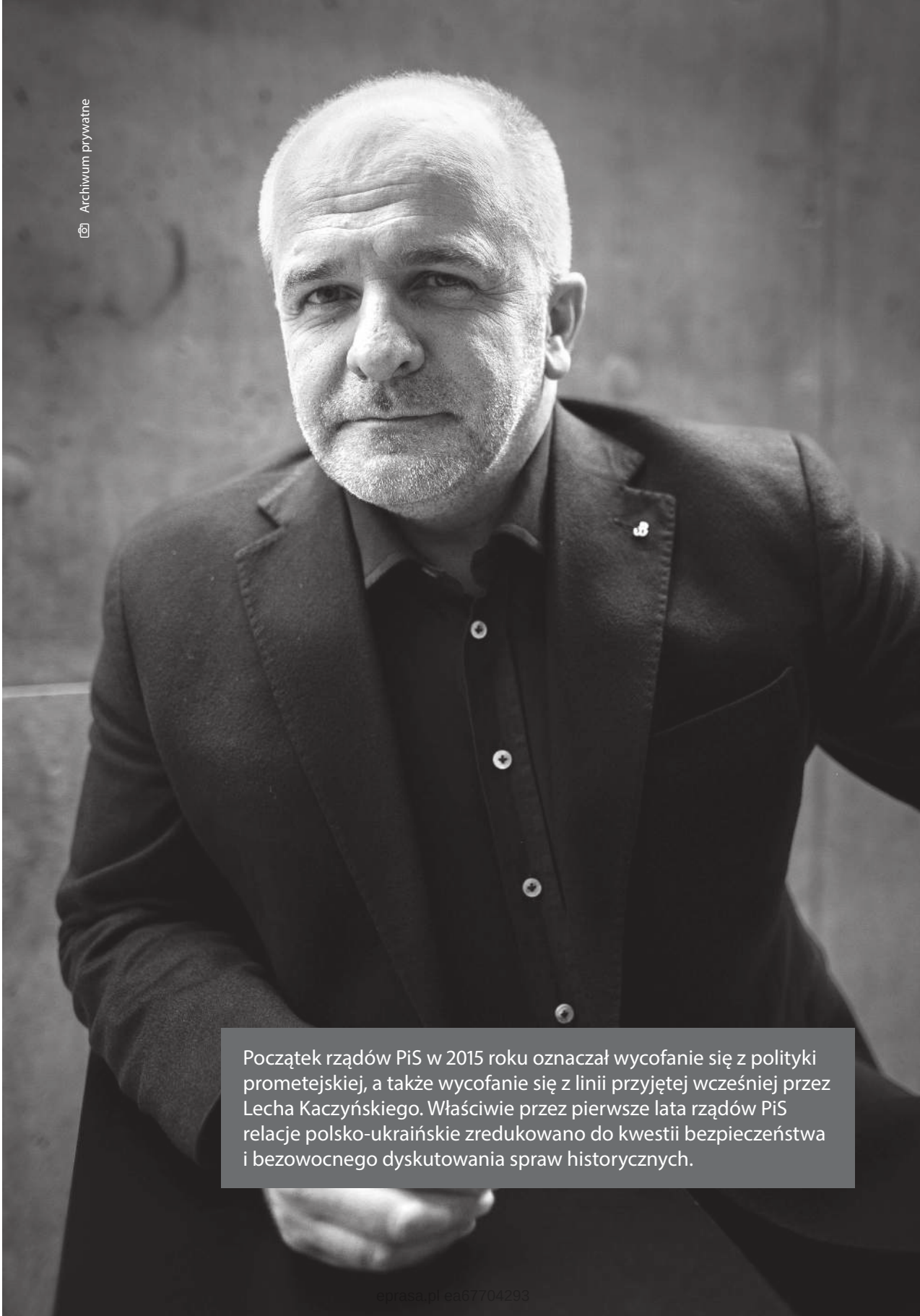
eprasa.pl ea67704293

niu jest często jednym z najgorszych doradców. W przypadku osób uporczywie popełniających błędy lub wręcz przestępstwa powoduje, że ich szef najczęściej się myli, daje się zwieść obietnicom poprawy. Jeżeli ktoś ma dobrą wolę i chce zrozumieć, a nie tylko osądzić, to widzi Wojtyłę jako szefa, który daje się omamić. To wynika także z korespondencji, którą prezentuje Ekke Overbeek. Po prostu Wojtyła wierzy, że jego współpracownicy się poprawią. Wynika to także z braku wiedzy na temat skłonności do przestępstw seksualnych. W wielu przypadkach nie są to sprawy, które podlegają łatwej zmianie, szczególnie bez zewnętrznego wsparcia. I tak było w przypadku różnych ludzi, których spotykał na swojej drodze Wojtyła. Trzeba nie mieć doświadczenia życiowego albo być klerykałem, bo oni podchodzą do Wojtyły jak do świętego, jak do Pana Boga. Nawet w religii katolickiej święty to ktoś, kto popełnia błędy, a tu widać oczekiwanie, żeby Wojtyła błędów nie popełniał. Trzeba jeszcze powiedzieć, jak Wojtyła przyczynił się do rozmontowania Związku Sowieckiego. Po pierwsze, był bardzo dobrze przygotowany, jeżeli chodzi o sprawę ukraińską, mogliśmy się o tym przekonać podczas jego podróży do USA i wizyt w tamtejszych ośrodkach naukowych, na przykład na Harvardzie. Na konklawe został wsparty przez kardynałów amerykańskich i niemieckich, co miało ogromne znaczenie geopolityczne. Zostało to natychmiast odczytane przez KGB jako zagrożenie polityczne. Miał świadomość wagi polskiej sowietologii, bo wiedział od sowietologa Oskara Haleckiego, a także od Zbigniewa Brzezińskiego, z którym utrzymywał stałą korespondencję, o tym, że rozmontowanie Związku Sowieckiego musi oznaczać wyłączenie Polski i Ukrainy z Układu Warszawskiego. Dokładnie wykonał te ruchy, które były konieczne, żeby zburzyć ZSRR.

Stawia Pan tezę o tym, że istnieje spora szansa, że Rosja się rozpadnie. Na ile jest to prawdopodobne i w jakiej perspektywie czasowej? A może zaistnieje jakiś rodzaj liberalizacji systemu politycznego Rosji?

Oczywiście, że zaistnieje. Tylko do tego konieczna jest deimperializacja i dekolonizacja Rosji. Rosja jest w ostatniej fazie dekolonizacji, przestaje być imperium. Państwa dotychczas z nią współpracujące, jak na przykład Kazachstan, odwracają się od niej. Rosja nie rozpadnie się jak zwierciadło. Będzie powoli traciła kontrolę nad swoimi prowincjami, najpierw faktycznie, potem formalnie. Władza w tych regionach będzie przechodziła w ręce mafii, różnych lokalnych struktur, także politycznych i biznesowych. Niektóre kraje będą próbowały uzyskać niepodległość. Trzeba zwracać uwagę na przykład na to, co dzieje się z Czeczenią. Należy też obserwować to, co ma miejsce w Kazachstanie. To kolejne miejsce, gdzie pewne procesy staną się widoczne szybciej. Nie ma perspektywy totalnego zwycięstwa Rosji. To bardzo mało prawdopodobne. Zatem w każdym scenariuszu, który można brać pod uwagę, także tym najbardziej

eprasa.pl ea67704293



Archiwum prywatne

Początek rządów PiS w 2015 roku oznaczał wycofanie się z polityki prometejskiej, a także wycofanie się z linii przyjętej wcześniej przez Lecha Kaczyńskiego. Właściwie przez pierwsze lata rządów PiS relacje polsko-ukraińskie zredukowano do kwestii bezpieczeństwa i bezowocnego dyskutowania spraw historycznych.

eprasa.pl ea67704293

korzystnym dla Putina, czyli *never ending war*, końcem będzie osłabienie Rosji i jej spoistości, a to wreszcie musi oznaczać deimperializację i dekolonizację.

Jeżeli ziści się wariant *never ending war*, to czy nie podejrzewa Pan, że w końcu elita kremlowska zechce odsunąć Putina od władzy? Czy wybiorą kogoś spośród siebie na jego następcę?

Pewnie wybiorą kogoś ze swojego kręgu albo wskażą kogoś z zewnątrz. Trzeci wariant, najbardziej korzystny, ma charakter transformacyjny. Ludzie z opozycji z osobami wywodzącymi się z obecnej ekipy stworzą rząd Rosji. Być może stanie się to dopiero w drugiej fazie, bo pierwsza będzie oznaczała osłabianie Putina na pozycji bardziej radykalnej, na zasadzie „nie poradził sobie z Ukrainą". Wielu ludzi na Zachodzie się tego obawia, myśląc, że oznacza to radykalizację. Ale niekoniecznie tak musi być. Oznacza tylko radykalniejsze słowa w pierwszej fazie zmiany, a następnie przejście do negocjacji z Zachodem. Dziś główny problem otoczenia Putina polega na tym, że widzi ono, że obecna sytuacja prowadzi *de facto* do osłabienia Rosji – twardego jądra imperium, które zostało po Związku Sowieckim.

Nie patrzy Pan z pesymizmem w przyszłość? Nie boi się Pan, że kraje bałtyckie i Polska mogą stać się kolejnymi ofiarami rosyjskiego imperializmu?

Ten scenariusz leży na stole Putina, ale stół ten nie przetrwa tylu lat. Najbardziej prawdopodobny scenariusz to szybkie zakończenie wojny w taki sposób, że Ukraina dochodzi do swojej granicy w Donbasie. Ma wtedy wszelkie warunki, żeby siadać do rozmów. Jednak drugim wymogiem musi być zmiana władzy w Rosji. To otwiera drogę do negocjacji i pozwala kremlowskiej elicie na obciążenie Putina winą za wojnę i brak uzysku terytorialnego. Z punktu widzenia Moskwy najlepszy możliwy scenariusz w tej chwili, to skończyć wojnę pod hasłem: wojna się skończyła, nie mamy uzysku terytorialnego, trudno.

Zakładając, że Ukraina wygra, jakie są szanse na zachodnią pomoc na odbudowę państwa?

Szanse są ogromne. Zachód będzie chciał, jak zawsze, zasypać euro i dolarami swoje sumienie. Nie zareagował bowiem na czas. W tym przypadku jednak jest trochę inaczej niż w podobnych historiach w XXI wieku. Wsparcie Zachodu – zarówno Unii Europejskiej, jak i USA – jest w zasadzie bardzo duże. Zatem będzie też oczekiwanie dużego udziału w odbudowie i warunki tej odbudowy mogą być korzystniejsze dla Kijowa. Ukraina nie będzie jedynie zasypywana pieniędzmi, będzie za tym podążał jakiś konkretny plan. Są liczne pomysły, ale najbardziej miarodajny plan to ten z Lugano, przygotowany wspólnie przez Kijów i Unię Europejską. Zostały w nim co prawda zawarte jedynie ogólne zasady.

eprasa.pl ea67704293

Drugi plan stworzono w USA. W większym stopniu oparty jest na pieniądzach pochodzących od krajów grupy G7. „Plan Marshalla" dla Ukrainy powinien w większym stopniu stanowić połączenie planu z Lugano z amerykańskim. Gdyby Polska miała większą siłę przebicia, mogłaby zaproponować stworzenie agencji certyfikującej pomoc, aby ta miała charakter modernizacyjny, a nie wzmacniający pozycje oligarchów czy sprzyjający korupcji.

Jak agresja rosyjska wpłynie na przyszłe członkostwo Ukrainy w Unii Europejskiej?

Integracja musi odbyć się szybko, bo po konflikcie nastąpi demoralizacja powojenna, co stanowi bardzo duże zagrożenie dla Ukrainy i jej sąsiadów. Jedynym sposobem na zniwelowanie długofalowych, strukturalnych skutków wojny o charakterze gospodarczym, politycznym i psychologicznym w społeczeństwie jest zaproponowanie nowego otwarcia, a będzie nim bez wątpienia wejście do Wspólnoty. W przypadku Ukrainy będziemy mieć do czynienia z pełnowartościowym przystąpieniem do Unii. Leży to szczególnie w interesie Europy Środkowej dlatego, że długotrwałe wchodzenie do Unii, przeciąganie negocjacji może spowodować dodatkową frustrację społeczeństwa ukraińskiego, a to może być zabójcze dla negatywnego oddziaływania kraju nad Dnieprem na naszą część Europy. Integracja europejska Ukrainy to kwestia pięciu–siedmiu lat. Nie zapominajmy, że Ukraina ma bardzo zaawansowaną umowę stowarzyszeniową i o strefie wolnego handlu. *De facto* samo wypełnienie tych umów jest już formą negocjacji. Rozmowy akcesyjne nie będą trwały tak długo, jak w przypadku Polski, bo wiele elementów jest już prowizorycznie rozwiązanych w obecnych porozumieniach Kijowa z Unią Europejską.

Mołdawia też otrzymała status kandydata, gorzej to wygląda w przypadku Gruzji. Przyznano jej perspektywę europejską i dwanaście rekomendacji do zrealizowania. Jak ocenia Pan szanse Tbilisi na integrację z Zachodem w kontekście antyzachodniej i antyukraińskiej retoryki gruzińskiego rządu?

W przypadku Gruzji to kwestia decyzji jednej osoby, czyli faktycznego przywódcy Bidziny Iwaniszwilego. Jeżeli ta retoryka się nie zmieni, będzie to czynnik blokujący drogę Tbilisi do Wspólnoty. Jeżeli chodzi o strategiczne decyzje, to jest dla mnie jasne, że Gruzja powinna wejść do Unii, to kwestia jej bezpieczeństwa w dużo większym stopniu niż kwestia szczegółowych regulacji. Gruzja nie jest zbyt dużym krajem i różne problemy można tam rozwiązać. Do rozstrzygnięcia pozostają zagadnienia wyłącznie polityczne, a reszta w sensie praktycznym jest już łatwa do osiągnięcia.

W książce stawia Pan tezę, że Unia Europejska powinna uznać Swiatłanę Cichanouską za prezydentkę Białorusi. Twierdzi Pan, że lobbowanie

eprasa.pl ea67704293

za tym rozwiązaniem powinno stać się zadaniem polskich władz. W jaki sposób osłabiłoby to reżim Aleksandra Łukaszenki?

Z naszego punktu widzenia nie możemy rozpatrywać Łukaszenki jako oddzielnego od Rosji podmiotu. To błąd. Należy go uznać za kogoś w rodzaju ministra w rządzie Rosji. Myślę, że są trzy twarde argumenty dla Polski. Po pierwsze: fakt, że w więzieniach Białorusi przebywa trzy tysiące działaczy politycznych. To bardzo duża liczba. Po drugie: że Łukaszenka rozwalił wszystkie polskie organizacje. Po trzecie: że zaczął jak barbarzyńca najgorszego sortu celowo niszczyć polskie miejsca pamięci, dzieła sztuki, cmentarze. Co jeszcze musi się wydarzyć, żeby się okazało, że utrzymywanie relacji z tym człowiekiem nie ma najmniejszego sensu? Lepiej – trochę ryzykując – zainwestować w białoruski rząd na uchodźstwie, dać mu i prezydentce możliwość działania. Doprowadzić wreszcie do powstania Białoruskiej Rady Narodowej, która byłaby prototypem przyszłego, legalnego, niezależnego parlamentu. To paradoks, że Białoruś wyklarowała się jako niezależne od Rosji społeczeństwo obywatelskie podczas wydarzeń lat 2020–2021, a państwo białoruskie, z winy Łukaszenki, się zwinęło. Jednak nie jest to stan na zawsze.

Jak formalne uznanie Cichanouskiej wpłynęłoby na sytuację w Białorusi?

To tak, jakby zapytać, czy uznanie rządu emigracyjnego Polski wpłynęłoby na sytuację w Polsce. Oczywiście, że tak. Moralnie i politycznie mobilizowałoby Białorusinów do walki po stronie koalicji antyputinowskiej.

Dlaczego nie doszło do tej pory do spotkania Cichanouskiej z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim?

Władze Ukrainy żyją w przekonaniu, że będą mogły jeszcze w jakiejś sprawie liczyć na wsparcie Łukaszenki. Jednak tak się nie stanie. Zresztą po upadku Putina Łukaszenki też nie będzie u władzy.

Prof. Paweł Kowal jest politykiem. Politolog, historyk i publicysta, doktor habilitowany nauk społecznych, profesor Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk. Autor wielu książek o tematyce wschodnioeuropejskiej. W lutym 2023 roku nakładem wydawnictwa Agora ukazała się książka *Spokojnie już nie będzie. Koniec naszej belle époque* – wywiad rzeka przeprowadzony przez Agnieszkę Lichnerowicz z Pawłem Kowalem.

eprasa.pl ea67704293

To nie jest kraj dla młodych raperów

Kuba Benedyczak

Większość niezależnie myślących rosyjskich raperów i standuperów musiała opuścić ojczyznę po inwazji Rosji na Ukrainę. Jednak nawet gdyby wojna nie wybuchła, musieliby wyjechać, bo inaczej czekało na nich więzienie. Putinowski neototalitaryzm nie zaczął się 24 lutego poprzedniego roku, lecz znacznie wcześniej.

Jeszcze pod koniec 2021 roku Komitet Śledczy Federacji Rosyjskiej wszczął postępowanie karne przeciwko współczesnym artystom, robiąc z siebie bandę idiotów. Przesłanką rozpoczęcia śledztwa stał się satyryczny apel „grupy patriotów" do przewodniczącego Komitetu, Aleksandra Bastrykina, mówiący o tym, że Oxxxymiron i Noize MC „stanowią dla Rosji większe zagrożenie niż NATO". Komitet Śledczy oczywiście nie zrozumiał ironii i odważnie podjął wyzwanie.

Komitet Śledczy nie kuma bazy

Na największej rosyjskiej platformie blogowej Żiwoj Żurnał (Live Journal) anonimowa grupa „patriotów" zaapelowała do Bastrykina, by zrobił porządek z obywatelami Iwanem Aleksiejewem (Noize MC) i Mironem Fiodorowem (Oxxxymiron), którzy dopuścili się tradycyjnych grzechów. Aleksiejew w swoich piosenkach propagował LGBT i rysował mundurowych jako głupców w epoletach. Fiodorow zaś rehabilitował nazizm, a w utworze *Agent* przyznał się, że widnieje na liście płac amerykańskiego departamentu stanu. Tym samym miał ocieplać wizerunek zagranicznego agenta, dążąc do obalenia rosyjskiej władzy.

Owszem, Oxxxymiron w swoim utworze ironicznie wyznał, że jest zagranicznym agentem, bo wedle definicji prawnych należy do tej kategorii: pochodzi z rodziny rosyjskich Żydów (jego debiutancki album nosi tytuł *Wieczny Żyd*), która wyemigrowała do Niemiec, gdy ten był kilkuletnim chłopcem. Potem przeniosła się do Wielkiej Brytanii, w której raper uzyskał obywatelstwo i dyplom Oksfordu. Tak więc teoretycznie ironię „zagranicznego agenta" i apel „patriotów" na poważnie mógł potraktować jedynie idiota. Albo sadysta. Jeszcze gorzej sprawa wygląda w przypad-

eprasa.pl ea67704293

ku Noiza, ponieważ w „patriotycznym apelu" czytamy: „Prawdę mówiąc, twarze oficerów naszych organów nie zawsze prezentują się najlepiej, a momentami, gdy otwierają usta, wydają się agresywnymi kretynami, wywołującymi depresję i myśli samobójcze. W tej kwestii trzeba coś zrobić, inaczej wrogowie wykorzystają naszą słabość". Ironia jest tutaj czymś oczywistym, ale Komitet Śledczy nie skumał bazy.

Oczywiście nikomu nie przeszkadzałby utwór Oxxxymirona (urodzonego w 1985 roku), gdyby nie jego aktywność obywatelska. W przeszłości raper stanął w obronie aresztowanego kolegi po fachu Huskiego oraz uczestniczył w licznych protestach, między innymi przeciwko naruszeniom w wyborach do moskiewskiej Dumy Miejskiej i wysłaniu do łagru Aleksieja Nawalnego. Najwyraźniej Komitet Śledczy stwierdził, że nie zamierza dłużej tolerować jego samowoli, ponieważ ten wychudzony, łysy chłopak ze zdiagnozowaną chorobą maniakalno-depresyjną jest jednym z najważniejszych hiphopowych głosów dzisiejszych trzydziestolatków i po prostu jednym z najzdolniejszych raperów w kraju, zwłaszcza jeśli chodzi o teksty. A zatem lepiej go zawczasu przyciszyć, póki nie nawyrabia jeszcze większych głupot i jeszcze bardziej nie zdeprawuje młodzieży. Zwłaszcza, że tuż przed wojną po sześciu latach milczenia Oxxxymiron wydał album *Piękno i brzydota*, a więc szykował się do trasy koncertowej. Nawet gdyby udało się w nią ruszyć, bo nie wybuchłaby wojna, FSB i tak naciskałaby na organizatorów, by odwoływali koncerty, co jest wypróbowanym w Rosji mechanizmem i trwa do chwili obecnej. Już w 2018 roku zamykano koncerty Huskiego, Eldżeja, Jaha Khaliby, Ganwiesty, gwiazd popu Monetoczki, Matrangi i grupy Friendzona, a na końcu koncerty alternatywnego duetu Ajspik.

Dziennikarskie śledztwa „Nowej Gaziety" i Meduzy.ru donoszą, że Władimir Sołowjow stworzył mały oddział kontrolujący komików i standuperów. W programach wytykał palcem tego czy owego, oskarżając go o podżeganie do nienawiści.

Noize MC (urodzony w 1985 roku) jest dla władz jeszcze „groźniejszy", ponieważ komercyjnie prześcignął Oxxxymirona. Multiinstrumentalista Noize, nagrywający muzykę od dwunastego roku życia, zaczął „robić stadiony", zanim Dawid Podsiadło w ogóle pomyślał, że rodzimy artysta tak może. Należy do kategorii nieprawilnych, bo w swoich utworach po imieniu wymienia przedstawicieli władzy, wytykając korupcję i nadużycia organów ścigania, a do tego występował przeciwko wojnie w Donbasie i szowinizmowi po aneksji Krymu. Wielokrotnie lądował w areszcie, odwoływano jego koncerty, musiał płacić grzywny i nagrywać przeprosiny dla policjantów. Jego utwór *Childfree* z gwiazdą synth popu Monetoczką sprawdzany był pod kątem propagowania treści samobójczych. Biegły sądowy napisał w opinii: „Tekst

eprasa.pl ea67704293

jest poświęcony negatywnemu wpływowi mediów na współczesnego człowieka. Chciałbym zwrócić uwagę na fakt, że problemy, które zostały poruszone w teledysku, realnie istnieją. Są one opisane dość surowo i w sposób przeznaczony dla dorosłych (…) Ale dotyczą nas wszystkich i nas uwrażliwiają (…) Nie uważamy przecież *Zbrodni i kary* Dostojewskiego za wezwanie do zabijania starych kobiet, jeśli nie masz pieniędzy (…)".

Komitet Śledczy jeszcze w trakcie wojny zbierał dowody i opinie biegłych w sprawach Noiza i Oxxxymirona. Tylko że zaraz po rosyjskiej inwazji obaj salwowali się ucieczką z Rosji, ponieważ pozostawało kwestią czasu, kiedy dostaną dziesięć lat więzienia „za rozprzestrzenianie fake newsów o specjalnej operacji wojskowej". Przez ostatni rok nie tylko obaj wyjechali i nagrywali utwory o wojnie, ale jeszcze dawali koncerty (Noize w duecie z Monetoczką), z których dochód przeznaczali na pomoc ukraińskim ofiarom konfliktu.

Wpuszczam do serca pieniądze, matkę i Władimira Putina

Trzy miesiące przed wybuchem wojny Rosja dorobiła się pierwszego rapera emigranta, który jak na ironię jest przygłupi, dresiarski, cyniczny i nie interesuje się polityką, a w jego otoczeniu znajdują się ludzie powiązani z władzą. Twórczość Aliszera Tagirowicza, czyli Morgenshterna (urodzonego w 1998 roku), kręci się wokół hypu i zarabiania pieniędzy, a słowa „dziwka" i „ruchać" fruwają u niego jak u Snoop Dogga, 2Paca i Eminema, którzy święcili triumfy dwadzieścia lat temu. Jan Szelkman w „Nowej Gazietie" napisał, że „Morgenshtern niewiele różni się od ludzi władzy. Taki sam cynik i pragmatyk jak większość urzędników, tylko w przeciwieństwie do nich nie uważa za konieczne ukrywania tego".

Morgenshtern w wywiadzie dla Kseni Sobczak na jej youtube'owym kanale Ostrożnie powiedział, że to fajnie świętować Dzień Zwycięstwa 9 maja, ale przecież „rok w rok tracimy na to miliony (…), a trzeba patrzeć wprzód, aby osiągnąć jeszcze wiele zwycięstw" – podbić kosmos i opracować nowe technologie. Meduza.ru donosiła, że nawoływał do rozdania zaoszczędzonych pieniędzy ludziom, czego Ksenia Sobczak jako szanująca się neoliberałka milionerka nie strawiła i wycięła ze 170-minutowego programu.

Po programie Bastrykin polecił swoim podwładnym sprawdzić wypowiedź Morgenshterna pod kątem rehabilitacji nazizmu, za co grozi do pięciu lat więzienia. Następnie wszczęto kolejne śledztwo, ponieważ eksperci Komitetu orzekli, że Aliszer Tagirowicz w swojej twórczości „promuje pasożytniczy styl życia, zachowania dewiacyjne i uprawia propagandę narkotykową". Dodatkowo Bastrykin na konferencji prasowej dorzucił, że raper handluje narkotykami w internecie, i było pozamia-

eprasa.pl ea67704293

tane. A ponieważ raper multimilioner nie jest za bardzo ideowy, za to bezbłędnie wyczuwa trendy, nie zwlekał zbyt długo i uciekł z Rosji.

Także w tym przypadku Komitetowi Śledczemu nie przeszkadzałoby ani to, że Morgenshtern zażywa narkotyki i o tym śpiewa, ani że na koncertach woła do kobiet „Chodźcie do mnie, kurwy!", ani że melorecytuje „jeśli zechce, to ją uderzę". Chodzi o złamanie tabu najważniejszego rosyjskiego święta 9 maja. Skoro system podniósł je do rangi *sacrum* i centralnego miejsca pamięci historycznej putinizmu, idol milionów nastolatków na całym obszarze posowieckim nie może tego podważać. Poza tym zapewne wielu gubernatorów myśli podobnie do Morgenshterna i chętnie zaoszczędziłoby pieniądze z hucznych obchodów, tylko raczej bez rozdawania ich ludziom. Zamiast rokrocznie wydawać ogromne sumy, niejeden gubernator wolałby wyremontować szpitale i obiekty sportowe, pobudować drogi i aquaparki, rozpocząć nowe inwestycje i uszczknąć co nieco dla siebie. Ale kto powie to głośno, kiedy Władimir Putin, który ma misję historyczną, wywołuje największy konflikt w Europie od czasów II wojny światowej?

Obecnie Morgenshtern stacjonuje w Dubaju, skąd nagrywa imprezowe teledyski w klimacie dziwki-koks-Firefox, pełne najdroższych marek samochodów i *sexy girls*. Aczkolwiek należy mu przyznać, że już 24 lutego zamknął sobie drogę powrotu do Rosji, ponieważ napisał na Instagramie – znowu w swoim stylu – „Co to za frajda umrzeć na rozkaz starych dziadów, skoro można się ruchać, pić wino i tańczyć". Wkrótce wypuścił klip *12*, gdzie śpiewał o upadku rubla, przerażonych Rosjanach i starych dziadach, którzy wysyłają młodych ludzi na wojnę jako mięso armatnie. A przecież mógł postąpić inaczej. Gdyby tylko poparł Putina i wojnę, wystąpił na Łużnikach podczas faszystowskiego Z-koncertu poparcia dla „operacji specjalnej", władza przebaczyłaby mu wszystko i pozwoliła znowu zarabiać grube miliony w Rosji i Postsowiecie. Wówczas jak przed wojną Morgenshtern mógłby zaśpiewać: „wpuszczam do serca to, co najlepsze – pieniądze, matkę i Władimira Putina".

Łopatą w cyfryzację

W procesie młotkowania Morgenshterna rykoszetem dostało się jednemu z najchętniej oglądanych i najzdolniejszych wideoblogerów Rosji, Jurijowi Dudziowi (urodzonemu w 1987 roku). Dudź to były dziennikarz sportowy, który na swoim youtube'owym kanale przeprowadza długaśne, nawet trzygodzinne wywiady. Zawsze ciekawe, inteligentne i wciągające. Trzy miesiące przed wojną moskiewski sąd uznał, że jego rozmowy z ukraińskim blogerem Iwangajem i Morgenshternem właśnie stanowią propagandę zażywania narkotyków, za co Dudź będzie musiał zapłacić 100 tysięcy rubli.

eprasa.pl ea67704293

Tak jak w przypadku raperów, gdyby nie antypatia Dudzia do putinowskiej elity, pewnie włos z głowy by mu nie spadł, a rubel z portfela nie wypadł. Aczkolwiek w jego historii kara finansowa jest najmniej ważna, bo na biednego nie trafiło. Jak mawiają Rosjanie: *Wsio normalno, dien'gi jest.* W historii Dudzia centralna jest figura inkwizytorki Jekateriny Mizuliny.

Jekaterina to córka deputowanej Eleny Mizuliny (urodzonej w 1954 roku), rosyjskiej odpowiedniczki Kai Godek, której marzy się prawosławny szariat. Deputowana Mizulina zgłaszała między innymi projekty wprowadzenia podatku od rozwodów, zakazu studiowania dla kobiet, dopóki te nie urodzą dziecka, zwiększenia wpływu Cerkwi na ustawodawstwo społeczne, potępienia narodzin nieślubnego dziecka czy drastycznego zaostrzenia prawa aborcyjnego. To Mizulina zgłaszała ustawy o dekryminalizacji przemocy domowej i zakazie propagandy homoseksualizmu, nawet jeśli sama ich nie wymyśliła. Niestety Jekaterina Mizulina (urodzona w 1984 roku) odziedziczyła temperament po mamie. Nie jest zbyt lotna, słabo wypada w wywiadach, ale dzięki atrakcyjnej urodzie roztacza wokół siebie ten sam seksualizujący czar surowej nauczycielki, co swego czasu Sarah Palin, którą nie od parady w teledysku Eminema zagrała jedna z najpopularniejszych aktorek porno w historii Lisa Ann. Zgodnie ze swoim powołaniem Mizulina córka kieruje organizacją Liga Bezpiecznego Internetu, która składa donosy do organów ścigania, jeśli zauważy w sieci „cokolwiek niezgodnego z rosyjskim prawem". W rzeczywistości znajduje treści sprzeczne z ultrakonserwatywną agendą Ligi.

Władze komunistyczne lubiły powtarzać: „krytykujcie, towarzysze, krytykujcie, ale konstruktywnie!". Komitet Śledczy stosuje podobną zasadę: „śmiejcie się, towarzysze, śmiejcie, ale z wyczuciem!".

To właśnie Jekaterina zgłosiła skargę na Morgenshterna i Dudzia do Głównego Urzędu ds. Kontroli Narkotyków w MSW. Przy okazji donosów na wideoblogerów, artystów i satyryków często oskarża ich o to, że otrzymują zagraniczne fundusze z dołączoną listą tematów, które mają poruszyć w swojej twórczości. Tak właśnie było w przypadku Morgenshterna. Mizulina wskazywała tu przede wszystkim… izraelską firmę widmo Yoola Labs Ltd. Tak, tak, niestety w przypadku takich ludzi zawsze kończy się tym samym banałem: Żydzi, finansjera, tajna liga itp.

W czasie gdy rozgrywały się wydarzenia z Noizem, Oxxxymironem, Morgenshternem i Dudziem, inkwizytor numer dwa, szef Komitetu Śledczego Aleksandr Bastrykin (urodzony w 1953 roku) rozdawał w mediach rady dobrego wujka. Mówił między innymi: „Aby całkowicie nie stracić naszej młodzieży, nie możemy oddać jej w ręce wirtualnej rzeczywistości. Wydajemy na cyfryzację więcej niż na wszystko inne

eprasa.pl ea67704293

i dokąd to prowadzi? Trzeba poszukać alternatyw – ożywić darmowe szkolnictwo wyższe, kuratorstwo i ekipy budowlane, tak żeby młodzi ludzie wzięli do ręki łopatę, cegłę i dowiedzieli się, czym jest praca. Rząd musi zrozumieć problemy młodych ludzi: nie wszyscy oni chcą się nawzajem zabijać, ale popycha ich do tego cyfryzacja i internet". Dalej brzmiały już znajome tony, a z daleka powiewał gwiaździsty sztandar USA: „Co to w ogóle jest za cyfryzacja, kiedy zanurzamy dzieci w wirtualnym świecie z kolejną amerykańską technologią? Stwórzmy tak jak Chiny własne technologie, a następnie przejrzystą listę, czego potrzebuje młodzież. Pionierem w tej dziedzinie jest Xi Jinping i Amerykanie go za to szanują".

Tak to już musi być, że każde nowe pokolenie natrafia na swoich starców, którzy sądzą, że gdyby tylko przywrócić metody wychowawcze sprzed kilkudziesięciu lat, młodzi ludzie w trymiga odnaleźliby moralność i patriotyzm, porzuciliby używki, przekleństwa i niezobowiązujące pieprzenie, a przy okazji chodziliby jak szwajcarski zegarek. Najciekawiej robi się wtedy, gdy ów starzec pełni tak ważną funkcję jak Bastrykin i w każdej chwili może cię wysłać do łagru. Jego pomysł z łopatą i cegłami? Przedni, taki z klimatu stalinowskich pionierów. Cyfryzacja jako bies, którego trzeba ujarzmić? Pewnie! Nie ma nic lepszego dla uzasadnienia mechanizmu kontroli nad młodszym człowiekiem myślącym inaczej. Przejrzysta lista potrzeb młodzieży stworzona przez kremlowskich starców? No ba! Nikt nie zrozumie młodych ludzi tak dobrze jak siwi i pomarszczeni faceci w pagonach zaczynający swoją karierę zawodową w latach siedemdziesiątych XX wieku. Z Bastrykinem i odklejonym od rzeczywistości Putinem na czele.

Oczywiście po rosyjskiej inwazji Dudź musiał czym prędzej uciekać z Rosji, bo jego aresztowanie było kwestią dni, o ile nie godzin. Obecnie toczy się przeciwko niemu kilka postępowań karnych, między innymi w sprawie „promocji homoseksualizmu". Wideobloger mieszka w Barcelonie, a jego program ma się świetnie. Wiele odcinków zrealizowanych przez dwanaście miesięcy po rosyjskiej agresji na Ukrainę, choćby z Borysem Akuninem, Dmitrijem Muratowem, Maszą Gessen, Marią Maszkową, Noice MC czy Marią Piewczich, stanowi historyczny dokument epoki, opisujący wojnę, narodziny dobra i zła czy szczegółowe przeskanowanie mentalności narodu rosyjskiego.

Dowcipy o teściowej, towarzysze!

Najsmutniejszy krąg przedwojennych represji to ten obejmujący komików, satyryków i standuperów. W wakacje 2021 roku Idrak Mirzalizade (urodzony w 1992 roku) żartował z Rosjan, mniej więcej w taki sam sposób, jak niegdyś komicy niemieccy z Polaków, czyniąc każdego z nich złodziejem samochodów. Dowcipy sprowadza-

eprasa.pl ea67704293

ły się do tego, że jeśli wynajmiesz Rosjaninowi mieszkanie, „nasra ci do materaca". Ponieważ Idrak urodził się w Azerbejdżanie, a posiada obywatelstwo białoruskie, w obronie honoru Rosjan przed obcokrajowcem stanął inkwizytor numer trzy – Władimir Sołowjow (urodziny w 1963 roku), jeden z najważniejszych telewizyjnych propagandystów Rosji. W swoim programie porównał Mirzalizadego z „błotem pod stopami" i nawoływał Komitet Śledczy do wszczęcia postępowania karnego za podżeganie do nienawiści. Sądząc po efektach, okazał się o wiele skuteczniejszy w podżeganiu do nienawiści niż komik. Komitet Śledczy nie tylko posłuchał Sołowjowa, wskutek czego Idrak spędził dziesięć dni w areszcie, ale w bonusie otrzymał tysiące gróźb, w miastach, w których występował, nacjonalistyczni aktywiści z transparentami życzyli mu śmierci za obrażanie rosyjskiej nacji, aż wreszcie został pobity na przystanku autobusowym.

Komik Rusłan Bielyj (urodzony w 1979 roku) podczas występu w Ufie zażartował z Saławata Julajewa, baszkirskiego bohatera narodowego, nazywając go złodziejem. Jest to zgodne z opiniami historyków określającymi poetę jako Robin Hooda. Mimo to Bielyja obrażały wszystkie baszkirskie media, a Roskomnadzor – urząd regulujący media i internet – wszczął przeciwko niemu dochodzenie, finalnie umorzone. Ale kiedy Bielyj wziął na warsztat propozycję przewodniczącej Rady Federacji, Walentiny Matwijenko, by zweryfikować, czy wybór feministycznej Maniży na Eurowizję przebiegł zgodnie z procedurami, znów zaczęło mu się palić pod nogami. Pod naciskiem organów państwa organizatorzy zaczęli odwoływać jego występy, między innymi w niezwykle popularnym *Wieczorze z Urgantem* emitowanym przez państwową telewizję. Dla będących jednoosobową firmą standuperów jest to wykańczające finansowo, ponieważ z własnej kieszeni ponoszą koszty reklamy i organizacji, licząc na zwrot z biletów. Odwołanie występu w ostatniej chwili oznacza dla nich wyrzucenie pieniędzy w błoto.

Aleksandr Dołgopołow (urodzony w 1994 roku) żartował z religii, a zwłaszcza niepokalanego poczęcia, używając wulgarnego języka. W odpowiedzi policja najpierw wywróciła do góry nogami jego mieszkanie, a następnie zrobiła to samo w petersburskim klubie HopHeadl, gdzie standup miał miejsce. Dołgopołow nie czekał zbyt długo i na wszelki wypadek wyjechał z Rosji.

Dziennikarskie śledztwa „Nowej Gaziety" i Meduzy.ru donoszą, że Władimir Sołowjow stworzył mały oddział kontrolujący komików i standuperów, co zresztą było widać po jego programach, w których co jakiś czas wytykał palcem tego czy owego, oskarżając go o podżeganie do nienawiści. Według dziennikarzy funkcjonariusze Komitetu Śledczego regularnie odwiedzali standupy. Siedzieli na widowni z notesem jak w czasach Związku Radzieckiego i zapisywali, które żarty ludzi śmieszą i poruszają, a za które trzeba będzie ścignąć humorystę, aby utrzymać humor w gra-

eprasa.pl ea67704293

nicach ideologii państwa. Władze komunistyczne lubiły powtarzać: „krytykujcie, towarzysze, krytykujcie, ale konstruktywnie!". Komitet Śledczy stosuje podobną zasadę: „śmiejcie się, towarzysze, śmiejcie, ale z wyczuciem!".

Cytowany już Szelkman w innym artykule opublikowanym na łamach „Nowej Gaziety" napisał: „Kilka lat temu cieszyliśmy się, że nie będzie już zmurszałych żartów o teściowej. W Rosji pojawił się humor nowego pokolenia – szczery, ostry i mówiący o tym, co dzieje się wokół nas. Komicy nowej fali zbierali miliony wyświetleń na YouTubie i pełne sale podczas występów na żywo, a teraz każdy z nich może zostać pobity lub wsadzony do więzienia za to, co sprawiło, że stał się popularny – za uczciwość, ostrość i aktualność". Obecnie niezależnym komikom i standuperom pozostał wyłącznie YouTube i występy dla rosyjskich emigrantów, bo większość z nich musiała opuścić Rosję. Żarty podczas wojny grożą wieloletnim więzieniem.

Trzeba być rekinem i mieć silną psychikę

Najciekawszym przypadkiem wśród tych, którzy dostali młotkiem po głowie od inkwizytorów i Komitetu Śledczego, jest Morgenshtern. W wywiadzie dla Jurija Dudzia ze swadą mówił, że ci, „którym chujowo się żyje, sami są sobie winni", bo „nauczyciel zarabiający 20 tysięcy rubli przez całe życie, po prostu tak wybrał", podczas gdy „Rosja to wspaniały kraj dla rozpoczęcia własnego biznesu". Dudź natychmiast przypomniał Morgenshternowi jego własną mamę, która wyjechała na saksy do Hiszpanii, bo państwo bezpodstawnie zabrało jej lokal i w związku z tym musiała zamknąć swój biznes. „Takie są w naszym kraju reguły gry, więc przestań, kurwa, pierdolić smuty, i dostosuj się do nich, zamiast narzekać. Ni chuja nic nie zmienisz" – odpowiedział dziarsko raper.

Obecnie niezależnym komikom i standuperom pozostał wyłącznie YouTube i występy dla rosyjskich emigrantów, bo większość z nich musiała opuścić Rosję. Żarty podczas wojny grożą wieloletnim więzieniem.

Trudno dziś powstrzymać się od uczucia schadenfreude, gdy widzi się, jak ten sam Morgenshtern na własnej skórze odczuł ujemną stronę reguł gry, których stał się beneficjentem i w ramach których, jak mu się wydawało, potrafił bezbłędnie lawirować. Jednocześnie trudno powiedzieć o cynicznej wypowiedzi rapera, że nie jest przynajmniej częściowo prawdziwa. Bo faktycznie, jeśli potrafisz chodzić po darwinistycznej, kapitalistycznej, skorumpowanej drabinie rosyjskiej rzeczywistości, wdrapiesz się wysoko, przynajmniej jeśli chodzi o pieniądze. W tym sensie jest to kraj otwartych możliwości. Tylko że drabiną coraz bardziej się trzęsie. Dotychczas, gdy dochodziłeś do dużych pieniędzy, przychodzili do

eprasa.pl ea67704293

ciebie smutni panowie z FSB po swoją dolę, im większe pieniądze, tym ważniejsze pagony z tobą rozmawiały. Teraz inkwizytorzy żądają od ciebie jeszcze wojennego wkładu „moralnego" i „ideowego". A ich przekupić jest o wiele trudniej. Gdzie są teraz pieniądze i koneksje Morgenshterna? Tak się chwalił zamówieniami od państwa na kampanie społeczne, znajomościami z rodziną Kadyrowów, tym, że na swoich imprezach robi politykom *face control*. I co? I dupa, bo właśnie tam różne Mizuliny i Bastrykiny mają Morgenshterna i jego znajomości. O putinowskiej misji historycznej nie wspominając.

Raperzy, wideoblogerzy, komicy i inni artyści, którzy chcieli wolności, musieli z Rosji zniknąć. Pisarz Dmitrij Głuchowski, który także nie miał wyjścia i w pośpiechu uciekał z kraju, bo z dnia na dzień wysłano za nim list gończy, mówił mi w wywiadzie udzielonym dla Onetu, że w epoce putinowskiej, w internecie, a zwłaszcza na YouTubie artyści urodzeni w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych wykreowali „nowoczesną rosyjską kulturę: żywą, popularną, tolerancyjną i pozbawioną szowinizmu, a zarazem podlinkowaną do kultury globalnej i rządzącą się prawami konkurencji". Stało się tak jednak nie dzięki putinizmowi, lecz wbrew niemu. Dlatego że putinizm zostawił twórców w spokoju – ani nie pomagał, ani nie przeszkadzał – udało im się stworzyć nową jakość, powstała wolna, żywiołowa i ostra jak brzytwa kultura popularna. Tylko że nowi twórcy nie bawili się w poetyckie metafory, lecz byli bezkompromisowo dosadni, o wiele bardziej dosadni niż rockowe zespoły w ZSRR czy PRL. I właśnie dlatego faszystowski neototalitaryzm Putina musiał się ich pozbyć, bo przecież taki potwór nie może pozwolić sobie na wolną i mocną sztukę, cieszącą się uwielbieniem całego pokolenia. Wojna jedynie przyspieszyła proces niszczenia nowoczesnej twórczości i twórców, który i tak szedł pełną parą.

Kuba Benedyczak jest dziennikarzem i analitykiem zajmującym się Rosją i Europą Wschodnią. Współpracuje m.in. z Radiem 357, „Nową Europą Wschodnią", Onetem i Magazynem TVN 24. Wykłada na Uniwersytecie Warszawskim.

eprasa.pl ea67704293

Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem
O samotności Putina i jego Rosji

Przemysław Mazur

W marcu Xi Jinping, opuszczając Moskwę, powiedział do Putina: „Następują teraz zmiany, jakich nie było od stu lat. Gdy jesteśmy razem, to my kierujemy tymi zmianami". Na twarzy rosyjskiego prezydenta zarysował się lekki uśmiech, bardziej jak grymas. Może to obserwowana już od dłuższego czasu kwestia utraty pełnej kontroli nad mimiką, a może zrozumienie swojego miejsca w tych relacjach. Czy Rosja rzeczywiście jest równoprawnym partnerem światowych potęg?

Koncepcja koncertu mocarstw czy wielobiegunowego świata pojawiła się w doktrynie rosyjskiej szybko po upadku ZSRR. Jednym ze zwolenników nowego porządku był choćby Jewgienij Primakow, który już w 1997 roku przedstawił doktrynę przeorganizowania ładu światowego z hegemonii USA na „świat wielobiegunowy". W tym nowym ładzie Rosja miała pełnić funkcję niezależnego ośrodka władzy i wpływów, cieszącego się zróżnicowanymi i wielorakimi kontaktami oraz partnerstwami z innymi mocarstwami światowymi. Moskwa powinna działać zgodnie z własnymi interesami i nawiązywać współpracę z innymi aktorami tam, gdzie ich interesy są zbieżne z jej interesami. Powstać miał swoisty euroazjatycki blok z przewodnią rolą Rosji i dwoma wschodzącymi mocarstwami: Chinami i Indiami. Prymat Moskwy wynikał z przewagi militarnej i surowcowej, ale (choć dzisiaj trudno w to uwierzyć) także technologicznej. Układ miał przypominać budowę cząsteczki wody (H_2O), gdzie Rosja miała pełnić rolę jądra tlenu. O ile sam kraj nad Wołgą nie równoważył dwóch pozostałych atomów wodoru, to równowagę miały zapewnić krążące wokół niej elektrony. Były „bliska zagranica", czyli obszar byłego ZSRR, zwłaszcza zaś Azja Centralna i słowiańskie państwa części europejskiej: Białoruś i Ukraina. Zewnętrzną powłokę stanowić miały niegdysiejsze bratnie kraje Związku Radzieckiego lub państwa obecnie szukające alternatywy dla amerykańskiego porządku światowego.

eprasa.pl ea67704293

Primakow przede wszystkim liczył na Bliski Wschód, potem coraz śmielej patrzono na Afrykę, a w pewnym stopniu też Amerykę Południową i Środkową. Rosja wraz ze swoim otoczeniem stanowiła zatem o równowadze związku, pozbawiona jednak „atomowego łączenia" musiałaby siłą rzeczy wejść na orbitę innego atomu. Dzisiaj wydaje się, że Indie nie są zdecydowane, czy w ogóle chcą być w tym związku, a Rosja właśnie wchodzi na orbitę Chin.

„Sprawdzam", czyli kto oficjalnie popiera Rosję

Głosowania w ONZ nie są może miarodajne, bo w dyplomacji nie zawsze wszystko jest powiedziane wprost, niemniej można prześledzić pewne trendy i na tej podstawie sprawdzić, kto oficjalnie popiera lub przynajmniej nie krytykuje Rosji. Pierwszą próbę stanowiło głosowanie wyrażające „ubolewanie" z powodu agresji Rosji na Ukrainę z 2 marca 2022 roku. Przeciwko przyjęciu rezolucji były: Białoruś, Erytrea, Korea Północna, sama Rosja i Syria.

Od głosu wstrzymały się państwa: Algieria, Angola, Armenia, Bangladesz, Boliwia, Burundi, Republika Środkowoafrykańska, Chiny, Kongo, Kuba, Salwador, Gwinea Równikowa, Indie, Iran, Irak, Kazachstan, Kirgistan, Laos, Madagaskar, Mali, Mongolia, Mozambik, Namibia, Nikaragua, Pakistan, Senegal, RPA, Sudan Południowy, Sri Lanka, Sudan, Tadżykistan, Tanzania, Uganda, Wietnam, Zimbabwe.

Dość istotne jest też, kto na głosowaniu się nie pojawił: Azerbejdżan, Burkina Faso, Kamerun, Etiopia, Eswatini, Gwinea, Gwinea Bissau, Maroko, Togo, Turkmenistan, Uzbekistan, Wenezuela (co wynika z nałożonego zakazu głosowań).

W październiku 2022 roku na forum ONZ doszło do głosowania w sprawie potępienia aneksji „republik ludowych": Donieckiej, Ługańskiej i Chersońskiej. Za wnioskiem opowiedziały się sto czterdzieści trzy kraje, od głosu wstrzymało się trzydzieści pięć, a pięć państw go odrzuciło. Tym razem głosów poparcia dla polityki Moskwy zabrakło ze strony Erytrei, ale w jej obronie stanął Salwador. Do obozu potępiającego Rosję przeszły: Angola, Bangladesz, Irak, Madagaskar i Senegal. Państwami, które tym razem wstrzymały się od głosu, były: Erytrea, Eswatini, Etiopia (wcześniej nie głosowała), Honduras, Lesotho i Tajlandia. Nieobecne były między innymi państwa: Iran, Uzbekistan i Turkmenistan.

Inne miarodajne głosowanie dotyczyło zawieszenia Rosji w Radzie Praw Człowieka ONZ (kwiecień 2022 roku). Przeciwko były: Algieria, Białoruś, Boliwia, Burundi, Republika Środkowoafrykańska, Chiny, Kongo, Kuba, Korea Północna, Erytrea, Etiopia, Gabon, Iran, Kazachstan, Kirgistan, Laos, Mali, Nikaragua, Syria, Tadżykistan, Uzbekistan, Wietnam i Zimbabwe. W tym przypadku (zauważmy, że głosowanie dotyczyło wymiernej kwestii) część państw stanęła po stronie Rosji, w pewien

eprasa.pl ea67704293

sposób demaskując swoje sympatie. Do najważniejszych zaliczyć należy Chiny, Iran oraz państwa Azji Centralnej (Turkmenistan i tym razem nie głosował). Oczywiście głosowania w ONZ nie zawsze są sondażem sympatii, odbywają się w konkretnej sprawie, zatem – przykładowo – opowiedzenie się przeciwko przyjęciu wyników plebiscytu i aneksji może być podyktowane własnymi problemami z separatyzmem. Niemniej na podstawie przedstawionych wyżej danych można dokonać podziału na kilka grup. Umownie grupy te możemy nazwać: jastrzębie, pragmatycy, wagnerowcy, handlowcy, więźniowie geopolityczni i BRISC.

Jastrzębie, czyli Białoruś, Erytrea, Korea Północna, Rosja, Syria i Salwador

Łącznie pięć państw opowiedziało się za Rosją (to mniej niż 3 procent wszystkich członków ONZ). W przypadku Białorusi udzielenie poparcia było oczywiste. Państwo to udostępniło Rosji swoje terytorium do inwazji, tym samym stało się *de facto* stroną konfliktu. Korea Północna dostarcza broń nad Wołgę – jest to oczywiście akt sprzeciwu wobec polityki amerykańskiej, ale też pewna forma szukania alternatywy dla Chin. Poparcie Syrii było formą spłacania długów przez Baszszara al-Asada, który utrzymał się przy władzy dzięki rosyjskiej interwencji w 2015 roku. Nie dziwią zatem słowa wypowiedziane w rozmowie telefonicznej z Putinem, że jego decyzja była: „korektą historii i przywróceniem światu równowagi, którą utracił po rozpadzie Związku Radzieckiego", i że „zachodnia histeria" dąży do tego, by „zatrzymać historię w niewłaściwym miejscu na rzecz chaosu, którego szukają tylko wyjęci spod prawa, biorąc pod uwagę, że dzisiejsza Rosja nie broni tylko siebie, ale świata i zasad sprawiedliwości i człowieczeństwa". Prezydent al-Asad wyraził poparcie wobec Moskwy, ponieważ „Syria stoi po stronie Federacji Rosyjskiej, opierając się na jej przekonaniu o słuszności swojego stanowiska oraz dlatego, że konfrontacja z rozszerzeniem NATO jest prawem Rosji, ponieważ stało się ono globalnym zagrożeniem dla świata i narzędziem realizacji nieodpowiedzialnej polityki krajów zachodnich". Władca Syrii uważa także, że „wróg stojący przed armią syryjską i rosyjską jest jeden, w Syrii jest to ekstremizm, a w Ukrainie nazizm", a Rosja daje „światu lekcję, że wielkie mocarstwa nie są wielkie tylko siłą militarną, ale także poszanowaniem prawa, wysoką moralnością i zasadami humanitarnymi". Słowa te brzmią jak ponury żart.

Putin, wypowiadając wojnę Ukrainie, a raczej Zachodowi, skazał się na samotność.

Mniej oczywiste z pozoru są stanowiska Erytrei i Salwadoru. Pierwsze państwo powstało dopiero w 1993 roku po secesji Etiopii. Jest to jedno z najbardziej izolowa-

eprasa.pl ea67704293

nych państw Afryki, rządzone autorytarnie przez Isajasa Afewerki. Było oskarżane o wspieranie piratów somalijskich, ale przede wszystkim łamanie praw człowieka. To ostatnie powoduje masową migrację jego obywateli do Europy, zwłaszcza prześladowaną grupą są chrześcijanie mieszkający w tym zakątku świata niemal od dwóch tysięcy lat. Wstrząsająco opisały to Helen Berhane i Emma Newrick w książce *Pieśń słowika*. Izolację tę wykorzystuje Rosja. W kwietniu 2018 roku Sewastopol i Massaua (erytrejski port wojenny) podpisały umowę o współpracy. Moskwa uzyskała uznanie swoich praw do tego miasta i zgodę na utworzenie w nim bazy wojskowej, kluczowej dla zabezpieczenia szlaku morskiego płynącego przez Kanał Sueski i porównywalnej do tych posiadanych przez Zachód czy Chiny (w Dżibuti). Ponadto otrzymała prawo do eksportu potasu. Głosu Erytrei nie należy traktować jako odosobnionego, był jedynie wyraźniejszy, może odważniejszy niż innych państw afrykańskich, które wolały się wstrzymać lub w ogóle nie brać udziału w głosowaniu. Postawa Erytrei (w kolejnych pracach ONZ) uległa jednak złagodzeniu, wynikało to przede wszystkim z pragmatyzmu tego państwa. Słabość Rosji w konflikcie na forum międzynarodowym jedynie oddalała w czasie prawdopodobieństwo wywiązania się jej z obietnic inwestycyjnych, stąd też uznano, że nie należy stawiać tylko na tego gracza.

Salwador wyrażał stanowisko Ameryki Środkowej. Był to głos przede wszystkim przeciwko USA, a dopiero w drugim rzędzie za Rosją. Prezydent Salwadoru Nayib Bukele ma napięte stosunki z administracją prezydenta Stanów Zjednoczonych Joe Bidena. Wynika to z krytyki USA wobec zmian zachodzących w tym kraju. Bukele postępuje zgodnie ze schematem stosowanym przez innych autorytarnych przywódców w Ameryce Łacińskiej, których wybrano metodami demokratycznymi, ale kiedy tylko znaleźli się u sterów, zniszczyli instytucje państwowe i zmienili prawo, by jak najdłużej utrzymać się przy władzy. Do ciekawych pomysłów Bukele należało uznanie kryptowaluty bitcoin za legalny środek płatniczy. Pierwsze lata jego rządów można ocenić jako raczej udane. Gospodarka się rozwijała, mógł liczyć na rzeczywiste poparcie obywateli, z czasem jednak pojawiały się kolejne problemy: korupcja, przestępczość i spowolnienie gospodarcze. W Salwadorze nie ma znaczących rosyjskich inwestycji. Współpraca między państwami miała dotyczyć głównie importu gazu skroplonego i sektora spożywczego, natomiast ważniejszym graczem są Chiny. Wszystko oczywiście w pewnej kontrze do USA.

Pragmatycy, czyli Honduras, Laos, Lesotho, Nikaragua, Pakistan, Sri Lanka i Tajlandia

Zachowanie części państw traktować można jako wykorzystanie okazji do zaznaczenia swojej podmiotowości przy jednoczesnym niepaleniu mostów w relacjach

eprasa.pl ea67704293

z Zachodem, Chinami i Rosją. Pierwszą taką grupę stanowią państwa Ameryki Łacińskiej – nie wszystkie postąpiły tak radykalnie jak Salwador, jednak wstrzymały się od głosu. Przedstawiciele Hondurasu (wywodzący się z administracji prezydenta Xiomara Castro, który objął urząd w styczniu 2023 roku) stwierdzili, że wstrzymanie się od głosu należy rozumieć jako stanowisko neutralne wobec wojen. W rzeczywistości jest to raczej wywieranie presji na Stany Zjednoczone i skierowany do wewnątrz pokaz siły wobec USA, próba zerwania z opinią marionetkowości. Bardziej skomplikowana jest polityka Nikaragui. Wraz z zaostrzaniem autorytaryzmu Daniela Ortegi w kraju tym intensywniej obecna jest Rosja. Od 2016 roku zaopatruje Nikaraguę w sprzęt wojskowy i infrastrukturę monitoringu satelitarnego. Oba kraje obowiązuje również dziesięcioletnia umowa dotycząca szkolenia sił rosyjskich w Nikaragui. Zezwolono na obecność rosyjskich żołnierzy, samolotów wojskowych i okrętów wojennych. Stany Zjednoczone obawiają się zatem, że Moskwa – we współpracy z agentami wojskowymi z Kuby, Boliwii i Wenezueli – rozszerza inwigilację w regionie. Sojusz Nikaragui z Rosją zbiega się w czasie z przywróceniem stosunków dyplomatycznych między Managuą a Pekinem po dwudziestu latach przerwy. Pod koniec 2021 roku Nikaragua potwierdziła zasadę „jednych" Chin i zerwała oficjalne stosunki z Tajwanem. Mimo to zachowała się z pewnym umiarem.

Drugą grupę państw można nazwać konformistycznymi pragmatykami. Głosowali tak, jak państwa, z którymi są związane. Laos postąpił tak jak Wietnam i Chiny, Lesotho jak RPA, zaś Sri Lanka jak Indie. Wreszcie dochodzimy do państw, których postępowanie stanowiło pewną manifestację. Pakistan (oficjalnie), by zwrócić uwagę na problem Kaszmiru i tego, że nie dokonano *per analogiam* potępienia Indii. Pakistańskie władze wyraziły to słowami: „Z niecierpliwością czekamy na podobne zaniepokojenie i potępienie prób sformalizowania przez Indie nielegalnej aneksji uznanego na arenie międzynarodowej spornego terytorium". W jakimś stopniu może było to też przypodobanie się Chinom i kolejny pstryczek w nos USA. Tajlandia zaś liczyła chyba na rosyjskich turystów. I faktycznie był to popularny kierunek „wycieczek" dla tych, którzy uciekali przed poborem do armii rosyjskiej, do czasu podpisania umowy ekstradycyjnej.

Wagnerowcy, czyli Gwinea, Etiopia, Kongo, Madagaskar, Mali, Mozambik, Sudan, Sudan Południowy, Uganda, Republika Środkowoafrykańska i Zimbabwe

W marcu 2022 roku Putin powiedział: „Chciałbym podkreślić, że nasz kraj zawsze dawał – i nadal będzie dawał – priorytet współpracy z państwami afrykańskimi". Rosjanie faktycznie dokonują pewnego zwrotu ku Afryce. Ich polityka bazuje tu

eprasa.pl ea67704293

na kilku czynnikach. Pierwszym jest wykorzystywanie resentymentu radzieckiego. Sam Putin podkreślał, że ZSRR był „po właściwej stronie historii podczas ruchów dekolonizacyjnych drugiej połowy XX wieku". W ZSRR wyszkoliły się elity wielu państw afrykańskich (na przykład Zimbabwe, Angola, Mozambik i Togo), kształcono je zwłaszcza na Uniwersytecie Patrice'a Lumumby w Moskwie przemianowanym na Rosyjski Uniwersytet Przyjaźni Narodów. Drugie narzędzie stanowi eksport broni, trzecie – rzecz bardzo zbliżona – to eksport przemocy do prywatnych firm wojskowych, na ogół Grupy Wagnera. To dzięki tym dwóm ostatnim czynnikom wielu przywódców afrykańskich nadal piastuje swoje stanowiska. Rosja oczywiście nie robi tego za darmo, bo na ogół „płaci" się jej dostępem do dóbr naturalnych albo kontraktów importowych na inne produkty (zwykle surowce lub broń). Afryka jest też przedmiotem zainteresowania ze względu na jej surowce. Po pierwsze, w kwestii importu własnego, co dotyczy złota, diamentów i boksytów. Po drugie, ważny czynnik stanowi zablokowanie konkurencji – Afryka może okazać się dywersyfikatorem dla węglowodorów z Rosji. Przykładowo na 2027 rok planowane jest uruchomienie gazociągu Nigal. Państwa afrykańskie obawiają się jednak współpracy ze swoimi byłymi kolonizatorami, co stanowi szansę dla Rosji i Chin. Moskwa – co najważniejsze – nie pyta o takie kwestie, jak prawa człowieka czy demokracja. Wręcz działa przeciwko nim. A Grupa Wagnera jest gwarantem utrzymania władzy, oczywiście siłą.

Inny punkt widzenia ma Putin. Widzi Rosję jako równoprawnego gracza, który będzie zmieniał politykę świata ramię w ramię z Xi.

Handlowcy, czyli Algieria, Boliwia, Burundi, Togo, Namibia, Eswatini i Tanzania

Jest też grupa państw, które możemy zakwalifikować do dwóch powyższych grup. Państwa te liczą na zyski wynikające z relacji z Rosją. Przede wszystkim zależy im na rosyjskich inwestycjach i broni. W 2019 roku prezydent Boliwii Evo Morales udał się z wizytą na Kreml. Podpisano umowy o „pogłębieniu strategicznego partnerstwa", zwłaszcza w sektorze energetycznym (centrum badań jądrowych). Evo Morales podkreślił znaczenie Rosji jako „inspiracji dla tych na świecie, którzy opowiadają się za modelem wielobiegunowym, suwerennością państw i prawem międzynarodowym". Boliwia w sprawie konfliktu wewnętrznego w Wenezueli stoi po stronie Moskwy, uznając władzę Nicolása Maduro. Moskwa znajduje też posłuch wśród innych państw Ameryki Południowej i Środkowej, choć kraje zachowują się lojalnie wobec USA i głosują jak one (na przykład Peru, Brazylia i Argentyna). Ów

eprasa.pl ea67704293

brak zaufania wynika z ogłoszonej na łamach „Democratic Review" w 1845 roku koncepcji Johna O'Sullivana *Manifest Destiny* (czyli Manifest Boskiego Przeznaczenia). Głosiła ona, że misją dziejową narodu amerykańskiego jest sprawowanie paternalistycznej kontroli nad kontynentem amerykańskim.

Warte wspomnienia jest też zachowanie państw Maghrebu, reprezentowanego przez Algierię, ale też Maroko, które starało się nie zajmować zdecydowanego stanowiska. Algieria i Rosja to strategiczni partnerzy. Algier stał się trzecim co do wielkości klientem Moskwy w branży zbrojeniowej w ciągu minionej dekady. Tylko przez ostatnie trzy lata północnoafrykański kraj importował z Rosji ponad 80 procent swojego sprzętu i regularnie uczestniczył w ćwiczeniach wojskowych Kremla, ostatnio we wrześniu ubiegłego roku we wschodniej Rosji, znanych jako „Wostok 2022".

Kiedy przyjrzymy się sojusznikom Moskwy, to wydaje się to mocno groteskowe towarzystwo. To powoduje, że Putin i Rosja też stają się groteskowi. Jedynymi partnerami Moskwy o wadze strategicznej są Korea Północna i Białoruś. Wynika to jednak nie z ich siły, ile raczej z kontekstu geopolitycznego.

Rosja ma niewiele do zaoferowania, ale jednak ma, na przykład technologię jądrową. To skłania niektóre państwa do zacieśniania stosunków. Wymieńmy choćby wyżej wspomnianą Boliwię, ale też Burundi czy Namibię (eksport rudy uranu). Wreszcie Rosja wykorzystuje dawne wpływy i wchodzi na rynki państw Afryki, takich jak choćby Sierra Leone, Togo, Eswatinim czy Tanzania, głównie obiecując inwestycje w sektor energetyczny i dostawy żywności.

Moskwa chce budować relacje z państwami Afryki, już konsumuje efekty współpracy nawiązanej przez rosyjsko-afrykański szczyt w Soczi w 2019 roku, planuje wykorzystać dwie instytucje powołane podczas tego spotkania – Stowarzyszenie Współpracy Gospodarczej z Krajami Afryki oraz Forum Partnerstwa Rosja–Afryka – jako główne kanały osiągania owych celów.

Więźniowie geopolityczni, czyli Armenia, Kuba, Kazachstan, Kirgistan, Mongolia Tadżykistan, Uzbekistan i Wietnam

Część państw – jako więźniowie geopolityki – jest w pewien sposób skazana na Rosję jako alternatywę dla demokratycznego Zachodu, a czasami też Chin. Wynika to zarówno z ich położenia geograficznego, jak i z tego, z kim sąsiadują, ale jest też związane z historią. Najbardziej oczywisty przykład stanowi Armenia, która może ma pewien potencjał do nawiązania współpracy z Zachodem (co zresztą próbuje

eprasa.pl ea67704293

robić), ale póki co musi pozostawać pod parasolem Rosji, nawet jeśli jest on dziurawy. Dobry przykład to ostatnie epizody konfliktu o Górski Karabach. Oczywisty jest też przykład Kuby.

Dużo bardziej dynamiczna wydaje się sytuacja w Azji Centralnej. Jej prezydenci nie patrzą z nadzieją na Zachód, bo ten chciałby demokracji, a oni nie. Zerwać z Rosją się nie da z wielu przyczyn. Ta ma swoje bazy wojskowe, na przykład w Tadżykistanie i Uzbekistanie. W państwach tych żyje mniejszość rosyjskojęzyczna, ale przede wszystkim w Rosji mieszka wielu ich obywateli, a zarabiane przez nich pieniądze stanowią ważne źródło finansowe centralnoazjatyckich krajów. Azja Centralna nie jest zatem zainteresowana marszem w kierunku Zachodu, ale dostrzega też słabość Rosji. Kazachstan zwraca się w stronę Pekinu, szukając ewentualnego partnerstwa w zakresie bezpieczeństwa. Kirgistan i Uzbekistan podpisały z Chinami porozumienie w sprawie nowej linii kolejowej prowadzącej do Europy, która ma ominąć terytorium Rosji. A to wszystko zdaje się tylko początkiem pewnego procesu.

Wydaje się, że wielu sojuszników Kremla pozostaje mu wiernych tak długo, jak długo czerpie z tego korzyści. Moskwa nie ma im jednak zbyt wiele do zaproponowania. Można wymienić przede wszystkim: broń, przemoc Grupy Wagnera, zboże i energetykę.

Chiny stanowią też problem dla państw nieopowiadających się po stronie Zachodu. Takim przykładem (dość oczywistym) jest Mongolia. Bardziej zawiłym – Wietnam, a co za tym idzie i Laos. Moskwa jest najważniejszym dostawcą broni do Wietnamu, gdzie ponad 80 procent sprzętu pochodzi z Rosji lub jest produkowane na rosyjskich licencjach, Laosu (ponad 40 procent) czy Mjanmy (Rosja jest największym eksporterem uzbrojenia do tego państwa od przejęcia władzy przez juntę, którą także wspiera politycznie). Dostawy i serwis uzbrojenia są szczególnie ważne dla Wietnamu, między innymi w kontekście jego sporów z ChRL na Morzu Południowochińskim.

BRICS, czyli Chiny, Indie i RPA

Rosja w celu realizacji swojej wizji wielobiegunowego świata stworzyła szereg inicjatyw. Jedną z nich było Petersburskie Międzynarodowe Forum Ekonomiczne (SPIEF). Gdy przyjrzymy się jego uczestnikom, to widać spadek rangi nie tyle samego wydarzenia, co kraju, który je organizuje. W 2021 roku brali w nim udział choćby prezydent Brazylii Jair Bolsonaro czy Tamim bin Hamad Al Thani, emir Kataru. Ten pierwszy już nie jest prezydentem, a Brazylia zdaje się już nie tak chętna rosyjskim

eprasa.pl ea67704293

inicjatywom, a ten drugi wybrał USA. W 2022 roku w sesji plenarnej brali udział przywódca Donieckiej Republiki Ludowej Denis Puszylin i jego odpowiednik w Ługańskiej Republice Ludowej – Leonid Pasiecznik. Z szefów uznanych państw udział wziął jedynie prezydent Kazachstanu, Kasym-Żomart Tokajew, który i tak już jedną nogą jest poza strefą wpływów Rosji. Swoje przemówienia w formie wideo przesłali Xi Jinping i prezydent Egiptu Abd al-Fattah as-Sisi.

Interesująco zapowiada się forum BRICS w RPA. Po pierwsze, ze względu na zapowiedzianą wizytę Putina, na którego – przypomnijmy – wydano nakaz aresztowania. Po drugie, będzie to odpowiedź na pytanie, kto jeszcze z nim jest, a kto będzie? Na chwilę obecną głównymi graczami są Chiny i Rosja. Współpracą z Rosją zainteresowany jest prezydent RPA Cyril Ramaphosa, który zapewnia o odpowiedzialności NATO za wybuch wojny w Ukrainie. Te prorosyjskie sympatie dominują zresztą w całym rządzącym w RPA Afrykańskim Kongresie Narodowym. Indie zachowują się bardzo koniunkturalnie: z jednej strony na forum międzynarodowym nie potępiają Rosji, chętnie kupują od niej okazyjnie tanie surowce, podpisują kolejne umowy zbrojeniowe, z drugiej – boją się Chin i dlatego nie mówią „nie" USA. Akces zgłosiła ponoć Arabia Saudyjska i Argentyna. Ta druga prowadzi politykę charakterystyczną dla innych państw Ameryki Południowej, oficjalnie nie popiera Rosji, ale jednocześnie chętnie gości Rosjan i nawet „rozdaje" im paszporty. Przede wszystkim jednak ma potężne problemy finansowe. Arabia Saudyjska prowadzi wspólną politykę naftową z Rosją, trochę przeciw USA, a konkretnie Partii Demokratycznej. Wchodzi też w orbitę wpływów Chin, czego najlepszym dowodem jest porozumienie z Iranem podpisane pod nadzorem Pekinu.

Budowane przez Kreml sojusze są kruche. Część szybko przemija, wystarczy delikatna presja Zachodu. Tak było w przypadku Iraku, który nie ma za co kochać USA, kupuje broń w Moskwie, jednak szybko się „opamiętał".

Król jest nagi

Nie roszczę sobie praw do pełnej trafności zaproponowanego podziału, raczej miał on pokazać kilka prawidłowości. Obrałem sobie za cel napisanie o wielu państwach, które unikały zajęcia stanowiska wobec spraw głosowanych na forum ONZ. To kraje głównie z Afryki. Są też podmioty uważane za sprzymierzeńców Rosji, które nie są nawet członkami ONZ lub mają ograniczone prawa w jego strukturach (Wenezuela czy też kraje, których delegacje nie reprezentują faktycznie sprawujących władze: Afganistan czy Birma/Mjanma).

eprasa.pl ea67704293

Ciekawy jest też problem państw, które głosowały przeciwko Rosji, choć uznawane są za jej sojuszników. Przykład niech stanowią Serbia i Węgry. Ze wszystkich europejskich przywódców tylko prezydent Serbii Aleksandar Vučić i Viktor Orbán otrzymali od Władimira Putina życzenia świąteczne oraz noworoczne. Z tym, że Serbia zdaje się obierać kurs prozachodni. Węgry starają się grać na dwa fronty, Orbán stoi w rozkroku: widzi miejsce dla państw skandynawskich w NATO i problem z Rosją.

Ta ostatnia postawa jest bardzo miarodajna. Wydaje się, że wielu sojuszników Kremla pozostaje mu wiernych tak długo, jak długo czerpie z tego korzyści. Moskwa nie ma im jednak zbyt wiele do zaproponowania. Jak pokazuje powyższa analiza, jest to przede wszystkim: broń, przemoc Grupy Wagnera, zboże i energetyka. Wszystko to nie jest jednak unikalne, a wyciąganie po to rąk do Rosji wynika z łatwości, braku warunków wstępnych (jaki dla partnerów zachodnich stanowi demokracja) czy przyszłych (zadłużanie się u Chińczyków). Budowane przez Kreml sojusze są kruche. Część szybko przemija, wystarczy delikatna presja Zachodu. Tak było na przykład w przypadku Iraku, który nie ma za co kochać USA, kupuje broń w Moskwie, jednak szybko się „opamiętał". Paradoksalnie jednak głównym zagrożeniem w tej przestrzeni wpływów jest nie tyle Zachód, ile Chiny. Gdy popatrzymy na obrót handlowy Rosji z jej sojusznikami, widać, że to Pekin jest ich głównym partnerem. Blamaż w wojnie z Ukrainą powoduje też, że nie patrzą już tylko na współpracę z Rosją, a szukają innych możliwości. Może okazać się, że wielu tych partnerów ostatecznie stanie po stronie Chin. I to będzie stanowić środek ciężkości nowego ładu międzynarodowego.

Kiedy przyjrzymy się sojusznikom Moskwy, wydaje się to mocno groteskowe towarzystwo. To powoduje, że Putin i Rosja też stają się groteskowi. Jedynymi partnerami o wadze strategicznej są Korea Północna i Białoruś. Wynika to jednak nie z ich siły, ile raczej z kontekstu geopolitycznego. Białoruś graniczy z krajami NATO i stanowi bufor przed sojuszem. O sile drugiego partnera świadczy fakt, że przesyła broń do Rosji w zamian za… żywność. Moskwa zebrała wokół siebie graczy, którzy nic nie wnoszą, wręcz przeciwnie – są dla niej obciążeniem. Traktują ją jak kroplówkę, tyle że ta jest w dużej mierze pusta.

Część państw – jako więźniowie geopolityki – jest w pewien sposób skazana na Rosję jako alternatywę dla demokratycznego Zachodu, a czasami też Chin.

Inny punkt widzenia ma Putin. Widzi Rosję jako równoprawnego gracza, który będzie zmieniał politykę świata ramię w ramię z Xi. Trudno powiedzieć, czy w to naprawdę wierzy, czy też dostrzega fakt, że zaczyna mu brakować argumentów. Podczas spotkania grupy BRICS ma być podjęta kwestia wspólnej waluty przeciw-

eprasa.pl ea67704293

ważącej dolara. Czy jednak Chiny zechcą zaprosić do projektu Rosję, której waluta dziś jest na dnie, czy może Argentynę? Chiny mają problem z dolarem, Rosja może pomóc tylko, sprzedając ropę i gaz w innej walucie. Moskwa nic innego do sojuszu z Pekinem nie wnosi. Putin zostanie użyty przez Chiny, gdy te będą tego potrzebowały. Rosja nie ma potencjału na stanie się jednym z biegunów światowego ładu, nawet nie wiadomo, czy może być takim partnerem, jakim jest Unia Europejska dla USA. Pytanie, czy nawet miano „junior partnera" wobec Chin jest uzasadnione. Im dłużej trwa wojna w Ukrainie, tym chyba mniej.

Putin, wypowiadając wojnę Ukrainie, a raczej Zachodowi, skazał się na samotność. I nie chodzi o to, że nie ma do kogo napisać życzeń noworocznych. Został sam otoczony kuriozalnymi graczami, na ogół nietraktowanymi poważanie autokratami, którzy i tak w razie czego wybiorą Chiny.

Dr Przemysław Mazur jest adiunktem w Instytucie Bezpieczeństwa i Informatyki Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, analityk przy U.S. STRATCOM (Dowództwo Strategiczne USA) Deterrence and Assurance Academic Alliance, członek British International Studies Association.

eprasa.pl ea67704293

Starej Białorusi już nie ma

Michał Potocki

Białoruś dwa i pół roku po sfałszowanych wyborach prezydenckich przypomina upiorną wersję *Naszej klasy* Jacka Kaczmarskiego. Kto mógł, wyjechał. Kto nie mógł albo nie chciał, siedzi. Siedzi w areszcie, siedzi w więzieniu albo przynajmniej siedzi cicho i łudzi się, że represyjna rosyjska ruletka ominie go szerokiem łukiem. Reżim Alaksandra Łukaszenki się totalitaryzuje; od czasów stalinowskich różni go już chyba tylko to, że prawdziwych i domniemanych przeciwników władzy się nie rozstrzeliwuje.

Był grudzień 2010 roku, tuż przed katolickim Bożym Narodzeniem. Kilkumiesięczny festiwal wolności, gdy władze pozwoliły – w ramach eksperymentu – na całkiem swobodną kampanię wyborczą, właśnie się skończył. Powyborcza, kilkunastotysięczna manifestacja została spałowana, kilkaset osób trafiło do aresztów, a na ponad czterdziestu z nich czekał los więźniów politycznych. Po mieszkaniach chodzili kagebiści i urządzali przeszukania. Wracałem właśnie z Mińska do Polski. Na dworzec odprowadzała mnie znajoma, działaczka jednej z grup obrońców praw człowieka. Odpalając trzęsącymi się rękoma jednego papierosa od drugiego, mówiła, że czuje się, jak w trzydziestym siódmym.

***

37 to uniwersalny od Brześcia po Władywostok symbol najokrutniejszych represji. Wtedy, w 2010 roku, czyli ponad dwanaście lat temu, było w tym coś z młodzieńczej egzaltacji, było dużo emocji, był lęk przed przyszłością. Nie chcę i nie zamierzam tych uczuć deprecjonować. Po pierwsze dlatego, że były one czysto subiektywne. Po drugie, 2010 rok wielu ludziom naprawdę przyniósł ogrom cierpienia. Wolha, żona pobitego do nieprzytomności i porwanego ze szpitala przez bezpiekę kandydata na prezydenta Uładzimira Niaklajeua, odchodząc od zmysłów, szukała go przez kilka dni po całym mieście, bojąc się, że wróciły szwadrony śmierci sprzed dekady. „Takich niespodzianek więcej nie będzie" – ni to uspokajał, ni to straszył Łukaszenka.

eprasa.pl ea67704293

Inni dekabryści – jak ich ochrzczono – bywali torturowani, niektórzy odsiedzieli parę lat w łagrze. Tysiące wyemigrowały. A mimo to tamte czasy wydają się sielanką w porównaniu z tym, co stało się po sierpniu 2020 roku. Po tym, jak Łukaszenka najpewniej przegrał głosowanie ze Swiatłaną Cichanouską, uruchomiono niespotykaną w Białorusi od czasów Breżniewa, a może i Stalina machinę represji. Liczba osób, które przewinęły się przez areszty, jest pięciocyfrowa. Gdy piszę te słowa, słynna Wiosna noblisty Alesia Bialackiego ma na swoich listach nazwiska 1486 więźniów politycznych. W istocie jest ich wielokrotnie więcej. O jednych Wiosna nie wie, bo jak wszyscy ma mocno ograniczone możliwości działania. Inni nie chcą figurować w podobnych spisach, bo boją się, że im to jeszcze bardziej zaszkodzi.

Po tym, jak Łukaszenka najpewniej przegrał głosowanie ze Swiatłaną Cichanouską, uruchomiono niespotykaną w Białorusi od czasów Breżniewa, a może i Stalina machinę represji. Liczba osób, które przewinęły się przez areszty, jest pięciocyfrowa.

Aresztowania i zatrzymania to smutna codzienność. Bezpieka łowi ludzi za nieprawomyślne komentarze na Facebooku. Wciąż identyfikuje osoby widoczne na zdjęciach z protestów. Zatrzymanym wmawia, że znalazła ich dzięki fotografiom opublikowanym w niezależnych mediach, choć przecież tajniacy sami nagrywali twarze uczestników manifestacji. Byłem niedawno świadkiem burzliwej dyskusji emigracyjnych dziennikarzy białoruskich o tym, czy nie należy w związku z tym usunąć z sieci wszystkich zdjęć z tamtego gorącego sierpnia. Czytam raport Wiosny za marzec. W prowincjonalnym Głębokiem, miasteczku wielkości Łęcznej albo Wadowic, zatrzymano dwadzieścia dwie osoby, głównie za reposty w serwisach społecznościowych. Juryj, lokalny przedsiębiorca, dostał karę grzywny za to, że umieścił na zdjęciu profilowym nakładki z flagą Ukrainy i Pogonią, tradycyjnym herbem Białorusi.

***

Zdarza się, że milicja wchodzi do autobusów przekraczających granicę z Polską, szukając ekstremistów. Ludzie radzą sobie nawzajem, by pamiętać o zasadach telefonicznej higieny. Usuwać czaty, odobserwować konta niezależnych mediów na Telegramie, ale nie przesadzić z czyszczeniem, bo pusty smartfon też budzi wątpliwości. A najlepiej w ogóle nie wracać, skoro już raz się wyjechało. Białorusini, naród informatycznie uzdolniony, stworzyli specjalną aplikację, by mieszkając w Polsce, można było korzystać z usług innych Białorusinów. Fryzjerki, sklepy, masażyści, usługi remontowe. Apka opracowana z błogosławieństwem biura Cichanouskiej na-

eprasa.pl ea67704293

zywa się Nowaja Biełaruś. Jak się głębiej zastanowić, to dojmująco smutna nazwa. Wychodzi na to, że Nowa Białoruś znajduje się trochę poza Białorusią, a trochę na ekranie smartfona.

Starej Białorusi już nie ma. Niezależne media zostały zamknięte albo zmuszone do ucieczki. Wśród więźniów politycznych jest trzydziestu pięciu dziennikarzy, w tym skazany na osiem lat łagru Andrzej Poczobut. Polska dyplomacja próbowała go wyciągnąć, ale białoruskie władze się uwzięły, bo działacz Związku Polaków na Białorusi nie zamierza dać reżimowi nawet cienia satysfakcji. Inny niezłomny, bloger Ihar Łosik, ma siedzieć piętnaście lat i już dwa razy próbował popełnić samobójstwo. Jego żona Darja dostała w styczniu dwa lata za udzielenie wywiadu Biełsatowi, uznawanemu za organizację ekstremistyczną. Ich córką zajmują się dziadkowie, ale reżim straszy, że trafi ona do domu dziecka. Darja Łosik wiedziała, że ryzykuje. Ja od dwóch i pół roku w zasadzie nie cytuję w swoich artykułach nikogo, kto nadal przebywa w Białorusi. Boję się takiej odpowiedzialności.

***

Władzom nie wystarcza wtrącanie protestujących do kolonii karnych. Bezpieka represjonuje adwokatów, którzy podejmują się ich obrony, psychologów, u których szukają pomocy, krewnych i znajomych. Potrafi łamać, czego przykładem jest schwytany w samolocie Ryanaira Raman Pratasiewicz z Nexty, który teraz gra przed kamerami tak, jak oczekuje od niego KGB. To najsłynniejsza sprawa, ale nie jedyna. Niedawno telewizja państwowa wyemitowała film *Bye-bye, Tut.by* o likwidacji największego portalu informacyjnego. Gdyby ociosać materiał z emocji i wykrzykników, nic by w nim nie zostało, ale jednak kilku dawnych pracowników Tut.by wystąpiło w nim pod nazwiskiem. I trudno ich za to osądzać. Autorką była Ksienija Lebiedziewa, ta sama, która rozmawiała z polskim dezerterem Emilem Czeczką opowiadającym o masowych grobach uchodźców na Podlasiu. Czeczko już zresztą nie żyje.

Zdarza się, że milicja wchodzi do autobusów przekraczających granicę z Polską, szukając ekstremistów. Ludzie radzą sobie nawzajem, by pamiętać o zasadach telefonicznej higieny, ale nie przesadzić z czyszczeniem danych, bo pusty smartfon też budzi wątpliwości.

Na mapie Mińska nie ma już większości miejsc, w których można było pooddychać świeżym powietrzem. Sklep Symbal.by z białoruskimi koszulkami i symboliką – zamknięty jeszcze w czerwcu 2020 roku za sprzedaż opozycyjnych gadżetów. Galeria Ŭ – miejsce ciekawych spotkań i ciekawych książek przy hipstersko-indu-

eprasa.pl ea67704293

strialnej ulicy Kastrycznickiej – zamknięta w październiku 2020 roku, przeciwko współtwórcy wszczęto postępowanie karne. Press Club Belarus, w którym jeszcze w sierpniu 2020 roku nagrywałem podcast – zamknięty w lipcu 2021 roku, a jego kierownicy najpierw wtrąceni do aresztów, a potem w większości wypuszczeni i nakłonieni do emigracji. Partia BNF, w której biurze tradycyjnie działała księgarnia pełna nieprawomyślnej literatury, najpewniej nie przejdzie zarządzonej właśnie ponownej rejestracji. Wiele knajp, które w noc przedwyborczą grały *Pieriemien!* Wiktora Coja i inne protest songi, też już nie istnieje.

Apka opracowana z błogosławieństwem biura Cichanouskiej nazywa się Nowaja Biełaruś. To dojmująco smutna nazwa. Wychodzi na to, że Nowa Białoruś znajduje się trochę poza Białorusią, a trochę na ekranie smartfona.

Ich bywalcy rozjechali się po świecie, udali na wewnętrzną emigrację albo nadal próbują grać z systemem. Sciapan, informatyk, przeniósł się do Kazachstanu i wmawia sobie i innym, że to wspaniały kraj do życia, choć pod względem wolności obywatelskich przypomina Białoruś sprzed 2020 roku, jeśli nie liczyć ostrej amunicji użytej do stłumienia protestów w styczniu 2022 roku. Iryna, menadżerka mediów, po wyjściu z aresztu po cichu wyjechała do Polski i stara się nie zwracać na siebie uwagi. Anatol Labiedźka, weteran opozycji, uwagę zwracał na emigracji i właśnie bezpieka zatrzymała mu syna, który nie chciał wyjechać. Siarhiej z mediów poszedł pracować na budowę. Wiktar, niegdyś pryncypialnie białoruskojęzyczny analityk, przeszedł na rosyjski i milczy, gdy jego koleżanka Waleryja Kasciuhowa, najlepsza ekspertka od relacji z Rosją, dostaje dziesięć lat obozu. Zmicier, „reżimowiec z ludzką twarzą", niegdyś chętny do rozmowy, teraz rozmawiać nie chce za nic w świecie. Imiona w tym akapicie, poza Labiedźką i Kasciuhową, zmieniłem.

***

Ktoś z publicystów zażartował, choć ponury był to żart, że Białoruś od totalitaryzmu oddziela tylko Andrej Dzmitryjeu na wolności. Dzmitryjeu w 2010 roku był szefem sztabu Niaklajeua. Pokajał się publicznie i uniknął kary, ale wyciągnął wnioski. Ruch Mów Prawdę! z wyraziście opozycyjnego zmienił w amatorów pracy organicznej. Łukaszenka kiedyś odejdzie, a z ludźmi trzeba pracować już teraz. Odciął się od reszty opozycji, szukał kontaktów z lokalnymi radnymi, pomagał ludziom pisać petycje, czasem nawet coś tam uzyskiwał. W 2020 roku był jednym z czterech kandydatów na prezydenta, technicznym, czyli takim, który pomógłby poudawać pluralizm, gdyby władze wyrejestrowały Cichanouską (albo gdyby ona sama zre-

eprasa.pl ea67704293

zygnowała). Po wyborach dalej próbował spotykać się z ludźmi, działać w zawężających się ramach systemu, nagrywać samocenzurowanego vloga o życiu w kraju.

W styczniu został zatrzymany za to, że dwa i pół roku temu trzykrotnie poszedł na opozycyjną manifestację. Przyznał się do winy. W dniu, w którym piszę te słowa, prokurator zażądał dla niego dwóch lat pozbawienia wolności. W ostatnich latach poczucie ulgi przeżywa w Białorusi etap hiperinflacji. Najpierw za dobre wieści uznawano grzywnę. Potem parę dni aresztu. Następnie wyrok w zawieszeniu. Teraz coraz częściej można usłyszeć, że ktoś dostał wprawdzie kilkanaście lat, ale na szczęście w kolonii o normalnym, a nie o zaostrzonym rygorze. Na tym tle Dzmitryjeu, gdyby dostał dwa lata, mógłby uważać się za prawdziwego szczęściarza. Tyle że wyraz jego twarzy na zdjęciach z sądowej klatki, w których trzyma się oskarżonych, szczęścia nie sugeruje.

Michał Potocki jest szefem działu opinie w „Dzienniku Gazecie Prawnej", współautorem czterech książek o współczesnej Ukrainie i Białorusi.

eprasa.pl ea67704293

Wielka czystka

Leszek Szerepka

W 2020 roku chęć zemsty, urażona duma, pragnienie zademonstrowania Moskwie, że wciąż całkowicie kontroluje sytuację w Białorusi, skłoniły Aleksandra Łukaszenkę do podjęcia decyzji o przeprowadzeniu wielkiej czystki. Jej celem miało być nie tylko ukaranie aktywnych uczestników protestów, ale także prewencyjne uderzenie we wszystkie niezależne środowiska, całkowite zniszczenie realnej i potencjalnej piątej kolumny.

Aleksander Łukaszenka doszedł do władzy w Białorusi w sposób całkowicie demokratyczny, idealnie wstrzeliwszy się w oczekiwania społeczne. Budowany przez niego system polityczny nie był początkowo nadmiernie represyjny. Cieszący się autentycznym poparciem prezydent nie musiał uciekać się do stosowania siły. Jeżeli sięgał po przemoc, to dlatego, aby zademonstrować swoją omnipotencję albo dać komuś nauczkę. W takich sytuacjach nie zawracał sobie głowy obowiązującymi przepisami, bo sam się uważał za źródło prawa. W kwietniu 1995 roku polecił siłą usunąć z sali obrad parlamentu protestujących deputowanych, mimo że chronił ich immunitet. Parlamentarzystów przy okazji dotkliwie pobito, co nie wywarło jednak większego wrażenia na opinii publicznej. Dochodziło do przypadków wyrzucania ludzi z pracy, zastraszania działaczy opozycji, nękania przedsiębiorców, jednak system opierał się nie na represjach, a na pewnego rodzaju umowie społecznej, która zapewniała Łukaszence swobodę działania, a obywatelom gwarantowała zaspokojenie elementarnych potrzeb (praca, edukacja, opieka zdrowotna).

Szwadrony śmierci

Sytuacja zaczęła się zmieniać pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Pod płaszczykiem konsultacyjnego referendum konstytucyjnego Aleksander Łukaszenka przeprowadził w 1996 roku zamach stanu. Coraz więcej ludzi zaczęło zdawać sobie sprawę, że zostali pozbawieni prawa do decydowania o własnym losie. Doszło do buntu części elity politycznej. W tym czasie białoruski prezydent już postanowił, że władzy raz zdobytej nie odda. Zaczął nawet marzyć o karierze na Kremlu. Wszystkich, którzy mogli mu przeszkodzić w realizacji tych planów, traktował jak osobistych wrogów, a że nigdy nie cierpiał na nadmiar skrupułów moralnych, sprawę rozwią-

eprasa.pl ea67704293

zał radykalnie. Na jego polecenie utworzono w 1998 roku szwadron śmierci, grupę morderców w mundurach. Kierował nimi Wiktor Szejman, ówczesny sekretarz Rady Bezpieczeństwa Białorusi. Szwadron otrzymał polecenie likwidacji tych polityków i „zwykłych" ludzi, którzy mogli być potencjalnie niebezpieczni dla reżimu. Obok worów w zakonie mordowano także znanych polityków, między innymi byłego wicepremiera Wiktora Hanczara czy byłego ministra spraw wewnętrznych Jurija Zacharenkę. Łącznie zniknęło co najmniej kilkanaście osób.

Łukaszenka cynicznie utrzymywał, że dopóki nie ma ciał, to nie można twierdzić, że doszło do jakichś przestępstw. W tym czasie podległe mu służby zacierały ślady mordów. Krewni ofiar nie mogli liczyć na sprawiedliwość, próbowano zamykać im usta, grozić. Wielu z nich faktycznie zmuszono do opuszczenia Białorusi. W obawie o własne życie na podobny krok zdecydowała się część opozycyjnych polityków, między innymi przewodniczący Białoruskiego Narodowego Frontu Zianon Pazniak. Ci, którzy nie wyjechali, w każdej chwili mogli spodziewać się represji. W 1999 roku do więzienia trafił były premier Michaił Czyhir, co świadczyło o tym, że każdy może zostać wciągnięty w tryby aparatu represji. Reżim przeprowadził szerzej zakrojone czystki w środowisku dziennikarzy i biznesu, starając się odciąć opozycję od źródeł finansowania i możliwości propagowania swoich poglądów. Białoruskie KGB odgrzało represyjne praktyki stosowane w czasach ZSRR. Ale wciąż działania te ograniczały się do dość wąskich środowisk osób aktywnych społecznie.

Morderstwa przeciwników politycznych potwierdzały tezę, że odsunięcie Łukaszenki od władzy za pomocą kartki do głosowania będzie niemożliwe. Po uświadomieniu sobie tej prawdy część niezależnych działaczy postanowiła się skupić na życiu prywatnym, nieliczni się zradykalizowali, ale większość zdecydowała się wpisać w ramy nakreślone im przez władze, mimo wszystko licząc na pozytywne efekty swoich działań. W tym czasie Łukaszenka potrzebował jeszcze opozycji. Potrzebni mu byli opozycyjni statyści, dokładnie kontrolowani i niekiedy inspirowani do pożądanych działań. Na arenie międzynarodowej używał ich jako dowodu na to, że w Białorusi jest demokracja, a wewnątrz kraju ta piąta kolumna, jak nazywał wszystkich swoich krytyków, służyła mu do mobilizowania stronników. Mógł ich tolerować, bo faktycznie nie stanowili poważnego zagrożenia.

Śnieg w kolorze czerwieni

Łukaszenka legitymizował swoje rządy za pomocą wyborów. Od referendum w 1996 roku proces głosowania znajdował się już pod pełną kontrolą władz, które z góry wiedziały, jakie będą wyniki. Uzurpatorowi zależało jednak na tym, aby spektakl wyborczy był w miarę wiarygodny. Na okres kampanii wyborczej luzował więc

eprasa.pl ea67704293

politykę wewnętrzną, pozwalając opozycji publicznie zaistnieć. To sprawiało, że wybory stawały się okresami przesileń. I prawidłowość była taka, że im lepiej opozycji udawało się wykorzystać ten krótki okres względnej swobody, tym większych represji mogła się spodziewać. Po wyborach prezydenckich w marcu 2006 roku reżim brutalnie rozprawił się z osobami protestującymi przeciwko fałszerstwom. Niezależny kandydat na prezydenta, były rektor Białoruskiego Uniwersytetu Państwowego Aleksander Kazulin został pobity podczas zatrzymania i skazany na pięć i pół roku więzienia. Setki studentów relegowano z uczelni państwowych. Po wyborach w grudniu 2010 roku represje były jeszcze większe. W noc wyborczą zatrzymano ponad sześćset osób, w tym siedmiu niezależnych kandydatów na urząd prezydenta. Śnieg w centrum Mińska przybrał czerwony kolor. Wielu aresztowanych otrzymało długoletnie wyroki, między innymi jednego z kandydatów, Mykołę Statkiewicza, skazano na sześć lat łagru.

Łukaszenka cynicznie utrzymywał, że dopóki nie ma ciał, to nie można twierdzić, że doszło do jakichś przestępstw. W tym czasie podległe mu służby zacierały ślady mordów.

Demokratyczny świat potępił białoruskiego dyktatora. Unia Europejska i USA objęły reżim sankcjami. Łukaszenka nie przejął się tymi działaniami na tyle, aby zmienić swoją politykę. Po pewnym czasie Zachód wrócił do formuły *business as usual*, a wybory prezydenckie w 2015 roku zakończyły się bezproblemowym zwycięstwem Aleksandra Łukaszenki, co tylko go utwierdziło we własnych racjach.

Przez ćwierćwiecze rządów Łukaszenki Białoruś przekształciła się w dyktaturę, ale wciąż w kraju tym zachowały się elementy społeczeństwa obywatelskiego, przystosowanie do działań w niesprzyjających warunkach. Istniały opozycyjne partie polityczne. Okrzepła sieć NGO. Niezależne media przeniosły się do internetu, który to obszar reżim początkowo lekceważył, a tym samym słabiej kontrolował. Kościół katolicki i wspólnoty protestanckie także wymykały się spod kontroli państwa, stanowiąc zaplecze dla części oddolnych inicjatyw, między innymi białorutenizacyjnych. Telewizja Biełsat była w stanie utworzyć sieć korespondentów poza oficjalnym obiegiem. Działacze zdelegalizowanego Związku Polaków na Białorusi starali się podtrzymywać aktywność. To wszystko świadczyło, że wciąż istniała przestrzeń do niezależnej działalności, pozwalająca aktywnej części społeczeństwa na samoorganizację. Reżim, dopóki nie widział bezpośredniego zagrożenia dla siebie, część tych działań tolerował.

Przygotowania do zaplanowanych na sierpień 2020 roku nowych wyborów prezydenckich przebiegały w specyficznych okolicznościach. Z jednej strony światem wstrząsała pandemia, a z drugiej Rosja żądała od Białorusi przyspieszenia procesu

eprasa.pl ea67704293

integracji obu państw. Łukaszenkę zaniepokoiło, że jego główni kontrkandydaci, na różne sposoby, powiązani byli z Rosją. Postarał się więc o ich eliminację już na wstępnym etapie. Reżim zdecydował się na powtórkę scenariusza z 2015 roku, kiedy to w szranki wyborcze stanęła mało znana działaczka ruchu Mów Prawdę. Dlatego pozwolił na rejestrację Swiatłany Cichanouskiej, „gospodyni domowej", jak złośliwie podkreślały oficjalne media. Łukaszenka przegapił jednak moment radykalnej zmiany nastrojów społecznych w Białorusi. Jego mafijny reżim, traktujący zwykłych obywateli jak bydło, obrzydł w końcu Białorusinom i stracił ich poparcie. Zdesperowani ludzie byli gotowi głosować nawet na „kurę domową", byle nie na Łukaszenkę.

Według oficjalnych danych, tak jak można się było spodziewać, dyktator otrzymał ponad 80 procent głosów wyborców, jednak jego zdziwienie musiało być wielkie, kiedy pokazano mu realne wyniki głosowania, gdzie na pierwszym miejscu znalazła się Swiatłana Cichanouska. Jeszcze bardziej zdziwiła go skala protestów powyborczych. Na ulice miast, w tym małych, rejonowych, wyszły setki tysięcy osób protestujących przeciwko fałszerstwom. I mimo rzucenia do akcji wszystkich rozbudowanych struktur siłowych, w tym armii, pacyfikacja protestów trwała kilka miesięcy. Społeczeństwo nie mogło wygrać tej konfrontacji, gdyż nie miało wyrazistego lidera i planu działań. Cichanouska już następnego dnia po wyborach została – na polecenie dyktatora – deportowana na Litwę, a zasada „zło dobrem zwyciężaj" wobec reżimu Łukaszenki okazała się mało skuteczna.

Masowe, pokojowe protesty doprowadzały dyktatora do wściekłości, gdyż obnażały istotę jego systemu władzy, opartego teraz głównie na przemocy i kłamliwej propagandzie. Aparat represji dostał polecenie jak najszybszego stłumienia buntu bez względu na koszty. Wszelka pobłażliwość dla opozycji była traktowana jako przejaw nielojalności wobec reżimu. Brutalna pacyfikacja protestów doprowadziła co najmniej do kilkunastu ofiar śmiertelnych, tysiące osób zostało rannych, a dziesiątki tysięcy aresztowanych. W więzieniach dochodziło do dantejskich scen, które można zakwalifikować jako tortury psychiczne i fizyczne. Regularne bicie i „ścieżki zdrowia". Odcięcie zatrzymanych od wszelkiego kontaktu ze światem zewnętrznym. Przeludnione cele (w czasach pandemii), brak dostępu do higieny i opieki medycznej. Celem tych praktyk było zastraszenie ludzi i zniechęcenie ich do jakichkolwiek protestów.

Łukaszenka legitymizował swoje rządy za pomocą wyborów. Od referendum w 1996 roku proces głosowania znajdował się już pod pełną kontrolą władz, które z góry wiedziały, jakie będą wyniki.

Chęć zemsty, urażona duma, pragnienie zademonstrowania Moskwie, że wciąż całkowicie kontroluje sytuację w Białorusi, skłoniły dyktatora do podjęcia decyzji

eprasa.pl ea67704293

o przeprowadzeniu wielkiej czystki. Jej celem miało być nie tylko ukaranie aktywnych uczestników protestów, ale także prewencyjne uderzenie we wszystkie niezależne środowiska, całkowite zniszczenie realnej i potencjalnej piątej kolumny. Po stłumieniu protestów powyborczych reżim przystąpił do systematycznej pracy nad stworzeniem listy swoich wrogów. Uruchomiono agenturę, zaczęto przeglądać monitoring uliczny i specnagrania z demonstracji, sprawdzać podpisy na listach poparcia dla niezależnych kandydatów złożone podczas kampanii wyborczej, infiltrować media społecznościowe. Niezależnych dziennikarzy faktycznie pozbawiono prawa wykonywania zawodu, tak jak i adwokatów, którzy ośmielili się bronić opozycjonistów. Do więzienia można było trafić nawet za lajka czy krytykę reżimu wypowiedzianą podczas prywatnej rozmowy.

Po agresji Rosji na Ukrainę, do której Łukaszenka się przyłączył, represyjność jego systemu jeszcze wzrosła. Przeprowadzono masową czystkę w szkolnictwie wyższym i administracji. Dyktator uznał, że wszelkie przejawy protestów w strefie przyfrontowej – a za takową uważa całą Białoruś – mogą być dla niego politycznie kosztowne. Prokuratura i sądownictwo stanowiące integralną część systemu represji i od 2020 roku pracujące na pełnych obrotach otrzymały nowe wytyczne. W sfingowanych procesach, których przebieg często jest utajniany, zaczęły zapadać drakońskie wyroki. Jeden z niedoszłych pretendentów na urząd prezydenta Białorusi Wiktar Babaryka został skazany na czternaście lat więzienia, inny, Siarhiej Cichanouski – na osiemnaście lat. Za kratami znalazło się całe kierownictwo Centrum Obrony Praw Człowieka Wiasna, a lider organizacji Aleś Bialacki, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, został skazany na dziesięć lat łagru. Dziennikarz i działacz mniejszości polskiej Andrzej Poczobut otrzymał wyrok ośmiu lat. Reżim zaczął organizować procesy zaoczne. W ten sposób potraktował kierownictwo polityczne białoruskiej emigracji na czele ze Swiatłaną Cichanouską, która została skazana w takim procesie na piętnaście lat łagru (po wyborach Łukaszenka sam wyrzucił Cichanouską z kraju). Reżim zaostrzył odpowiedzialność karną za przestępstwa motywowane politycznie, między innymi rozszerzył spis czynów, za które grozi kara śmierci. Zresztą jest to działanie czysto formalne, bo w łukaszenkowskim więzieniu, jak świadczy przykład Witolda Aszurka, nawet bez wyroku można zostać zakatowanym na śmierć.

Mafijny reżim Łukaszenki, traktujący obywateli jak bydło, obrzydł w końcu Białorusinom i stracił ich poparcie. Zdesperowani ludzie byli gotowi głosować nawet na „kurę domową", byle nie na niego.

Wiele wskazuje na to, że Łukaszence udało się spacyfikować Białoruś, ale odbyło się to ogromnym kosztem. Po wyborach przez więzienia przewinęło się ogółem po-

eprasa.pl ea67704293

nad 50 tysięcy osób. Prokuratura i organy śledcze wszczęły około 12 tysięcy spraw karnych. Według danych z początku kwietnia 2023 roku status więźnia sumienia wciąż miało w Białorusi około 1,5 tysiąca osób. Szacuje się, że fala migracyjna związana z represjami objęła ponad 200 tysięcy osób (ponad 2 procent mieszkańców kraju). Na opuszczenie Białorusi zdecydowali się głównie ludzie aktywni zawodowo, dobrze wykształceni i przedsiębiorczy. Największy ubytek odczuła branża IT, która jeszcze nie tak dawno była najbardziej dynamicznie rosnącym segmentem białoruskiej gospodarki.

Wielka czystka zwiększyła Łukaszence komfort rządzenia, co w sytuacji głębokiego kryzysu w regionie, spowodowanego agresją Rosji na Ukrainę, ma niewątpliwie swoje plusy. Społeczeństwo białoruskie nie ma obecnie sił, aby protestować przeciwko nie tylko wplątaniu się dyktatora w wojnę w Ukrainie, ale także takim niebezpiecznym posunięciom, jak rozmieszczenie na terytorium republiki rosyjskiej taktycznej broni jądrowej. Pojedyncze akty protestu i sabotażu tylko potwierdzają tę opinię. Jednak w dłuższej perspektywie może się okazać, że dyktator odniósł pyrrusowe zwycięstwo. I tak jego przyszłość jest teraz ściśle związana z rezultatem konfliktu w Ukrainie. A jeżeli nawet przetrwa tę wojnę, to wielka czystka negatywnie odbije się na białoruskiej gospodarce i jeszcze bardziej osłabi ostatnio i tak wątłe pozycje negocjacyjne dyktatora w stosunkach z Rosją.

Leszek Szerepka jest dyplomatą (były ambasador RP w Mińsku), analitykiem i publicystą, autorem książek o Białorusi i Ukrainie.

eprasa.pl ea67704293

Gruzja
Czas na młodych?

Wojciech Wojtasiewicz

Najbliższe miesiące, jeśli chodzi o przyszłość Gruzji i jej geopolityczny wybór, będą decydujące. Jeśli gruziński rząd zaprzepaści szanse na zbliżenie z Unią Europejską, może spodziewać się masowych demonstracji. Na ulicach ponownie pojawią się młodzi Gruzini, którzy mogą doprowadzić do rozwiązania znanego z Ukrainy z przełomu 2013 i 2014 roku.

Gruzja od kilku lat targana jest licznymi konfliktami społeczno-politycznymi. Ostatnie napięcia skupiają się wokół niepewnej perspektywy uzyskania od Unii Europejskiej statusu kandydata i projektu ustawy o zagranicznych agentach. Przez kraj przetaczają się liczne demonstracje, którym ton nadają organizacje pozarządowe i młodzi ludzie. Czy stworzą nową siłę, która pozwoli południowokaukaskiemu krajowi wyjść z wieloletniej polaryzacji?

Gruzja od ponad dekady pozostaje w politycznym klinczu pomiędzy dwoma głównymi siłami politycznymi: rządzącym Gruzińskim Marzeniem (GM) z nieformalnym liderem Bidziną Iwaniszwilim i najważniejszą siłą opozycyjną – Zjednoczonym Ruchem Narodowym (ZRN) byłego prezydenta Micheila Saakaszwilego. Głównym atutem partii rządzącej jest jej programowa i osobowa słabość oraz rozdrobnienie opozycji. Pomimo rosnącego rozczarowania społeczeństwa GM opozycja nie jest w stanie zyskać nad nim przewagi. W jej szeregach dominują stare twarze, na czele z Micheilem Saakaszwilim, który pomimo że nie sprawuje żadnej formalnej funkcji politycznej, wciąż koncentruje uwagę społeczną wokół swojej osoby.

Klincz

Saakaszwili półtora roku temu wrócił do kraju po ośmiu latach emigracji. Trafił do więzienia za rzekome nadużycia władzy. Sam twierdzi, że oskarżenia mają charakter polityczny. Od roku przebywa natomiast w szpitalu ze względu na pogarszający się stan zdrowia (stracił na wadze pięćdziesiąt kilogramów). Utrzymuje, że został otruty metalami ciężkimi, a celem władz jest jego fizyczne unicestwienie. Trudno jednoznacznie stwierdzić, czy rzeczywiście jest on w tak fatalnej kondycji,

eprasa.pl ea67704293

jak twierdzi wraz z prawnikami i prywatnymi lekarzami, którzy go badali. Jednak jest pewne, że jego sprawa ma fatalny wpływ na międzynarodowy wizerunek Gruzji.

W ostatnich latach powstało wiele nowych partii politycznych, które próbowały przełamać monopol dwóch głównych sił. ZRN ma nad sobą szklany sufit i nie udaje się mu przekroczyć 25–30 procent poparcia. Partia posiada duży elektorat negatywny, społeczeństwo pamięta o błędach, które popełniła w trakcie swoich rządów w latach 2004–2012. Jednak większość nowo utworzonych ugrupowań wywodzi się z byłej partii władzy, przykładowo Europejska Gruzja, Strategia Agmaszenebeli, Nowe Polityczne Centrum – Girczi czy Droa. Powstały też partie powołane przez ludzi niezwiązanych z ZRN, jak na przykład Lelo, Sojusz Patriotów Gruzji czy Obywatele. Jednak wszystkie te nowe byty polityczne nie są w stanie wyjść poza kilka procent poparcia. Pomimo że ich liderzy deklarują chęć porozumienia i powołania koalicyjnego rządu, Gruzińskie Marzenie wygrywa wszystkie wybory (parlamentarne, prezydenckie i samorządowe) od 2012 roku.

Pogłębiający się marazm społeczny związany jest również z problemami ekonomicznymi (pandemia, inflacja) i w sferze bezpieczeństwa (wojna w Ukrainie i jej wpływ na kraj, między innymi napływ i osiedlenie się ponad 100 tysięcy Rosjan). Ten stan rzeczy od kilku lat próbują przełamać ruchy społeczne, organizacje pozarządowe i zwykli obywatele, w ogromnej części są to ludzie młodzi. Organizują na przykład liczne protesty, podczas których w zdecydowany sposób dają wyraz swojemu niezadowoleniu z działań władzy.

W marcu bieżącego roku Gruzini w Tbilisi, a także w dwóch innych największych miastach – Kutaisi i Batumi – tłumnie wyszli na ulice, sprzeciwiając się projektowi ustawy o zagranicznych agentach. Prawo zakładało stworzenie rejestru organizacji pozarządowych i mediów, których dochody pochodzą w przynajmniej 20 procentach z zagranicznych grantów. Projekt ten w jawny sposób był inspirowany rozwiązaniem przyjętym w Rosji w 2012 roku, chociaż władze temu zaprzeczały, twierdząc, że za wzór biorą zapisy amerykańskie. Przekonywały, że prawo ma na celu zwiększenie przejrzystości finansów trzeciego sektora i czwartej władzy. W rzeczywistości chodziło o uderzenie w organizacje pozarządowe i wolne media przed przyszłorocznymi wyborami parlamentarnymi, które (już po raz czwarty) będzie chciała wygrać partia rządząca. Po trzydniowych masowych mityngach, które przerodziły się w regularną bitwę pomiędzy protestującymi a policją wyposażoną w armatki wodne i gaz pieprzowy, GM wycofało się z procedowania projektu w parlamencie. Sprzeciw okazał się sukcesem społeczeństwa obywatelskiego.

– Aktywiści społeczni i opozycja cały czas obserwują działania i wypowiedzi polityków GM. Jeśli zajdzie taka potrzeba, jesteśmy gotowi w każdej chwili wrócić na ulicę. Politycy obozu władzy nie przeprosili za poparcie dla projektu ustawy. Uwa-

eprasa.pl ea67704293

żają, że była słuszna, a zrezygnowali z niej jedynie po to, by skończyły się protesty uliczne. Co gorsza, obecnie zaczynają stosować nomenklaturę z niedoszłej ustawy w stosunku do konkretnych NGO, próbując im nadać negatywną łatkę – mówi Tamar Dżakeli, dwudziestosześcioletnia aktywistka ruchu Zielonych.

Tęczowy wróg

Organizacja została powołana jesienią ubiegłego roku. Jej celem jest walka o klimat, ochronę środowiska i zrównoważony, zielony rozwój Gruzji. W najbliższych miesiącach jej członkowie planują powołać partię polityczną o ekologicznym i socjaldemokratycznym charakterze. Jednak jak na razie skupiają się na dalszym zaangażowaniu ulicznym. W najbliższym czasie planują protest w sprawie dwudziestojednoletniego Lazara Grigoriadisa, Gruzina o greckich korzeniach, który rzekomo w czasie marcowych demonstracji miał rzucić w policję koktajlem Mołotowa i podpalić policyjny samochód. Chłopak ma pofarbowane włosy i tatuaże wokół oczu, w związku z czym szef GM Irakli Kobachidze zasugerował, że musi mieć odmienną orientację seksualną.

W szeregach gruzińskiej opozycji dominują stare twarze, na czele z Micheilem Saakaszwilim. Pomimo że nie sprawuje on żadnej funkcji politycznej, wciąż koncentruje uwagę społeczną wokół swojej osoby.

– Nie przez przypadek został wybrany przez władzę jako symbol ataków na opozycję i protestujących. Rządzący próbują powiązać nasz protest z walką o prawa mniejszości seksualnych, które mają rzekomo pozostawać w kontrze do gruzińskich tradycyjnych wartości – mówi Dżakeli z Zielonych.

Chłopak został aresztowany. Grozi mu jedenaście lat więzienia. Dżakeli dodaje, że pozyskała wiarygodną informację (pochodzącą z kręgów rządowych) mówiącą, że GM zamierza już wkrótce rozpocząć pracę nad projektem ustawy o zakazie „propagandy gejowskiej" wniesionym jakiś czas temu przez skrajnie prawicową organizację Alt Info. To kolejny projekt ustawy wzorowany i inspirowany rozwiązaniem prawnym przyjętym w putinowskiej Rosji. Jeśli projekt trafi pod obrady, spodziewana jest podobna eskalacja uliczna jak w marcu.

– Unia Europejska w dwunastu rekomendacjach przedstawionych gruzińskiemu rządowi – w kontekście ubiegania się przez Tbilisi o status kandydata do Wspólnoty – zwróciła uwagę na potrzebę wzmocnienia ochrony praw osób dyskryminowanych, w tym LGBT+. Jeśli GM zacznie pracę nad ustawą o zakazie „propagandy gejowskiej", działać będzie wbrew sugestiom Brukseli i tym samym oddali Gruzję od europejskiej perspektywy – podkreśla Dżakeli.

eprasa.pl ea67704293

W ostatnich latach we wszystkich demonstracjach (narkoMajdan w 2018 roku przeciwko restrykcyjnej polityce narkotykowej państwa, „noc Gawriłowa" – protesty dotyczące statusu kandydata do Unii Europejskiej, ustawa o zagranicznych agentach) dominującą grupę protestujących stanowiły osoby bardzo młode. Byli to studenci, działacze NGO, ludzie wychowani już w niepodległej Gruzji.

– Często nie pamiętają ciężkich czasów lat dziewięćdziesiątych i początku XXI wieku, na który przypadła wojna domowa, konflikt z Abchazją i Osetią Południową, rządy Eduarda Szewardnadzego czy kryzys gospodarczy. Jedyne odniesienie stanowi dla nich osoba byłego prezydenta Micheila Saakaszwilego i jego rządy. Dla wielu z nich to skompromitowana postać – deklaruje Dżakeli.

Unia – mglista perspektywa

Przyznanie Gruzji statusu kandydata przez Unię Europejską jest w ostatnich miesiącach kolejną sprawą budzącą duże emocje. Tbilisi, w przeciwieństwie do Kijowa i Kiszyniowa, nie otrzymało wspomnianego statusu, a jedynie perspektywę europejską i pakiet zadań do wykonania. Ocena starań Tbilisi ma nastąpić jesienią bieżącego roku. Wtedy to Bruksela podejmie ostateczną decyzję. Pokazanie Gruzji żółtej kartki przez Wspólnotę spowodowane było rosnącą antyzachodnią i antyukraińską retoryką gruzińskich władz. Rząd GM w ostrożny, wręcz cyniczny sposób odniósł się do rosyjskiej agresji na Ukrainę. Oskarżał opozycję i krytykował poczynania Zachodu, mówiąc o chęci otworzenia „drugiego frontu" w Gruzji.

Według różnych sondaży ponad połowa Gruzinów wśród aktualnie istniejących partii nie znajduje siły politycznej, na którą chciałaby głosować w kolejnych wyborach.

Celem gruzińskiego społeczeństwa obywatelskiego jest walka o otrzymanie przez Gruzję statusu kandydata od Unii Europejskiej. Szota Digmelaszwili, trzydziestosiedmioletni lider Ruchu Wstydu, organizacji powstałej na fali protestów społecznych z czerwca 2019 roku przeciwko wizycie grupy rosyjskich deputowanych w gruzińskiej legislatywie w związku z posiedzeniem Zgromadzenia Parlamentarnego Państw Prawosławnych. Uważa, że sytuacja polityczna Gruzji jest podobna do sytuacji w Ukrainie sprzed rewolucji godności.

– Dotychczas Gruzińskie Marzenie było w stanie przekonać większość Gruzinów, że celem rządu jest integracja z Zachodem, co jednak jest kłamstwem. Ich działania są sprzeczne z deklarowanymi zamierzeniami. My jako reprezentanci społeczeństwa obywatelskiego chcemy pokazać Brukseli, że Gruzini chcą integracji z Zachodem – mówi Digmelaszwili.

eprasa.pl ea67704293

Podkreśla, że większość społeczeństwa opowiada się za przyszłą integracją Gruzji z Unią Europejską i NATO (odpowiednio około 80 i 70 procent). W jego ocenie Gruzini nie marzą tylko o lepszym poziomie życia, wielu z nich podziela europejskie wartości, co nie zmienia faktu, że w Gruzji występują problemy w zakresie praw człowieka i demokracji. Wynikają one z tego, że Gruzja pozostawała przez siedemdziesiąt lat pod sowiecką okupacją, a jej intelektualne elity zdziesiątkowano. Gruzja ma powiązania z europejskim kręgiem kulturowym, jako drugi kraj w świecie przyjęła chrześcijaństwo jako religię państwową, Gruzini postrzegają siebie samych jako Europejczyków, a nie Azjatów. Wartości europejskie i integracja europejska są filarami współczesnego państwa gruzińskiego, a wstąpienie do Unii Europejskiej i NATO zostało zapisane w konstytucji jako oficjalne cele polityki zagranicznej.

Gruzińska emigracja ma charakter masowy. Młodzi szukają dla siebie zatrudnienia w Unii Europejskiej.

– Gruziński rząd swoimi działaniami *de facto* sabotuje wejście kraju do Unii Europejskiej i NATO, choć formalnie opowiada się za integracją euroatlantycką, nie chcąc stracić poparcia społecznego i nie wywołać protestów, nad którymi nie będzie w stanie zapanować. Rządzący cały czas badają reakcję społeczną, chcą wiedzieć, jak daleko mogą się posunąć – twierdzi Digmelaszwili.

Lider Ruchu Wstydu podkreśla kluczową rolę społeczeństwa obywatelskiego. W czerwcu 2022 roku to NGO zorganizowały masowe demonstracje poparcia dla integracji europejskiej, w których uczestniczyło aż 150 tysięcy osób, czyli ponad 10 procent mieszkańców Tbilisi.

– Szef GM Irakli Kobachidze pierwotnie był niechętny złożeniu przez Tbilisi (wraz z Kijowem i Kiszyniowem) wniosku o status kandydata. Twierdził, że jego kraj nie jest gotowy na ten krok. Jednak pod naciskiem opinii publicznej zmienił zdanie. Sprzeciw społeczny ma sens. W marcu udało się nam zastopować przyjęcie ustawy o zagranicznych agentach, a w 2019 roku po „nocy Gawriłowa" wpłynęliśmy na zmianę kodeksu wyborczego – mówi Digmelaszwili.

Partia młodych?

Wielu ekspertów i komentatorów zastanawia się, czy i kiedy ruchy społeczne stworzone przez nowe pokolenie Gruzinów zaangażują się w pełni w życie polityczne.

– Od pewnego czasu w środowisku organizacji pozarządowych toczą się na ten temat rozmowy. Problem stanowi finansowanie nowej siły politycznej. Środki ze składek członkowskich czy zbiórek publicznych nie wystarczą. Partie polityczne nie

eprasa.pl ea67704293

mogą otrzymywać zagranicznych grantów. Wsparcie finansowe od biznesu może prowadzić do nacisków z jego strony. Występuje też problem z odpowiednią liczbą aktywistów chcących się zaangażować w regularną działalność. Muszą gdzieś pracować, zarabiać na życie, a boją się utraty zatrudnienia, kiedy pracodawca dowie się, że angażują się w politykę po opozycyjnej stronie – mówi Tamar Dżakeli.

Nieco sceptyczniej do idei powołania nowej partii politycznej odnosi się Szota Digmelaszwili.

– W minionych latach w środowisku NGO prowadzono rozmowy o powołaniu nowej partii politycznej, jednak przeważył pogląd, że więcej można zrobić, pozostając w trzecim sektorze. Przy okazji wyborów parlamentarnych w 2020 roku różne opozycyjne partie proponowały mi miejsce na liście wyborczej. Odmówiłem. Czuję się aktywistą, nie politykiem. Zaangażowanie w politykę wymaga zmiany stylu życia, wiąże się ze stresem. Wątpię, żebym się na to zdecydował. Przewodzenie ruchowi społecznemu jest również ważnym przejawem aktywności politycznej – deklaruje założyciel Ruchu Wstydu.

Liderzy gruzińskich organizacji pozarządowych uważają, że sukces społeczeństwa obywatelskiego w ostatnich latach podyktowany był tym, że organizacje pozarządowe były w stanie zjednoczyć Gruzinów pomimo ich różnych sympatii politycznych. Stworzenie partii z konkretnym programem mogłoby zaprzepaścić to osiągnięcie. W demokratycznych demonstracjach uczestniczyli przecież także ludzie, którzy w przeszłości głosowali na Gruzińskie Marzenie.

Krajobraz polityczny w Gruzji pozostaje spolaryzowany. Kolejne wybory parlamentarne powinny odbyć się jesienią 2024 roku. Sporo jest partii prozachodnich i proreformatorskich, zobaczymy, czy dojdą one do głosu. W Gruzji sytuacja polityczna zmienia się szybko, polityka stała się nieprzewidywalna.

Byle stąd uciec

Część młodych Gruzinów nie ma siły na walkę z obecną władzą czy szerzej klasą polityczną. Decydują się na wyjazd z kraju i poszukiwanie lepszego życia na Zachodzie.

– Ogromny problem społeczny stanowi masowa emigracja, w szczególności zjawisko to dotyczy młodych ludzi. Opuszczają kraj z powodu poczucia beznadziei. Nie widzą swojej przyszłości w Gruzji znajdującej się pod obecnym przywództwem, które sprawia, że Gruzja wraca do rosyjskiej strefy wpływów i oddala się od Zachodu. Emigrują, ponieważ ich wartości nie korelują z wartościami obecnych liderów państwa – podkreśla Szota Digmelaszwili.

Podobnie sprawę widzi Giorgi Badridze, ekspert Gruzińskiej Fundacji Studiów Strategicznych i Międzynarodowych.

eprasa.pl ea67704293

– Mam sporo przyjaciół i znajomych, którzy początkowo popierali Bidzinę Iwaniszwilego oraz jego ekipę. Kiedy podnosiłem zastrzeżenia wobec jego władzy, odpowiadali, że stracili do niego zaufanie i jak przyjdzie czas, to odsuną go od rządów, tak samo jak Micheila Saakaszwilego. Dzisiaj nie są już o tym przekonani. Raczej podkreślają, że przestali interesować się polityką i śledzić wiadomości. Wielu z nich wyjechało z kraju. Emigracja ma charakter masowy. Młodzi szukają dla siebie zatrudnienia w Unii Europejskiej – mówi gruziński dyplomata, w przeszłości ambasador Gruzji w Wielkiej Brytanii, wskazując również na rosnące tendencje autorytarne.

Na inny aspekt emigracji młodych ludzi zwraca uwagę Mariam Kwaracchelia, liderka organizacji LGBT+ Tbilisi Pride.

– Każdego dnia słyszymy, że ktoś wyjeżdża. Obecnie, kiedy spotykasz młodą osobę queerową, pierwsze pytanie brzmi: Czy planujesz wyjechać? Albo: Kiedy i gdzie się udajesz? Dosłownie niemal wszyscy opuszczają kraj. Aktywiści i ludzie posiadający różne umiejętności i wiedzę, ale także inni, zwłaszcza kobiety trans – podkreśla aktywistka.

Masowa emigracja spowodowana jest rosnącą homofobią gruzińskich władz, które rok temu nie zapobiegły atakowi skrajnie prawicowych sił na aktywistów LGBT+ i dziennikarzy podczas próby organizacji marszu godności w centrum Tbilisi. Dotychczas nikt z agresywnych napastników nie został ukarany.

***

Według różnych sondaży ponad połowa Gruzinów wśród aktualnie istniejących partii nie znajduje siły politycznej, na którą chciałaby głosować w kolejnych wyborach. Większość respondentów jest zmęczonych jałowym klinczem pomiędzy dwoma głównymi ugrupowaniami. Daje to ogromną przestrzeń dla nowych bytów politycznych tworzonych przez młode pokolenie Gruzinów. Jednak ich powstanie i ewentualny sukces polityczny nie są proste. Główny problem stanowi finansowanie działalności politycznej. Ponadto wielu ludzi, którzy mogliby zaangażować się w regularną aktywność polityczną, obawia się o utrzymanie zatrudnienia i problemy natury prawnej ze strony aktualnie rządzących.

Wojciech Wojtasiewicz jest dziennikarzem, publicystą, stale współpracuje z „Nową Europą Wschodnią".

eprasa.pl ea67704293

Sami nic nie zrobimy

Jakub Osiecki

Gdy zapytać młodych, czy chcieliby mieć dzieci, podkreślają, że owszem, ale najchętniej dziewczynkę, bo nie musiałaby iść na front walczyć za ojczyznę.

Związek Radziecki upadł ponad trzydzieści lat temu. Dla młodych ludzi w Armenii to historia, która nie była ich udziałem. Znają ją z opowieści rodziców i dziadków, sami wyrośli już nie tyle w opozycji do tego, co komunistyczne, ile wobec rzeczywistości politycznej związanej z byłym prezydentem Robertem Koczarjanem, Serżem Sarkisjanem i Partią Republikańską. Był to czas pozornej stabilizacji i rozrastającego się systemu mafijno-korupcyjnego. Dla nowego pokolenia Ormian cezurę wyznacza zatem rewolucja z 2018 roku, która wyniosła do władzy Nikola Paszinjana – obecnego premiera Armenii. Od pięciu lat Armenia stanowi wzór do naśladowania według między innymi OSCE (Office for Democratic Institutions and Human Rights), kraj stosuje najwyższe standardy w kontekście wyborów parlamentarnych. Jak ma się to jednak do samych nastrojów wewnątrz kraju? Czy młodzi Ormianie są też optymistami?

Rosja pod pręgierzem krytyki

Ormianie w wieku lat trzydziestu plus to przede wszystkim pierwsze pokolenie nieznające już biegle języka rosyjskiego. Lepiej lub gorzej posługują się angielskim, ale rosyjski nie jest już dla nich *lingua franca*. Niby niewiele to zmienia, ale w perspektywie dostępu do nowych technologii, korzystania z mediów społecznościowych i docierania do bieżących informacji ze świata stanowi znaczące poszerzanie horyzontów. Te nowe narzędzia dają młodym dostęp do innej narracji, niezależnej od tej, którą kreują oficjalne armeńskie media czy rosyjska propaganda.

Jednak kiedy pytam Ormian o Zachód i Unię Europejską, nieco się krygują. Czy Unia Europejska stanowi alternatywę dla rozwoju politycznego i ekonomicznego Armenii?

– Unia Europejska nie przedstawia nam konkretnego planu – odpowiada Armen. – Pieniądze póki co napływają do nas raczej z Rosji, a po wybuchu wojny w Ukrainie kapitał rosyjski w Armenii niemal się podwoił. Musicie zrozumieć, że dla nas liczy się przede wszystkim bezpieczeństwo. Gwarancja wsparcia militarne-

eprasa.pl ea67704293

go stanowi najwyższy priorytet, a drugorzędną kwestią jest pojawienie się kapitału i inwestycje. Ale póki co ani jednego, ani drugiego Zachód nie może nam dać, więc tkwimy w układzie, który jest nam znany – zaznacza Armen.

Z drugiej jednak strony Rosja jako gwarant bezpieczeństwa nie jest już jednak tak wiarygodna. Na początku bieżącego roku premier Paszinjan użył nawet określenia, że w związku z obecnością rosyjskich sił pokojowych sytuacja polityczna w Armenii ulega destabilizacji[1]. Ta wypowiedź nie spotkała się z szeroką krytyką obywateli, co więcej: premier Paszinjan przemówił głosem całego społeczeństwa, a w szczególności właśnie młodych ludzi.

Dwa wydarzenia wpłynęły mocno na to nowe spojrzenie na reżim Putina. Przegrana wojna Armenii z Azerbejdżanem w 2020 roku, nieudolność Rosji w utrzymaniu *status quo* po zakończeniu tego konfliktu i toczona obecnie wojna w Ukrainie. Młodzi Ormianie nie zostawiają dziś na Rosji suchej nitki. I tu przebiega linia konfliktu międzypokoleniowego.

Młodzi Ormianie nie marzą już o pracy w Rosji, ale zabiegają o wyjazd na Zachód. Część bierze udział w loterii o zieloną kartę, a część poprzez kontakty rodzinne stara się o wizę do Unii Europejskiej.

Dla osób po pięćdziesiątce i tych starszych Rosja wciąż jest sojusznikiem numer jeden, dlatego też przez wiele lat kraj ten stanowił główny kierunek zarobkowej emigracji Ormian. Nad Wołgą osiadają liczne koligacje rodzinne, są powiązania kulturowe i wspomniany wcześniej język. To wiele płaszczyzn porozumienia, których nawet olbrzymia empatia dla Ukrainy może nie odmienić. Wydaje się jednak, że póki trwa wojna w Ukrainie, prorosyjskość będzie raczej postawą mniejszości.

PR-owo genialnym posunięciem ze strony Brukseli było wysłanie stu obserwatorów Unii Europejskiej na granicę z Azerbejdżanem. Ormianie (bez względu na rok urodzenia) odebrali ten gest jednoznacznie pozytywnie.

Nic nie zrobimy

Gdyby jednak spojrzeć na nastroje społeczne w Armenii z płaszczyzny „meta", widać, że zmienia się tylko fasada. Wnętrze budynku dalej wymaga gruntownego remontu. Jeśli bowiem zapytać Ormian, czy jako nowe pokolenie chcą wziąć sprawy przyszłości politycznej w swoje ręce, unikają odpowiedzi.

[1] *Pashinyan says Russian military presence "threatens Armenia's security"*, https://armenianweekly.com/2023/01/11/pashinyan-says-russian-military-presence-threatens-armenias-security/

eprasa.pl ea67704293

– Sami niewiele możemy, sami nic nie zrobimy – podkreśla Lewon. – By Armenia mogła dalej istnieć, musimy porozumieć się z Francją, Stanami Zjednoczonymi albo z Turcją – dodaje.

Własne bezpieczeństwo Ormianie widzą wyłącznie w kontekście sojuszu z innym niż Rosja graczem. Państwo ogólnie postrzegane jest jako słabe, niestety również elity polityczne nie budzą zaufania.

– Horyzonty rządzących nie wykraczają dalej niż w przypadku przeciętnych obywateli. Politycy próbują ułożyć układankę. Starają się dociec, jak będzie wyglądać jutro Armenii, gdy Rosja się usunie, a na Kaukaz Południowy odważniej wkroczy Turcja – podkreśla sceptycznie Gor.

Rząd czyni jednak umizgi w kierunku młodych. Preferencyjne kredyty czy zapomoga dla rodziców przez pierwsze trzy lata życia dziecka to tylko niektóre z narzędzi. Jednak sami Ormianie do zakładania rodziny się nie spieszą. Zagrożenie ze strony Azerbejdżanu jest odczuwalne. Gdy zapytać młodych o to, czy chcieliby mieć dzieci, podkreślają, że owszem, ale najchętniej dziewczynkę, bo nie musiałaby iść na front walczyć za ojczyznę.

Temat wyjazdu z Armenii ciągle jest dla młodych aktualny. Ormianie to wyjątkowo wędrowny i dobrze adaptujący się naród. Od wielu lat diaspora stanowi niemal integralną część ormiańskiej państwowości. Jednak teraz już nikt nie marzy o pracy w Rosji, ale zabiega właśnie o wyjazd na Zachód. Część bierze udział w loterii o zieloną kartę, a inni poprzez kontakty rodzinne starają się o wizę do Unii Europejskiej.

Asfaltowe drogi

Ci, którzy są zdecydowani pozostać, podkreślają, że sytuacja ekonomiczna się poprawia, a biznes w Armenii ma się coraz lepiej. Państwo przestało przeszkadzać i nagle okazało się, że przedsiębiorcy mogą normalnie funkcjonować. Od 2018 roku zauważalna jest również wolność ekonomiczna. Przedsiębiorcy nie narzekają w takim stopniu jak wcześniej na korupcję i nadmierną biurokrację. Rząd przyjął taktykę niedociskania firm podatkami. Słuszną ideą jest zresztą nauczenie Ormian odpowiedzialności za własne państwo i skłonności do dobrowolnego wnoszenia podatku. Funkcjonujący latami w szarej strefie biznesmeni coraz chętniej legalizują działalność.

Ekonomiczny wzrost w 2022 roku był dwucyfrowy – to zasługa zarówno samego rządu Paszinjana, jak i wspomnianego kapitału rosyjskiego, który pojawił się po lutym 2022 roku[2].

[2] Андрей Мовчан: Экономика Армении получила буст, но рано или поздно будет падение, https://www.civilnet.am/ru/news/696360/

eprasa.pl ea67704293

– Ale co z tego, że coraz lepiej nam się powodzi, że nawet drogi mamy coraz lepsze, bo asfaltowe. Paszinjan za chwilę te drogi będzie musiał oddać Azerbejdżanowi – ironizuje Armen. I rozmowa zatacza koło, wracając do braku bezpieczeństwa i stabilności w regionie Górskiego Karabachu – ormiańskiej enklawy otoczonej przez Azerbejdżan i jego wojsko.

Od ponad stu dni ormiański Górski Karabach odcięty jest bowiem od świata. Nie ma dostaw gazu, prąd dostarczany jest do domów jedynie na dwie godziny dziennie. Brakuje leków, artykułów spożywczych czy środków higieny. Benzynę można kupić jedynie w obowiązującym limicie dziesięciu litrów na miesiąc. Jedynie chleba – pieczonego na miejscu – wystarcza dla wszystkich. Nie działają przedszkola, szkoły ani większość urzędów. Ten stan udziela się też Ormianom w Erywaniu. Wszak niemal każdy z nich ma jakichś dalszych lub bliższych krewnych w tej szczelnie zaryglowanej krainie. Cóż można zrobić? W zasadzie nic! Rozpętać wojnę.

Czy można zatem oceniać społeczeństwo w Armenii jako apatyczne, bezwolne? A może ich zachowanie to zwyczajny pragmatyzm?

Jakub Osiecki jest publicystą i naukowcem. Specjalizuje się w tematyce Kaukazu Południowego, przede wszystkim Armenii.

eprasa.pl ea67704293

W autorytarną stronę

Miłosz Szymański

Przed wyborami Kazachstan miał trzy partie w parlamencie, a po wyborach już sześć. Prezydent Tokajew nazwał te wybory kolejnym krokiem na drodze do demokratyzacji kraju i odtrąbił sukces. W praktyce jednak niewiele się zmieniło.

Dzień przed wiosenną równonocą w Azji Centralnej obchodzony jest Nowruz. To jedno z najstarszych perskich świąt, które przyjęło się w wielu innych krajach jako początek nowego cyklu życia, zupełnie jak Jare Gody czy Wielkanoc w naszej kulturze.

To właśnie w Nowruz 2019 roku Nursułtan Nazarbajew ustąpił z urzędu prezydenta na rzecz Kasyma-Żomarta Tokajewa. Pozostał jednak głową rządzącej partii Nur-Otan i faktycznym przywódcą kraju. Nazarbajew zapewnił sobie także szczególny status w konstytucji jako elbasy, czyli lider nacji. Pierwszy prezydent poprowadził partię do kolejnych wyborów parlamentarnych w styczniu 2021 roku. Ich wynik znany był na długo przed rozpoczęciem głosowania. W Kazachstanie ukształtował się system polityczny, w którym dwie formalnie opozycyjne partie Ak Żoł i Partia Ludowa zdobywały kilka procent głosów i były poręczną dekoracją dla dominującej życie polityczne partii władzy. W 2021 roku zmieniło się tyle, że obie fasadowe partie miały mieć kilkunastu zamiast kilku posłów w stusiedmioosobowym Mażlisie, co i tak jest sporym postępem po kadencji lat 2007–2012, kiedy to partia Nur-Otan musiała radzić sobie bez jakiejkolwiek opozycji.

Nowy Kazachstan

Nowruz 2022 roku Kazachstan świętował już w zupełnie innym stylu. Po styczniowych protestach Nazarbajew musiał ustąpić ze wszystkich funkcji i faktycznie oddać władzę Tokajewowi, który świadom wyjątkowości chwili rzucił się do naskórkowych reform kraju. Na krótko przed Nowruzem, 16 marca, wygłosił przemówienie, w którym zapowiedział budowę nowego Kazachstanu. Miał to być w jego zamyśle kraj bardziej demokratyczny, ze wzmocnioną funkcją parlamentu i samorządów, a osłabioną rolą prezydenta. Tokajew zaproponował zmianę konstytucji, która następnie została zaakceptowana w referendum. Później zorganizował wybory, w których zdobył ponad 80 procent głosów w pierwszej turze, między innymi dlatego, że

eprasa.pl ea67704293

innych kandydatów znali tylko najwytrawniejsi obserwatorzy lokalnej polityki. Odświeżył także skład senatu złożonego w całości z osób nominowanych przez polityków. Na liście pozostał jeszcze wybrany za czasów Nazarbajewa parlament. Tak oto w przededniu Nowruzu 2023 roku, w niedzielę 19 marca odbyły się niezwykłe jak na Kazachstan wybory. Kandydaci spotykali się na debatach, w miastach wisiały plakaty wyborcze, a w telewizji emitowano spoty promujące różne partie.

Wolne wybory?

Patrząc pobieżnie na tę kampanię, można było odnieść wrażenie, że w Kazachstanie rozgrywa się prawdziwa walka wyborcza. Tak oczywiście nie było. Do wyborów dopuszczono siedem partii, z których tylko jedna twierdziła, że nie popiera prezydenta. Pozostałe nie zebrały wymaganej do rejestracji liczby podpisów albo nie zdążyły się zorganizować, gdyż Tokajew rozwiązał parlament i ogłosił nowe wybory zaledwie dwa miesiące wcześniej. W trakcie trwającej miesiąc kampanii wyborczej donoszono o licznych przypadkach odmowy wyemitowania spotów wyborczych czy wynajęcia przestrzeni reklamowej pod billboardy. Były także liczne problemy z rejestracją kandydatów w jednomandatowych okręgach wyborczych, w których miało zostać wybranych dwudziestu dziewięciu z dziewięćdziesięciu ośmiu członków Mażlisu i które były nadzieją na rozbetonowanie sceny politycznej. Jeszcze przed wyborami stało się jednak jasne, że pomimo wielu innowacji z zewnątrz system wyborczy wewnątrz działa tak samo jak zawsze.

Radykalna i prawdziwa demokratyzacja Kazachstanu mogłaby zachwiać sytuacją w regionie, w którym funkcjonuje tylko jedno i to w dodatku coraz mniej demokratyczne państwo.

Ostatecznie partia władzy, przemianowana z Nur-Otan na Amanat, zdobyła zaledwie 54 procent głosów na listy partyjne, ale już dwadzieścia dwa z dwudziestu dziewięciu miejsc w okręgach jednomandatowych. Ak Żoł i Partia Ludowa straciły połowę miejsc w Mażlisie, a lepsze od nich wyniki zanotowały ugrupowania Aujl i Respublica. Szóstą partią w Mażlisie została Partia Socjaldemokratyczna, która nie zadeklarowała poparcia dla prezydenta. Siódme ze startujących ugrupowań, Partia Zielonych, nie przekroczyło progu wyborczego.

Przed wyborami Kazachstan miał trzy partie w parlamencie, a po wyborach już sześć. Prezydent Tokajew nazwał te wybory kolejnym krokiem na drodze do demokratyzacji kraju i odtrąbił sukces. W praktyce jednak niewiele się zmieniło. Amanat dalej ma samodzielną większość, aczkolwiek nie ma to wielkiego znaczenia, bo proprezydenckie partie kontrolują osiemdziesiąt siedem z dziewięćdziesięciu ośmiu

eprasa.pl ea67704293

miejsc w Mażlisie. Można jednak pokazywać Zachodowi postęp demokratyczny z jednej strony, a z drugiej puszczać oko do Chin, że wszystko jest pod kontrolą. Uczciwie trzeba jednak przyznać, że radykalna i prawdziwa demokratyzacja Kazachstanu mogłaby zachwiać sytuacją w regionie, w którym funkcjonuje tylko jedno i to w dodatku coraz mniej demokratyczne państwo.

Powolny i konsekwentny

Prezydenci w Kirgistanie zmieniają się regularnie, często wbrew własnej woli. Spośród pięciorga byłych przywódców Kirgistanu trzech zostało obalonych, a dwojgu pozostałym konstytucja zabraniała ubiegania się o drugą kadencję. Sadyr Dżaparow ma sporo szczęścia, gdyż równolegle z wyborami prezydenckimi, które wygrał z imponującym wynikiem 80 procent, odbyło się referendum, w którym podobnym poparciem cieszył się pomysł zmiany ustroju państwa z parlamentarnego na prezydencki. Trudno się więc dziwić, że mając tak potężny mandat, nowy prezydent zaczął z niego w pełni korzystać. Od wyborów w styczniu 2021 roku możemy obserwować stopniową konsolidację władzy i ograniczanie swobód obywatelskich. Jest to proces powolny, ale konsekwentny.

W rankingach zestawiających demokratyczność ustroju od lat mieliśmy do czynienia z sytuacją, w której Turkmenistan, Tadżykistan i Uzbekistan znajdują się w grupie najbardziej autorytarnych krajów świata, Kazachstan jest nieco wyżej, a Kirgistan plasuje się pośrodku, w dodatku zaliczany jest do państw demokratycznych lub prawie demokratycznych. W przypadku Turkmenistanu i Tadżykistanu niewiele się zmieniło przez ostatnie lata, a Uzbekistan ostrożnie oddala się od końca listy. Kazachstan także awansuje i w zestawieniu World Democarcy Index przygotowywanym przez Economist Intelligence Unit zaczyna doganiać Kirgistan. Precyzyjniej byłoby jednak napisać, że to Kirgistan zaczyna doganiać Kazachstan, gdyż za rządów Sadyra Dżaparowa spadł z kategorii *„hybrid regime"* do po prostu *„authoritarian"*.

Jednym z powodów takiego spadku jest walka prezydenta z mediami. Dżaparow jak każdy populista uważa, że ma najlepszy kontakt z obywatelami i nie potrzebuje pośredników w postaci gazet czy radiostacji, które zadają za dużo pytań. Głośnym echem odbiła się na przykład jego próba zamknięcia lokalnej filii Radia Wolna Europa – rozgłośni Azattyk. Wszystko zaczęło się od tego, że dziennikarze uznali, że ich praca polega na patrzeniu władzy na ręce, a nie na przekazywaniu odbiorcom tego, co powiedział prezydent. Kierując się tą logiką, relacjonowali starcia na granicy kirgisko-tadżyckiej we wrześniu ubiegłego roku w sposób niewygodny dla prezydenta, między innymi publikowali własne nagrania ze starć. Zareagowało na to Ministerstwo Kultury, Informacji, Sportu i Młodzieży, które złożyło do sądu wniosek

eprasa.pl ea67704293

o odebranie Azzatyk koncesji w związku z „promowaniem wojny i przemocy". Równocześnie strona internetowa Azattyk została zablokowana w Kirgistanie, a konta bankowe organizacji zamrożone.

Podobny los spotkał Bolota Temirowa, który prowadzi popularny w Kirgistanie kanał na YouTubie – Temirov Live. Bloger uciekł przed aresztowaniem do Rosji, po czym został pozbawiony kirgiskiego obywatelstwa.

Obecnie trwają prace nad nową ustawą o mediach. W ich trakcie pojawiły się pomysły, by wprowadzić dla wszystkich osób zajmujących się komentowaniem polityki w internecie wymóg rejestracji swojej działalności jako mediów czy zakazu rejestracji swoich kanałów przez obcokrajowców i bezpaństwowców (tu echem odbija się pozbawiony obywatelstwa Bolot Temirow). Poza tym prokurator generalny miałby prawo odbierać licencję medialną.

Dżaparow zrobił sporo w celu konsolidacji swojej władzy w ciągu dwóch lat rządów. Zważywszy, że zostały mu jeszcze trzy lata do następnych wyborów, możemy się spodziewać, iż nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Jednak nawet on nie powinien zapominać, że 80-procentowym poparciem cieszył się w dniu wyborów. Poza tym doszedł do władzy na fali protestów, która zmiotła jego poprzednika Sooronbaja Dżeenbekowa i dokładnie taki sam los może spotkać również jego.

W Republice Uzbekistanu władza zmieniła się do tej pory tylko raz. Pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Uzbekistanu Islom Karimov zręcznie przesiadł się na fotel prezydenta Uzbekistanu i pozostał na nim aż do śmierci w 2016 roku. W tym czasie zmieniał konstytucję kilka razy, żeby móc czterokrotnie wygrywać odpowiednio ustawione wybory, w których zdobywał zazwyczaj ponad 90 procent głosów w pierwszej turze. Przez trzynaście lat swojego panowania premierem uczynił Szawkata Mirzijojewa, który zdołał w walce o schedę po prezydencie pokonać potężnego szefa Służby Bezpieczeństwa Państwowego Rustama Inojatowa. Mirzijojew przejął kontrolę nad, celnie nazwaną, rządzącą Liberalno-Demokratyczną Partią Uzbekistanu, która wystawiła go jako swojego kandydata w wyborach prezydenckich w 2016 roku. Od razu pojawiły się złośliwe komentarze odnośnie do tego, ile czasu Mirzijojew będzie czekać, zanim zmieni konstytucję i zlikwiduje limit dwóch kadencji lub wydłuży czas ich trwania, tak żeby i jego następcy musieli wyszarpywać władzę z zimnych rąk satrapy.

Okazało się, że trzeba było czekać do początku jego drugiej kadencji. Mirzijojew nie chciał jednak bezczelnie nowelizować tylko jednego artykułu konstytucji, żeby zapewnić sobie nieograniczone w czasie rządy. Postanowił ukryć te zmiany w wielkiej reformie konstytucyjnej, która zmienia większość jej zapisów. Dokładnie w tym miejscu sprawy wymknęły się mu spod kontroli, gdyż postanowił zmienić także autonomiczny status Karakałpacji. Formalnie Republika Karakałpacji posiada auto-

eprasa.pl ea67704293

nomię i prawo do secesji, które w nowej konstytucji miało zostać jej odebrane. To spowodowało w lipcu 2022 roku wybuch niezadowolenia, który został następnie brutalnie stłumiony. Prezydent zapowiedział śledztwa zarówno wobec policjantów, jak i protestujących. Na początku kwietnia 2023 roku sprawy dalej się toczą, ale wygląda na to, że śledczy znacznie więcej uwagi poświęcają manifestantom niż pacyfikującym protesty. Niemniej jednak reforma konstytucyjna musiała zostać wstrzymana w celu uspokojenia nastrojów.

Ustawa podstawowa

Mirzijojew oczywiście wrócił do reformy konstytucyjnej, tym razem bez modyfikowania statusu autonomii karakałpackiej. Referendum w sprawie przyjęcia reformy konstytucyjnej zaplanowano na 30 kwietnia 2023 roku. Nie wiadomo, ilu Uzbeków realnie popiera tę reformę, ale nie należy zakładać, żeby wyniki zaprezentowane przez komisję wyborczą pokazywały mniej niż 80 procent głosów „za".

Reforma obejmuje około dwóch trzecich objętości ustawy zasadniczej. Prezydent chwalił się, że o ile do tej pory paradygmat działania państwa układał się w ciąg państwo – społeczeństwo – jednostka, o tyle dzięki reformie zostanie on odwrócony i przyjmie postać: jednostka – społeczeństwo – państwo. Po reformie Uzbekistan ma być krajem, w którym najważniejsze są kwestie socjalne i dobrostan obywateli. Złośliwe języki już wytykają, oczywiście z dala od możliwości działania Służby Bezpieczeństwa Państwowego, że jednostką tą jest prezydent Mirzijojew. Jest tak, ponieważ na pytanie „czy życzy pan sobie wydłużenia kadencji, czy zniesienia ich limitu?", Mirzijojew odpowiedział „tak". Zgodnie z nowym projektem kadencja prezydenta ma zostać wydłużona z pięciu do siedmiu lat, a sam limit ma być nie tyle zniesiony, ile wyzerowany wraz z nową konstytucją. Oznacza to, że w wyborach 2026 roku Mirzijojew wystartuje niejako po raz pierwszy i będzie mógł wraz z reelekcją w roku 2033 urzędować aż do 2040 roku. Na razie nie jest jasne, czy osiemdziesięciotrzyletni wtedy Mirzijojew będzie znów zmieniać konstytucję, czy jednak namaści następcę.

Kto następny?

Wszystko wskazuje na to, że z namaszczaniem następcy pospieszył się lubiący zdobywać 97 procent w pierwszej turze protektor Turkmenów Gurbanguły Berdymuchamedow. Uczciwie należy przyznać, że Berdymuchamedow jest i tak większym demokratą od swojego poprzednika Saparmurata Nijazowa, który co prawda do wyborów stanął dwa razy, ale w obu przypadkach bez konkurenta. Po tym jak w 1992

eprasa.pl ea67704293

roku przeciw niemu zagłosowało 0,5 procent wyborców uznał, że lepiej nie ryzykować. Zamiast organizować kolejne wybory bez konkurentów przeprowadził w 1994 roku referendum, w którym pytano o zgodę na przedłużenie jego kadencji o kolejnych sześć lat. Tym razem poparcie wyniosło już 99,99 procent, podczas gdy głosów przeciwnych zliczono dwieście dwanaście z niecałych dwóch milionów. W 1999 roku parlament pod jego przywództwem ogłosił go dożywotnim prezydentem, oszczędzając wszystkim wysiłku głosowania. Po jego śmierci konkurentów wymanewrował jego osobisty dentysta i minister zdrowia Gurbanguły Berdymuchamedow, który początkowo nie miał problemu z dwoma pięcioletnimi kadencjami, a nawet stawał do wyborów, w których byli inni kandydaci.

Mirzijojew nie chciał bezczelnie nowelizować tylko jednego artykułu konstytucji, żeby zapewnić sobie nieograniczone w czasie rządy. Postanowił ukryć te zmiany w wielkiej reformie konstytucyjnej, która zmienia większość jej zapisów.

W 2016 roku Berdymuchamedow zmienił konstytucję w dobrze znany w regionie sposób: wydłużył kadencję, zniósł ich limit i wystartował po raz trzeci. Niespodzianką jednak było to, że ustąpił po upływie pięciu z siedmiu lat swojej trzeciej kadencji. Mało zaskakujący okazał się nominat rządzącej Demokratycznej Partii Turkmenistanu. Był nim „syn narodu" Serdar Berdymuchamedow, który kilka miesięcy wcześniej pokonał ostatnią konstytucyjną przeszkodę w zostaniu prezydentem, czyli ukończył czterdzieści lat. Serdar, którego ojciec wysłał na kilka uniwersytetów, a potem przesuwał ze stanowiska na stanowisko, żeby syn zaznajomił się z pracą w administracji, uzyskał wynik 73 procent głosów w pierwszej turze. Wybrano dla niego taki wynik, żeby nikt nie miał wątpliwości, że nie jest on aż tak popularny jak ojciec, ale żeby było jasne, kto ma pozostać przy władzy na wypadek ewentualnej śmierci sześćdziesięciopięcioletniego Gurbangułego. Sam ojciec, noszący tytuł „arkadag", co znaczy protektor, wybrał dla siebie nową przyszłość.

Przez aklamację

Jeszcze w trakcie swojej prezydentury Berdymuchamedow senior powołał do życia izbę wyższą parlamentu, a następnie dał się do niej wybrać jako reprezentant okalającej stolicę prowincji Ahal. Później został wybrany przewodniczącym izby. Oba wybory dokonały się oczywiście przez aklamację. Nowy przewodniczący ogłosił przed izbą, że ustępuje z urzędu prezydenta i zadowoli się jedynie stanowiskiem przewodniczącego izby, która równolegle otrzymała szerokie uprawnienia. Publicznie jednak to Serdar spotykał się z głowami innych państw i otwierał szpita-

eprasa.pl ea67704293

le czy szkoły. Gurbanguły natomiast doglądał budowy nowej stolicy prowincji Ahal nazwanej na jego cześć Arkadag. Czasami także otwierał po raz drugi szpital lub szkołę, niejako poprawiając po synu, czy też spotykał się z głowami państw, które uprzednio odbyły obowiązkowe spotkanie z formalnym prezydentem.

W styczniu 2023 roku, po zaledwie dwunastu miesiącach, Gurbanguły zmienił zdanie i pozwolił ogłosić się przez izbę wyższą parlamentu Liderem Narodu Turkmeńskiego, a następnie przeprowadził głosowania zmierzające do odebrania uprawnień prezydentowi i przekazania ich izbie, a więc w efekcie – sobie. Dodatkowo jako przewodniczący izby wyższej może on przejąć obowiązki prezydenta, w razie gdy ten zrezygnuje, umrze lub zachoruje (ciekawostką jest fakt, że przez rok Gurbanguły pełnił obie funkcje). W rezultacie Serdar jest póki co prezydentem, choć nie ma żadnej władzy, a Gurbanguły – mimo że pożegnał się z prezydenturą – *de facto* kontroluje sytuację. Wszystko wskazuje na to, że na sprawowanie realnej władzy Serdar będzie musiał jeszcze poczekać.

Siedemdziesiąt lat, czyli średni wiek

Nieco innymi torami przebiega sukcesja w Tadżykistanie. Emomali Rahmon, ostatni z pierwszego pokolenia centralnoazjatyckich przywódców, który ostał się przy władzy, nigdzie się nie wybiera, ale dmucha na zimne. Rahmon ma siedemdziesiąt lat, co czyni go średniakiem w regionie, ale już od kilku lat aktywnie promuje syna Rustama na swojego następcę. Emomali Rahmon formalnie objął władzę w 1992 roku jako kompromisowy kandydat na przewodniczącego parlamentu, a w 1994 roku jako prezydent kraju. Początki jego urzędowania to brutalna, trwająca pięć lat wojna domowa, w której establishment skupiony wokół najważniejszych działaczy Partii Komunistycznej walczył z szerokim frontem opozycji skupionej wokół Islamskiej Partii Odrodzenia. Wojna ta zakończyła się porozumieniem, na mocy którego Rahmon zgodził się podzielić władzą tylko po to, żeby przez kolejne lata podważać wszystkie ustalenia – aż do 2015 roku, kiedy zdelegalizował Islamską Partię Odrodzenia.

Pozbywszy się całkowicie opozycji, Rahmon skupił się na przygotowywaniu następcy. Równolegle obsadził najważniejsze stanowiska w państwie swoimi dziećmi, zięciami oraz dalszą rodziną. Szczególnymi względami obdarzył jednak Rustama, który swoją przygodę na stanowiskach w najwyższych urzędach rozpoczął w wieku dziewiętnastu lat jako specjalista do spraw współpracy ze Światową Organizacją Handlu. Jako dwudziestotrzylatek zasiadał już w komitecie centralnym rządzącej Demokratycznej Partii Tadżykistanu. Później ojciec przesunął go na front bezpieczeństwa i uczynił majorem Służby Granicznej. W wieku dwudziestu sześciu lat został generałem i dowódcą pograniczników. Dwa lata później, w 2015 roku, zajął stano-

eprasa.pl ea67704293

wisko szefa Państwowej Agencji Kontroli Finansowej i miał za zadanie zwalczać korupcję w kraju. Jeszcze przed trzydziestymi urodzinami Rustam został prezydentem Duszanbe. W 2020 roku został przewodniczącym izby wyższej parlamentu, a więc zgodnie z 71. artykułem konstytucji, do czasu wyborów ma przejąć obowiązki ojca. Trudno sobie wyobrazić, żeby w tej sytuacji w nich nie wystartował.

Emomali Rahmon wytoczył synowi drogę do przejęcia władzy, ale póki co nie jest gotów mu jej przekazać. Tym się zasadniczo różni od Berdymuchamedowa, który po umieszczeniu syna na prezydenckim fotelu zrobił krok wstecz i pozbawił go wszystkiego poza tytułem. Niemniej jednak niewiele wskazuje na to, żeby którykolwiek z nich nie przejął pełni władzy w ciągu kilkunastu lat. Kasym-Żomart Tokajew dobrowolnie ograniczył swoje urzędowanie do 2029 roku i jest możliwe, że na tym poprzestanie. Nie zanosi się na to, żeby Szawkat Mirzijojew planował kończyć przygodę z prezydenturą przed 2040 rokiem. Sadyr Dżaparow jest ograniczony do dwóch pięcioletnich kadencji, czyli do 2031 roku. W jego przypadku pytanie brzmi, czy zostanie obalony jak większość poprzedników, czy też wzorem sąsiadów poprawi konstytucję.

Nie należy się spodziewać, żeby następny Nowruz przyniósł nowe otwarcie. Podobnie jak ten, który przyjdzie po nim.

Miłosz Szymański z wykształcenia jest prawnikiem i inżynierem, z zawodu mechanikiem okrętowym i reporterem. Obecnie tworzy podcast „Za Rubieżą. Historia i Polityka".

eprasa.pl ea67704293

REKLAMA

Nowa Europa Wschodnia

Redakcja

"Daleka droga do domu". Fragment książki

Wolność to największa wartość, dar, który otrzymała każda istota żywa, przychodząc na świat. Wszystko, co żyje, cieszy się wolnością, na ile to możliwe w złożonym, skomplikowanym świecie natury. Człowiek jest wyjątkiem. Dar wolności, fizycznej i moralnej, to dla niego za mało. Aby w całej pełni poznać i odczuć konieczność wolności, człowiek musi przejść przez pełen pułapek labirynt życia albo pozostać w którymś z jego ślepych zaułków. A w nim – przywyknąć, zmarnieć, stracić wrodzony instynkt wolności, adaptować się do sytuacji w elementarnym celu biologicznego przetrwania. Wtopić się w tłum, społeczeństwo, elektorat, stać się takim jak wszyscy.



eprasa.pl ea67704293

Tusowka pod melodie Leningradu
Obrazek wojenny

Stasia Budzisz

Kiedy telefon informuje, że na Charków lecą rakiety, w restauracji słyszymy: – Lepiej się napij. Rakieta z Biełgorodu leci trzydzieści sekund, nie zdążysz nawet pobiec do schronu. Jak przyleci, to przyleci. Nie można ciągle myśleć o śmierci: musisz iść do pracy, musisz coś zjeść, musisz zrobić pranie. Wojna to też jest życie.

Restauracja jest pustawa. Na piętnaście stolików goście siedzą tylko przy dwóch. W jednym rogu dwie pary, w drugim my i dwie nasze znajome – Jana i Alisa. Choć tak naprawdę się nie znamy. Jednej z nich mieliśmy przekazać przesyłkę z Polski i chwilę pogadać. Wzięła koleżankę, żeby było raźniej. Siadamy. Tak tylko na chwilę. Jutro mamy ciężki dzień, one nie czują się pewnie w towarzystwie dziennikarki. Kategorycznie nie chcą rozmawiać o pracy. Jana jest ratowniczką medyczną, Alisa prawniczką. Proponują kolację, ale bez poruszania kontrowersyjnych tematów.

– Trzeba teraz uważać na słowa jeszcze bardziej niż zwykle – mówi Alisa. Poza tym chcą odpocząć, sprawdzić, czy istnieje jeszcze jakiś świat poza wojną. Chcą się rozerwać.

Osiemnasta

Robimy więc „stół", jak na gruzińską restaurację przystało. Na bogato, po kaukasku. Wjeżdżają: szaszłyk, chaczapuri, chleb, pieczone warzywa, sałatka olivier, ogórek kiszony, śledzik i butelka koniaku.

– Za znakomstwo! – wznosimy pierwszy toast.

Szybko okazuje się, że od wojny nie da się za daleko uciec. Okno za Janą i Alisą całe poklejone jest taśmą samoprzylepną, żeby w razie wybuchu nie rozpadło się na drobne kawałki i nikogo nie pokaleczyło. A za nim jest ciemno. Czarno właściwie. Od 24 lutego 2022 roku Charków żył w ciemnościach. Światło włączono niedawno.

eprasa.pl ea67704293

– Nawet do życia jak szczur w ciemnej piwnicy da się przywyknąć, choć potwornie to męczy – mówi Jana. – Nie wiem, po co to robią. Ani drony, ani rakiety nie potrzebują przecież światła, żeby trafić do celu. No ale skoro one go nie potrzebują, to władze stwierdziły, że my też nie. Jak kiedyś światło wróci na ulice, to znów się trzeba będzie przyzwyczajać.

Jana jeszcze rok temu mieszkała na Saltiwce, ale 24 lutego wracała do domu po nocnym dyżurze. Zawróciła i nie wychodziła z pracy przez miesiąc.

Czasem się zastanawiam, o co my jeszcze walczymy. Z kraju zrobili poligon. Nam mówią, że naszych ginie mniej niż Ruskich, ale przecież nikt w to nie wierzy.

– Wszędzie chaos i panika, a jak wojna, to ratownicy medyczni muszą być zwarci i gotowi, bo każda para rąk się liczy. Roboty było po uszy. Wezwań jeszcze więcej. Diabelnie to było niebezpieczne, nadal jest. Siedzisz w tej karetce całą dobę. W zasadzie ciągle pod ostrzałem. Na początku, jak mocno walili w Charków, to ludzie siedzieli w schronach. Nam też niby było wolno zejść do metra, ale nie mogliśmy zostawić karetki. Kierowca odpowiada za nią własnymi pieniędzmi, a przecież jesteśmy drużyną. Nie mogliśmy go zostawić samego.

– Miało nie być o wojnie. Lepiej wypijmy – mówi Alisa.

– Za peremohu!

Dziewiętnasta

Sala zaczyna się zapełniać. Ludzie zajmują stoliki trochę niemrawo, jakoś niepewnie. Zamawiają drinki, coś do jedzenia. W większości przyszły kobiety. Siedzą po trzy, czasem cztery, bez chłopaków, mężów, kolegów. Przyszły pogadać, trochę się oderwać.

– Mężczyźni starają się nie rzucać w oczy, żeby nie dostać wezwania do armii – tłumaczy Alisa. – Teraz to proste. Organizowane są nawet łapanki pod centrami handlowymi czy w restauracjach. Nie daj Boże pojawisz się na ulicy w czasie godziny policyjnej albo pod wpływem alkoholu, to wtedy masz murowane zaproszenie na front. Mężczyźni się boją i nie ma się co dziwić. Nie każdy przecież chce walczyć, ale czasy niespokojne. – Alisa mówi, że kto może, miga się od służby. Sposoby są różne. – Możesz zapłacić średnio cztery czy pięć tysięcy dolarów i już masz papier, że jesteś *wyjezdnoj*, czyli masz prawo opuścić Ukrainę. Możesz załatwić zaświadczenie, że opiekujesz się starszym członkiem rodziny – najlepiej, żeby był z niepełnosprawnością – a w ostateczności jesteś w armii, ale siedzisz w domu. Proste: całą wypłatę, czyli jakieś 10–11 tysięcy hrywien, oddajesz swojemu komendantowi. I on jest twoją kryszą. Nie oceniam tych chłopaków. Oni nie powinni tam ginąć.

eprasa.pl ea67704293

– Za sołdat!

Obsługa włącza głośną muzykę. Zaraz zacznie się karaoke. Jana zaczyna wystukiwać rytm nogą i rozgląda się za mikrofonem.

– Tak dawno nie byłam w restauracji – mówi. – Kompania się rozjechała i nie ma za bardzo z kim. Ktoś się urządził w zachodniej Ukrainie, ktoś w Polsce, ktoś w Czechach. Zresztą nastroju do zabawy za bardzo też nie ma, ale przecież czasem trzeba się wyrwać, udawać, że nie ma tego wszystkiego dookoła. Chociaż na kilka godzin poczuć, że jest jakoś normalnie. Nikt nie zapomniał, że jest wojna, ale ta sytuacja jest bez wyjścia. Jeśli czasem nie wyjdziesz i się nie rozerwiesz, to masz wrażenie, że za chwilę oszalejesz.

Z głośników leci ruska popsa. Jana wyciąga nas na parkiet, ale nie jesteśmy na tyle odważni, poza tym w głowach mamy, że wojna to nie czas na imprezę, że nie wypada. Z jednej strony czujemy się źle za pełnym stołem i z szumiącym już w głowie koniakiem, ale z drugiej – jest nam dobrze. Jakbyśmy na chwilę weszli do jakiejś równoległej rzeczywistości. Jakby tego wszystkiego za oknem nie było.

Jana bierze mikrofon, wychodzi na parkiet i zaczyna śpiewać po rosyjsku hit Nadii Dorofejewej:

Pust' gorit moja dusza
Choczu, cztob do utra
A, możet, daże dolsze
A, możet, nawsiegda.

Wraca i pijemy za nas!

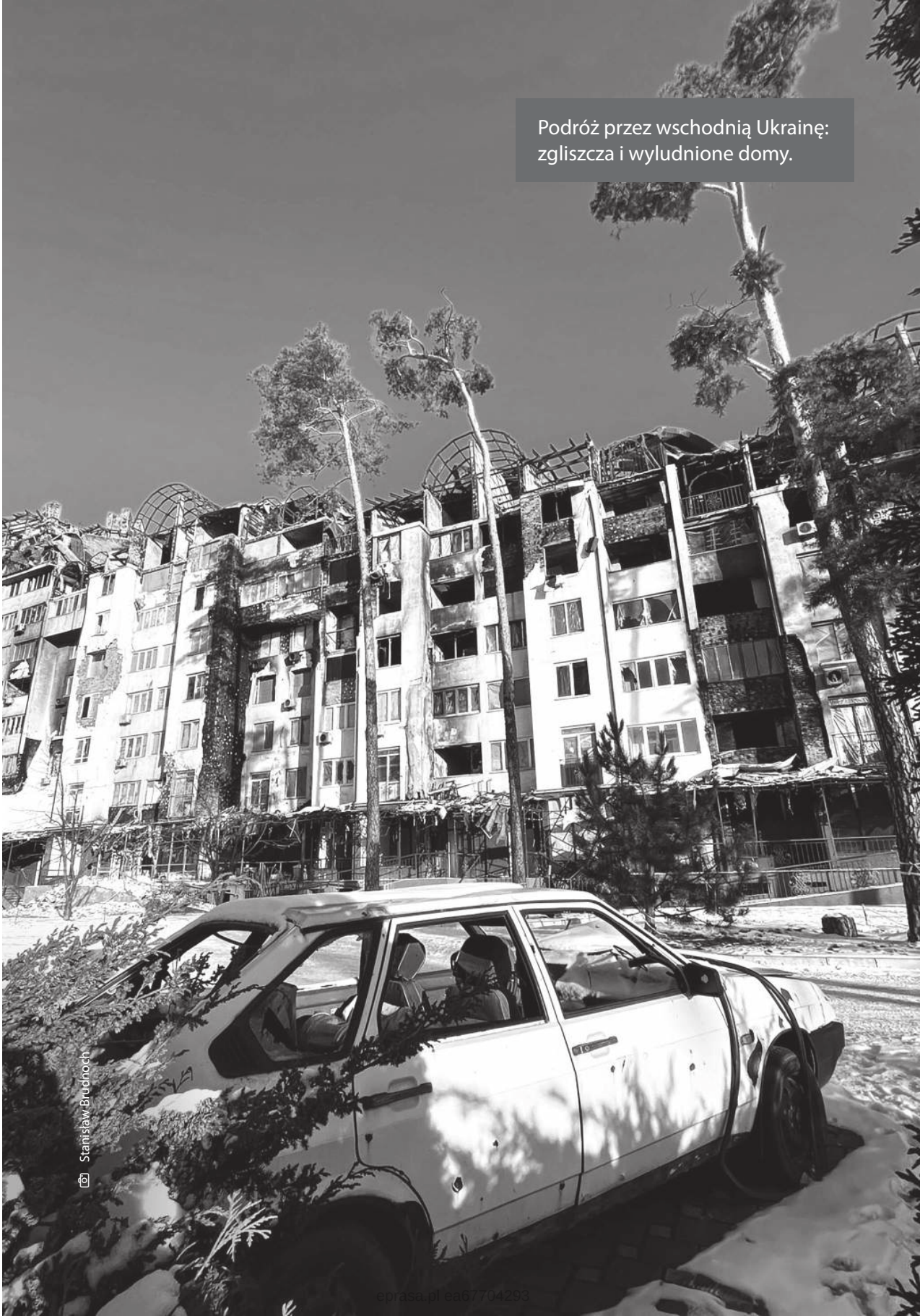
Dwudziesta

Muzyka dudni w uszach. Żeby pogadać, musimy się przekrzykiwać albo wyjść na fajkę.

– Czasem się zastanawiam, o co my jeszcze walczymy – mówi Alisa. – Z kraju zrobili poligon. Nam mówią, że naszych ginie mniej niż Ruskich, ale przecież nikt w to nie wierzy. Po prostu ludzie milczą, bo co mają zrobić. Nasi jak muchy padają na froncie albo przepadają bez wieści. Chłopaki nie mają czym walczyć. Ile razy słyszę, że jest jeden automat na dwóch, albo że nie starcza jedzenia, a te *miestne chuje* wożą się samochodami, za które możesz sobie w Niemczech dom kupić. Jak tu się wszystko zaczęło, to żołnierze, którzy bronili Charkowa, naprawdę nie mieli czym walczyć. Ale to temat tabu.

Otwieramy drugą butelkę koniaku.

eprasa.pl ea67704293



Podróż przez wschodnią Ukrainę: zgliszcza i wyludnione domy.

Stanisław Brudnoch

eprasa.pl ea67704293



Puste place zabaw przypominają, że jeszcze niedawno toczyło się tu zwykłe życie.

Stanisław Brudnoch

epraca.pl ea67704293

– Dawajcie, za mir!

Jana wyciąga mnie na parkiet. Śpiewamy razem piosenkę rosyjskiego zespołu Viagra:

A ja prostiła ja prostiła jego
Opiat', opiat', opiat'.
O, kak namajałas' ja s toboj,
Moja popytka nomier piat'.

– Sowieckiej mentalności nie zmienisz rakietami i szahidami – mówi Alisa. – Każdy już przywykł, każdy się ułożył. Kradną wszyscy i w tym „wszyscy" nie ma przesady. Tutaj zawsze tak było, a w czasie wojny można nakraść jeszcze więcej. Bo wszystko możesz na jej rachunek zapisać. Każdy ma jakieś morale, ale czy moje jest takie jak twoje? Nie. Robię tyle, na ile mogę sobie pozwolić. Wojna nic nie zmieniła, wszystko jest pod kontrolą. Bez obaw.

– Polska dla nas zrobiła bardzo wiele. Nikt tego się nie spodziewał – mówi Jana. – Łzy mam w oczach, kiedy o tym pomyślę.

– Za Polszu!

– Za Ukrainu!

Dwudziesta pierwsza

Sala rozbrzmiewa dziwnie znanymi nutami. To *Łabutieny* Leningradu, grupy muzycznej, która po 24 lutego stanęła po stronie Kremla. Jesteśmy zaskoczeni. Pytamy, czy w Ukrainie nadal gra się utwory proputinowskich zespołów.

Jana już nie słucha. Pędzi na parkiet i zaczyna tańczyć. Alisa mówi, że nie słyszała, by Leningrad opowiedział się politycznie. Bardzo go lubi i nie rozumie, dlaczego miałoby się go nie śpiewać w restauracji.

Jana przejmuje mikrofon i śpiewa:

Wodił mienia Sierioga
na wystawku Van Gogha.
Tam było tiołok mnogo,
i nierwy, kak kanat.
No ja nie niedotroga,
dała poniat' s poroga:
Na wystawkie Van Gogha,
ja – gławnyj eksponat!
Na łabutienach nach…

eprasa.pl ea67704293

i w ochuitielnych sztanach.
Na łabutienach nach…
i w ochuitielnych sztanach.

– Dawajtie za lubow'! – Alisa przekrzykuje się z głośną muzyką, ale wznosi toast.

– Karaoke śpiewamy głównie po rosyjsku, jakoś po ukraińsku nie ma zbyt wielu utworów i nie są popularne – mówi Jana. – Wy sobie pewnie teraz myślicie: co tu jest grane? Wojujemy z Rosją, a na tusowkach śpiewamy ich piosenki. My tak do tego nie podchodzimy. Tu w Charkowie każdy Ukrainiec zna ukraiński, ale większość i tak rozmawia po rosyjsku. Teraz się tak stało, że jak gadasz z kimś nowym, to zaczynasz po ukraińsku, ale jak się już zidentyfikujesz, to przechodzisz na rosyjski. Na pogotowiu przecież ciągle mam do czynienia z babciami po osiemdziesiąt lat, jak one niby mają mówić po ukraińsku, jak całe życie po rosyjsku gadały? One go nawet nie rozumieją. Zresztą, nie w języku rzecz.

Sowieckiej mentalności nie zmienisz rakietami i szahidami. Kradną wszyscy i w tym „wszyscy" nie ma przesady. Tutaj zawsze tak było, a w czasie wojny można nakraść jeszcze więcej.

– Dawajtie za drużbu!

Dwudziesta druga

Zamawiamy trzecią butelkę.

Na środek wychodzą dwie dziewczyny i śpiewają *Czerwoną kalinę*. Robi się smutno. Patrzę na ludzi: słuchają w skupieniu, nie gadają, nie przeszkadzają, ktoś ukradkiem wyciera łzy.

To jedyna piosenka po ukraińsku tego wieczoru, którą ktoś zdecydował się zaśpiewać.

Kiedy dziewczyny dochodzą do słów:

Marszyrujut' naszi dobrowolci u krywawyj tan
Wyzwolaty bratiw-ukrajinciw z worożych kajdan.
A my naszych bratiw-ukrajinciw wyzwołymo,
A my naszu sławnu Ukrajinu, hej, hej, rozweselymo!

w naszych telefonach zaczyna wyć alarm przeciwlotniczy. Sprawdzamy na Telegramie: na Charków wyleciały rakiety z Biełgorodu.

eprasa.pl ea67704293

– Już i tak nic nie zdążysz zrobić – mówi Jana. – Lepiej się napij. Rakieta z Biełgorodu leci trzydzieści sekund, nie zdążysz nawet pobiec do schronu. Jak przyleci, to przyleci. Nie masz na to wpływu. Nie można ciągle myśleć o śmierci: musisz iść do pracy, musisz coś zjeść, musisz zrobić pranie. Wojna to też jest życie. Na alarm już się nawet nie podnoszę, po prostu przewracam się na drugi bok i śpię dalej. Nie mam żadnych szans z rakietą.

W restauracji alarm też nie robi na nikim wrażenia. Nikt nie ucieka. Nie chowa się, nie wychodzi. W środku nie słychać nawet wycia syreny, *Czerwona kalina* skutecznie tłumi jej dźwięk. Już któryś raz go zmienili, bo ludzie przywykli i przestali zwracać uwagę na odgłos alarmu.

Dziewczyny śpiewają:

Oj, u łuzi czerwona kałyna pochyłyłasia,
Czohoś nasza sławna Ukrajina zażuryłasia.
A my tuju czerwonu kałynu pidijmemo,
A my naszu sławnu Ukrajinu, hej, hej, rozweselymo!

Kiedy kończą, sięgamy po kieliszki, żeby wypić ostatni toast. Za chwilę zaczyna się godzina policyjna. Już czas.

– Za to, cztob Rossija zdochła! – mówi Jana.

– Da, pust' dochniet.

Tekst powstał we współpracy ze Stanisławem Brudnochem

Stasia Budzisz jest reporterką; autorka książki *Pokazucha. Na gruzińskich zasadach*. Zajmuje się zagadnieniami związanymi z Kaukazem i Europą Środkowo-Wschodnią.

eprasa.pl ea67704293

Bodajbo

Miłosz Szymański

Najpierw zabrali ojca. Weszli do domu, obudzili wszystkich. Kazali mu się ubrać i natychmiast wyjść. Mieli zimny wyraz twarzy, dużo krzyczeli.

Gheorghe nie rozumiał ani słowa. Matka płakała, siostry też. Oznajmili, że ojciec jest wrogiem klasowym i wyrokiem sądu ludowego został skazany na dwadzieścia pięć lat katorgi. Nie pamięta nawet, czy i jak się pożegnali. Gheorghe miał wtedy pięć lat.

Potem przyszli po ich zboże. Nastał głód. Przeżyli dzięki krowie, ale skoro mieli krowę, to znaczyło, że są kułakami.

Noc była upalna. Obudził ich warkot i światła ciężarówek. Do domu wszedł przewodniczący rady wiejskiej w towarzystwie żołnierzy. Powiedział, że są wrogami ludu pracującego miast i wsi. Oznajmił, że mają cztery godziny, żeby się spakować do wyjazdu. Nie mogą wziąć jedzenia. Gheorghe miał wtedy dziesięć lat.

Matka dopilnowała, żeby spakowali ciepłe ubrania, dokumenty i zdjęcia. Gheorghe zastanawiał się, po co mu zimowe palto, przecież był lipiec. Matka powiedziała tylko, żeby robił to, co mu każe. Zawołała najstarszą córkę i kazała jej zabrać ze strychu worek kukurydzy. Owinęła go w ubrania i nie wypuszczała z rąk. Wsiedli na ciężarówkę. Matka usiadła na worku. Wschodzące słońce oświetlało ich pole. Szykowali się już do żniw. Plony zebrał za nich kołchoz. Do kołchozu trafił też inwentarz, z którego zostali rozkułaczeni: koń, krowa i pięć owiec. Kułakiem był każdy, kto miał dwie krowy, dwa konie albo za dużo ziemi i najmował parobków do pomocy.

***

Jechali krótko, raptem godzinę. To nie był jednak koniec. Stanęli na stacji kolejowej w Bielcach. Na bocznicy czekał już długi pociąg towarowy. Lokomotywy buchały dymem z kominów, a wiatr rozwiewał go nad bydlęcymi wagonami z grubych desek. Zagnali ich do środka. Wtedy matka kazała dzieciom zająć wolny narożnik. Ludzie byli zdezorientowani, rozglądali się po wagonie. Matka umościła się na worku z kukurydzą, a dzieci obsiadły ją dookoła.

Kiedy wagon był już pełny, przez otwarte drzwi wleciało wiadro. Za nim pojawił się żołnierz, który z szyderczym uśmiechem powiedział: „Zdies' budjetje srat'", po czym zatrzasnął wrota wagonu.

eprasa.pl ea67704293

Pociąg często się zatrzymywał. Robiło się wtedy bardzo duszno. Przyzwyczaili się jednak do gorąca, smrodu i półmroku, jaki panował w środku. Raz dziennie drzwi rozsuwały się nieco w porze karmienia. Dostawali wiadro z gotowaną kaszą i drugie z wodą na pięćdziesiąt osób. Każdemu po garści kaszy, po łyku wody. Drzwi się zasuwały. Półmrok. Pociąg ruszał. Wlókł się do kolejnej stacji. Stawał, przepuszczał wszystkie inne składy i znów ruszał.

***

Gheorghe nauczył się pierwszego zdania po rosyjsku. Brzmiało ono „wujaszku, wypuść mnie na dwór". Żaden z żołnierzy nie uległ. W ogóle zdawali się ich nie słyszeć ani nie widzieć. Zareagowali dopiero, kiedy jeden staruszek zmarł. Było okropnie gorąco, bali się chorób. Pociąg przejechał tak jeszcze noc i poranek, aż do południa. Wtedy do wagonu weszło czterech żołnierzy, a dwóch zostało pod drzwiami z bronią. Zabrali dziadka i wyrzucili na nasyp. Trup toczył się chwilę i zatrzymał w rowie. Zamknęli drzwi, pociąg ruszył.

Gheorghe wdrapywał się czasem do okienka. Podciągał się i patrzył na świat poza wagonem. Najczęściej widział lasy porastające bezkresną równinę. Szybko jednak zaczęło brakować mu sił, żeby się podciągnąć.

Potem przyszli po ich zboże. Nastał głód. Przeżyli dzięki krowie, ale skoro mieli krowę, to znaczyło, że są kułakami.

Przez cały czas byli głodni. Kiedy Gheorghe nie mógł już wytrzymać, dawał znak matce, a ta ukradkiem sięgała do worka. Garsteczkę ziaren kukurydzy wkładał do ust i długo czekał, aż rozmiękną. Potem żuł je ostrożnie, żeby nie połamać zębów. Dzięki temu workowi ich rodzina nie schudła tak bardzo jak inni.

Jechali dwa i pół miesiąca. Wreszcie pociąg stanął. Drzwi się otworzyły i zobaczyli drogę wiodącą do rzeki. Po obu jej stronach stał szpaler żołnierzy. Obelgami wygonili ich z wagonu i zagnali na barkę. Dopiero na jej pokładzie powiedzieli im, że rzeka nazywa się Lena, tak samo jak stacja kolejowa.

***

Z Mołdawii wyjeżdżali w środku upalnego lata. Gdy wyszli z pociągu, zastali pierwsze przymrozki. Matka miała rację, kiedy kazała im zabrać najcieplejsze ubrania, a dopiero potem martwić się o resztę.

Marynarze zamocowali hol i rzucili cumy. Holownik wypuścił na pasażerów barki kłęby dymu z sadzy, a później oderwał się od nabrzeża. Ruszyli w dół z nurtem. Cały

eprasa.pl ea67704293

czas padało. Rzeka zasilona deszczem płynęła wartko, mimo że miała 200 metrów szerokości. Barka była przeładowana, a jej burty ledwie wystawały z wody.

Deszcz nie przestawał padać. Wiatr podnosił fale na rzece. Od czasu do czasu któraś przelewała się przez pokład. Barka nie miała dachu, siedzieli więc w strugach deszczu.

Z obu burt widzieli tylko rwącą rzekę i las po horyzont. Jedna z kobiet cały czas płakała. Łkając, przytulała dorosłą córkę. W pewnym momencie pocałowała ją mocno, otarła łzy i wyskoczyła za burtę. Ktoś krzyczał, ktoś inny chciał coś jej rzucić. Marynarze podnieśli alarm, bali się, żeby barka nie przechyliła się za mocno. Nurt niósł ich szybko. Kobieta niknęła w oczach. Nie walczyła, po prostu zniknęła pod wodą.

***

Po kilku dniach skręcili w prawy dopływ Leny, rzekę Witim. Zwolnili, bo płynęli pod prąd. Holownik wyraźnie się męczył, a krajobraz przesuwał się wolniej. Tylko deszcz lał tak samo. Było przeraźliwie zimno.

Mijali czasem jakieś osady. Wszystkie były niewidoczne, schowane za wysokim brzegiem. Widzieli tylko dym, łodzie i keje. Wreszcie zatrzymali się przy bardziej okazałym nabrzeżu. Dopłynęli do miasta Bodajbo, stolicy rejonu Bodajbo, który był wielki i pusty. Przechodziły przez niego tylko dwie drogi. Jedną była rzeka Witim, a drugą rzeka Bodajbo. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że rejon Bodajbo jest trzy razy większy od Mołdawii, ale zamieszkuje go tylko 20 tysięcy ludzi. Większość z nich wbrew własnej woli.

Gheorghe leżał na podłodze i był szczęśliwy. Po raz pierwszy od trzech miesięcy mógł wygodnie się rozłożyć, rozprostować nogi. Nie padał na niego deszcz i było cicho. Po kilku dniach dostali nawet prycze.

Kazali im wyjść na brzeg i czekać na kolejną barkę, która miała zabrać ich do miejsca przeznaczenia. Z ulgą stanęli na stałym lądzie. Przestało padać. Wyszło nawet słońce. Matka wysłała ich po drewno na opał. Kiedy wrócili, zastali ją nad kuchenką zrobioną z dwóch kamieni i kawałka pordzewiałej blachy. Rozpaliła ogień i kładła na blasze ostatnie ziarenka kukurydzy z worka. Ziarna leżały długo, aż nagle – pyk! – strzeliło pierwsze. Pyk, pyk, pyk – strzelały następne. Gonili białe wiórki, wyglądające jak kwiaty stokrotki. Jedli i śmiali się z każdego strzału. Prawdziwe strzały słyszeli pięć lat temu, ale dziś nie chcieli tego pamiętać. Myśleli o pełnym brzuchu i o tym, że wszystkim udało się przeżyć ostatnie trzy miesiące.

eprasa.pl ea67704293

Kiedy tak jedli i suszyli się przy ognisku, zaczęły podchodzić do nich inne dzieci. Patrzyły wielkimi oczami, jak małe żółte ziarenka zamieniają się w duże białe wiórki. Zrobili im miejsce przy ogniu i nakarmili. Razem zjedli wszystko, co zostało w worku.

***

Wsiedli na drugi prom. Dalej pilnowali ich jacyś żołnierze, ale już nie było ich tak wielu i nie traktowali rozkazów tak poważnie. Wiedzieli, że stąd nie ma ucieczki. Najbliższe miasto i linia kolejowa były kilkaset kilometrów w linii prostej przez gęsty las. Stąd nikt nie uciekał, bo nie było nic gorszego od samotności w tajdze.

Płynęli w górę rzeki jeszcze przez kilka dni. Zatrzymali się przy maleńkim nabrzeżu osady Amałyk. Zeszli na ląd, wdrapali się na skarpę i zobaczyli wycięty kwartał lasu. Na jego środku stały baraki zbudowane z ociosanych bali. W barakach mieszkali mężczyźni. Jeńcy wojenni: Niemcy, Słowacy, Finowie, Rumuni, Włosi, Węgrzy, ale też Uzbecy, Kazachowie, Ukraińcy i inni ludzie radzieccy. Ci ostatni też byli jeńcami. Stalin wysłał na Syberię jeńców z wrogich armii, ale też swoich, którzy trafili do niemieckiej niewoli. Kiedy zostali uwolnieni i wracali, byli karani za to, że nie walczyli do końca i dali się pojmać. Trafiali na Syberię lub do karnych batalionów wykonujących najniebezpieczniejsze misje.

Jeńców wygnali z baraków i kazali im zbudować nowe kilometr dalej. Kobiety z dziećmi zakwaterowali na ich miejsce. Gheorghe z siostrami od razu pobiegł do narożnika, najdalej od drzwi. Rozłożyli się na podłodze, bo nie było nawet pryczy. W środku znajdował się tylko zrobiony z beczki po oleju piec, który choć rozgrzany do czerwoności, nie dawał dość ciepła, żeby ogrzać cały barak.

***

Gheorghe leżał na podłodze i był szczęśliwy. Po raz pierwszy od trzech miesięcy mógł wygodnie się rozłożyć, rozprostować nogi. Nie padał na niego deszcz i było cicho. Po kilku dniach dostali prycze. Myślał o jeńcach, którzy tu mieszkali. Musieli pospiesznie zbudować nowe baraki, żeby schronić się przed zimą. Czuł, że ma w życiu dużo szczęścia.

Siostry były już dorosłe, więc razem z matką skierowano je do pracy przy wycince tajgi. Większość mieszkańców ich osady, a właściwie obozu, stanowiły matki z dziećmi. Jednak ani wiek, ani płeć nie miały dla władzy ludowej znaczenia. Istniały określone normy wycinki drzew na obywatela i musiały one zostać wykonane.

Jeńcy szybko wycięli prostokątny kawał lasu i postawili nowe baraki. Mieli wprawę, bo od końca wojny zajmowali się tylko tym. Rżnęli drzewa całą jesień, zimę

eprasa.pl ea67704293

oraz wiosnę i składowali je w sągach blisko brzegu Witimu. Kiedy w maju śnieg na dachach zaczynał topnieć, wiedzieli, że zaraz puści lód na rzece i będą mieć nieco wytchnienia. Pod koniec maja, kiedy rzeką spłynęła ostatnia kra, zrzucali bale do wody. To była ciężka praca, ale nie tak mozolna, jak wleczenie ściętych drzew przez śnieg sięgający pasa. Obok pracowały kobiety z Mołdawii, w tym matka i siostry Gheorghego. One piłowały i obcinały gałęzie, a mężczyźni ciągnęli bale do brzegu rzeki.

Ojciec nie zamierzał marnować ani jednego dnia więcej. Poprzysiągł sobie, że nie umrze na obcej ziemi.

Wiosną, zanim jeszcze poszedł do szkoły w mieście, Gheorghe obserwował dwóch starszych Niemców. Obaj byli już siwi. Mogli być oficerami, a raczej cywilami zaciągniętymi do bojówek Volkssturm pod koniec wojny. Nie wyglądali, jakby spędzili całe życie w armii. Tym bardziej tamtego dnia. Ubrani w łachmany przerzucali łopatami zawartość latryny do wiader. Potem przelewali to do beczki. Dodawali wody z rzeki i długo mieszali. Znów napełniali wiadra i szli z nimi pod las. Tam na małym poletku rosły ziemniaki. Obaj Niemcy czule je pielęgnowali, wyrywali chwasty, a potem obficie nawozili. Pokazali mu te ziemniaki podczas wykopek. Były ogromne. Powiedzieli mu wtedy, żeby też sobie posadził ziemniaki. Nawozu nie zabraknie, bo strażnicy przymykają oczy na czyszczenie latryn. Widział potem, jak sprzedawali ziemniaki innym jeńcom. Oficjalne racje żywnościowe nie wystarczały, żeby się najeść. Ale nawet regulaminowych trzystu gramów chleba dziennie i tak nikt tu nie widział. Przydziały były rozkradane na każdym szczeblu. Dyrekcja kradła mąkę, piekarz kradł chleb, a pracownicy stołówki kroili cieńsze kromki, żeby mieć chociaż jedną więcej dla siebie.

W tajdze obowiązywało prawo, które streszczone w jednym zdaniu brzmiało: „Zakon tajga, prokuror miedwied'" – „Kodeks tajga, prokurator niedźwiedź".

***

Latem jedna z sióstr poprosiła o przydział do pracy w mieście. Dostała posadę w fabryce makaronu i wyjechała do Bodajbo razem z Gheorghem, który poszedł do szkoły. Trafił do pierwszej klasy, mimo że jeszcze w Mołdawii skończył cztery i miał iść do piątej. Nie znał jednak rosyjskiego, bo w ich wiejskiej szkole wykładowym nadal był rumuński. Brakowało nowych radzieckich nauczycieli, więc tym nielicznym, którzy przeżyli wojnę, pozwolono tymczasowo dalej pracować.

Gheorghe szybko nauczył się cyrylicy i podstaw rosyjskiego. Dwie pierwsze klasy zaliczył w rok. Dobrze mu szło, ale nie mógł liczyć na nic poza siedmioklasową

eprasa.pl ea67704293

podstawówką. Jako wróg ludu powinien się cieszyć, że w ogóle miał prawo chodzić do szkoły. Po lekcjach musiał odpracować możliwość nauki. Został pomocnikiem spawacza i przez dwie godziny dziennie odbijał młotkiem szlakę ze spawów.

W piątek 6 marca 1953 roku przez szkolny radiowęzeł ogłoszono, że ubiegłej nocy zmarł towarzysz Stalin. Wszyscy płakali. Zmarł ich ojciec, oswobodziciel, obrońca i opiekun.

W 1955 roku władze pozwoliły jeńcom wrócić do domów. Wyjechali Niemcy, Słowacy, Węgrzy i inni. Amałyk opustoszał. Mołdawianom jednak nie pozwolono opuścić tajgi. Oni nie byli jeńcami, tylko kułakami.

***

Gheorghe skończył siedmioklasową szkołę i został zatrudniony jako woźnica głównego inżyniera w urzędzie miasta. Podobała mu się ta praca. Nie była ciężka, a większość czasu spędzał przy koniach. Lubił zwierzęta i znał się na nich. Tęsknił za swoim koniem, przez którego uznano jego rodzinę za kułaków.

Któregoś dnia siostra dowiedziała się w fabryce, że ludzie piszą listy do Czerwonego Krzyża, a on pomaga im odnaleźć członków rodziny. Powiedziała bratu, że powinni napisać list i poszukać ojca. Gheorghe nie pamiętał go i w sumie było mu wszystko jedno. Dziewięć lat starsza siostra jednak tęskniła za ojcem. Napisała list.

Czekała na odpowiedź przez kilka miesięcy, ale ta nie nadchodziła. Siostra uznała, że nie będzie żyć płonnymi nadziejami, i dała sobie spokój.

W 1958 roku Chruszczow pozwolił zesłańcom wrócić do domu. Rodzina Gheorghego nie wiedziała, co robić. Nie mieli pojęcia, czy mają do czego wracać. Wiedzieli jednak, że nie wyjadą w komplecie. Dwie starsze siostry pojadą za mężami. Jedna poznała Azera w fabryce makaronu, a druga Litwina podczas wycinki lasu. Wszyscy zaczęli jednak oszczędzać pieniądze i snuć plany.

Siostra otrzymała telegram. Treść była krótka: „Leci samolot z Magadanu do Vanino w Kraju Chabarowskim. Warlamow, Eremi Moisewić". Przybiegła wieczorem do domu. Nie mogła uwierzyć. Nazwisko było zruszczone, bo przecież nazywają się Virlan, ale to musiał być ojciec. Siostra była podekscytowana. Gheorghe – nie. Powiedział tylko: „Mnie eta po barabanu", czyli „Wszystko mi jedno".

Następnego dnia siostra odebrała telegram o treści: „Leci samolot z Vanino do Irkucka. Warlamow, Eremi Moisewić". Od razu dała znać matce, żeby jak najszybciej przypłynęła do Bodajbo. Trzeciego dnia wiadomość brzmiała: „Leci samolot z Irkucka do Bodajbo. Warlamow, Eremi Moisewić". Kazała Gheorghemu wziąć służbowe sanie i razem pojechali na lotnisko. Samolot z Irkucka lądował raz dziennie, nie mogli się minąć.

eprasa.pl ea67704293

Trudno było go poznać. Nie widzieli się czternaście lat. Siostra wypatrzyła ojca w małej grupie wysiadających z samolotu. Biegła ze łzami w oczach. Gheorghe tylko się przyglądał. Jego ojciec nie przypominał mężczyzny z kilku rodzinnych zdjęć, jakie widział. Nie poznałby go na ulicy. Siostra ściskała ojca, płakała, całowała. Wreszcie powiedziała mu, że ten oto młody mężczyzna to Gheorghe, jego najmłodsze dziecko. Był równie zmieszany jak jego syn. Byli sobie całkiem obcy, ale fizycznie niezaprzeczalnie podobni.

Matka rzuciła wszystko, wzięła córki z Amałyk i wsiadła na barkę do Bodajbo. Nic jej tam nie trzymało i nie zamierzała zostawać ani chwili dłużej, kiedy znów cała rodzina mogła być w komplecie.

***

Długo rozmawiali, mieli sobie tyle do opowiedzenia. Ojciec też jechał kilka miesięcy pociągiem. Potem statkiem do Magadanu. Stamtąd zagnali go pieszo do kopalni złota. Miał w niej odpracować dwadzieścia pięć lat. Po czternastu ogłosili amnestię. Zwolnili go z obowiązku pracy w kopalni, ale bez prawa powrotu do domu. Takie pozwolenie można było otrzymać tylko osobiście w Moskwie. Ojciec postanowił, że całą rodziną wrócą na ojcowiznę, a żeby to zrobić, pojadą do Moskwy po zgodę. Ojciec nie zamierzał marnować ani jednego dnia więcej. Poprzysiągł sobie, że nie umrze na obcej ziemi.

Gheorghe bał się wracać, ale zaufał ojcu. Pojechali we trójkę, razem z matką. Wsiedli na barkę, potem do pociągu. Poznali się lepiej przez te dwa tygodnie, chociaż ojciec pozostał kimś obcym. W Moskwie okazało się, że w związku z amnestią aplikujących o pozwolenie na powrót jest wielu. Ustawili się w kolejce i czekali. Trwało to trzy dni i trzy noce. Kiedy wreszcie stanęli przed urzędnikiem, ojciec powiedział, że kopał złoto przez czternaście lat, został zwolniony z kopalni i teraz nie jest już nikomu nic winien. Rodzina straciła majątek, odpracowali swoje przez dziewięć lat zesłania. Urzędnik wziął formularz i napisał na nim: „Pozwala się obywatelowi na zamieszkanie w dowolnym zakątku Związku Radzieckiego". I już.

Oniemiali wyszli na ulicę. Patrzyli na samochody, na autobusy pełne ludzi, na spieszących się gdzieś przechodniów, milicjantów patrolujących ulice. Młody chłopak sprzedawał „Prawdę", grupa ludzi wchodziła do restauracji. A oni stali tak z kawałkiem papieru, bez którego musieliby wracać do tajgi, zbierać chrust na opał i wyczekiwać dnia, kiedy ktoś pozwoli im pojechać do domu.

Siostry zostały na Syberii na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że w Mołdawii nie ma do czego wracać.

eprasa.pl ea67704293



Criuleni nad Dniestrem. Około 80 procent powierzchni Mołdawii pokrywa żyzny czarnoziem. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych XX wieku połowa Mołdawian pracowała w rolnictwie, ale przez mechanizację odsetek ten szybko spada. Bezrobotni mieszkańcy wsi emigrują za pracą i rzadko wracają.

© Miłosz Szymański



Tyraspol, stolica Naddniestrza. Mniej więcej połowa mieszkańców wyjechała za pracą zarówno do Rosji, jak i do Unii Europejskiej. Ci, którzy zostali, zastanawiają się, czy stare bloki lepiej wyremontować, czy zburzyć. Budynki stoją więc i marnieją.

epidasa.pl ea67704293


Miłosz Szymański



Macareuca, rejon Drochia. Olga Anisoi od kilkunastu lat mieszka sama. Jej synowie już nie żyją, wnuki wyjechały za pracą do Anglii i Rumunii. Odwiedzają ją dwa razy w roku. Po nakarmieniu kur i gęsi kobiecie pozostaje siedzieć i czekać.

Miłosz Szymański



Miłosz Szymański

Bulboaca, rejon Anenii Noi. Mołdawska tradycja nakazuje, żeby studnie kopać od strony drogi, żeby każdy spragniony mógł z nich skorzystać. Lato w Mołdawii jest suche i upalne, a woda w studni jest zawsze zimna.

epidesa.pl e20770429

Tyraspol. Wbrew wszechobecnym pomnikom Lenina, gwiazdom, sierpom i młotom Naddniestrze jest dziś oazą kapitalizmu. Widać to przy ulicy 25 Października, gdzie drobne biznesy wpychają się nawet w piwnice zabytków.





Miłosz Szymański

eprasa.pl ea67704293



Miłosz Szymański

Kiszyniów. Najniższa emerytura w Mołdawii wynosi 1200 lei, czyli niecałe 300 złotych, a koszty życia są podobne jak w Polsce. Mało kogo stać na spokojną jesień życia pozbawioną trosk.

eprasa.pl ea67704293

***

Wsiedli w pociąg do Kiszyniowa. Na miejscu zastała ich wiosna. Świeciło słońce, było ciepło i przyjemnie. Wyszli na ulicę Dworcową, a potem na bulwar Pracy. Patrzyli na ludzi i nie wierzyli. Wielu chodziło boso. Nawet na Syberii ludzie mieli buty. Najgorsze, najpodlejsze, noszone latami, ale były. Szybko wrócili na dworzec. Stało pod nim kilka ciężarówek. Podeszli do jednej z nich i dogadali się z kierowcą. Ojciec dał mu kilka rubli, wsiedli na pakę i pojechali do domu, do Verejeni w rejonie Teleneşti.

Na miejscu okazało się, że w ich domu ulokował się przewodniczący rady wiejskiej. Następca tego, który przyszedł do nich czternaście lat wcześniej. Przywitał ich opryskliwie i kazał iść do diabła. W końcu oznajmił, że mogą odkupić swój dom i ziemię. Zażądał półtora tysiąca rubli, czyli odpowiednik dwuletnich zarobków robotnika. Mieli odłożone dość pieniędzy. Zapłacili. Wysłali telegram do sióstr, że jest do czego wracać. Przyjechały te, które jeszcze nie były mężatkami.

***

Ojciec postanowił, że zbudują nowy dom, bo zaczynają nowe życie. Zamieszkali kątem u wuja. Każdego dnia Gheorghe z ojcem pracowali przy budowie, a matka i siostry w ogrodzie. Na początek rozebrali stary dom. Został zaniedbany i nie było już sensu go remontować. Wykopali dół i położyli nowy fundament. Na więcej nie starczyło czasu przed zimą. Pieniędzy też zaczęło brakować. Gheorghe wsiadł do pociągu i wrócił do Bodajbo. Zamieszkał u siostry i podjął pracę jako ślusarz w tej samej fabryce, w której jako dziecko był pomocnikiem spawacza.

Wrócił wiosną. Zabrali się z ojcem do roboty. Do jesieni udało im się postawić mury i zawiesić wiechę. Pili wino, świętowali. Ojciec był szczęśliwy. Nie dość, że nie zginął na nieludzkiej ziemi, to jeszcze wrócił na swoją. Gheorghe czuł się obco w Verejeni. Wrócił więc do Bodajbo. Mieszkał z siostrą i jej mężem Azerem i znów zatrudnił się w tej samej fabryce. Następnej wiosny pojechał pomóc rodzicom w gospodarstwie. Ojciec ciężko chorował. Nikt nie wiedział na co. Był coraz słabszy i nie mógł pracować. Aż którejś nocy zmarł we śnie, we własnym domu, na ojczystej ziemi.

Gheorghe nie mógł zostawić matki samej. Nie wrócił już do Bodajbo. Rok później umarła matka. Wiedział, że rodziców trzymała przy życiu tylko nadzieja, że kiedyś znów będą razem we własnym domu.

Kolejnego roku zmarła jeszcze siostra, która mieszkała z rodzicami. Druga wyszła za mąż w Verejeni. Żona Azera rzuciła pracę w fabryce makaronu i wyjechała za mężem do Azerbejdżanu. Ostatnia siostra pojechała za swoim na Litwę. Ghe-

eprasa.pl ea67704293

orghe ożenił się krótko po śmierci rodziców i zamieszkał z żoną. Zbudował dom obok domu teściów, posadził winorośl i wykopał piwnicę. Później podciągnął kabel i zamontował światło. Niedawno obchodził osiemdziesiąte urodziny. Przetrwał wojnę, głód, deportację, Stalina i wreszcie sam Związek Radziecki. Założył rodzinę. Przeżył z żoną sześćdziesiąt lat. Wychowali troje dzieci i ośmioro wnucząt. Dziś Gheorghe słabo słyszy. Porusza się powoli i często łzawią mu oczy. Wyciera je lewą dłonią, w której zostały mu dwa pace. Pozostałe stracił podczas wypadku w fabryce. Żona przygarbiona starością chodzi po domu, opierając się o meble. Kiedy siedzę przy suto zastawionym stole, Gheorghe dolewa mi młodego wina ze swojej piwnicy. Rozmawia z żoną, żartują. Co jakiś czas się śmieją. Są piękni.

– Widzisz, w życiu najważniejsze jest zdrowie i kochający ludzie wokół ciebie – mówi mi znad talerza z kurczakiem w galarecie – dom, gospodarkę, pieniądze możesz zdobywać całe życie, a stracić w jednej chwili. U nas luksusów nie ma, ale póki mamy swoje kury, warzywa i wino, to mamy wszystko.

Gheorghe niczego nie żałuje. Nigdy już nie wrócił na Syberię, choć zawsze za nią tęsknił.

Niniejszy tekst jest fragmentem książki Kto zgasi światło. Opowieści z Mołdawii*, która ukaże się nakładem własnym Autora. Książka dostępna na stronie: https://zarubieza.pl/ksiazka.*

eprasa.pl ea67704293

Dlatego zwyciężymy

Olga Solarz

Lubiłam pomruk pracującej ukraińskiej artylerii, który codziennie docierał do wsi, w której mieszkałam. Zaczęłam razem z żołnierzami wzdychać na widok haubicy. Czy to gdy nadjeżdżała z naprzeciwka, czy kiedy jechała przed nami lub stała w polu gotowa do pracy. „Piękna" – wzdychałam. Miałam ochotę głaskać i zaklinać ukraińskie czołgi, za którymi podążaliśmy.

Gdy kompania zajęła pozycję, drzewa były jeszcze bezlistne, panowała wczesnowiosenna burość, a padający deszcz wzmacniał odczucie chłodu. Dlatego przez pierwsze dwa dni zmieniano żołnierzy każdego dnia. Jedna grupa przyjeżdżała, druga w tym czasie się suszyła. Kopali albo po prostu siedzieli. W pierwszych dniach w pasach leśnych, które mijali, nie było jeszcze żołnierzy z innych brygad, zatem na pozycjach zostali zupełnie sami.

Zasiedlili przyczółek z widokiem na N., w której stacjonowali Rosjanie. Wieś nie była dobrze widoczna, jedynie pola przy niej i leśne smugi. Kiedy tam wchodzili, nie zdawali sobie sprawy, że zajmują pozycje w szarej strefie. Brak doświadczenia przekładał się na pewnego rodzaju nonszalancję, której Hulaszczyj w nich nie pacyfikował. Sam zresztą uchodził za – jak to się u nich mówiło – „bezbaszenego", czyli szalonego. Jego pseudonim, który nosił od czternastego roku życia, pochodził od słowa „hulać", czyli spacerować, bo lubił Hulaszczyj „pohulać" sobie na tyłach wroga. Jako zawodowy żołnierz zwiadowca miał we krwi przedzieranie się na tyły wroga i zakładanie w niespodziewanych miejscach min pułapek. Niski, energiczny, krzykliwy i jednocześnie dobroduszny wzbudzał w żołnierzach respekt, ale nie strach.

– Co to, kurwa, za armia? – darł się wniebogłosy, aż przysiadałam za autem, by nie wejść mu w pole widzenia. – Zbierają się jak na dyskotekę. Kurwa, raz-dwa, raz-dwa. O szóstej, to o szóstej.

Zbierali się biegiem, a on darł się tak długo, aż wszyscy załadowali się na pakę auta, i wtedy zmieniał się, jakby ktoś raptem wyłączył mu jakiś guzik. Uśmiechnięty i rozluźniony jechał w stronę paszczy wroga. Dlatego też nikt nie przejmował się szczególnie jego wrzaskami, bo wszyscy wiedzieli, że krzyczy głośno, ale krótko. Prócz tego jest sprawiedliwy, ale przede wszystkim odważny. Hulaszczyj należał do tych dowódców, którzy nie chowali się po sztabach i nie kierowali z tyłów przez radiostację niczym szczekliwe, ale strachliwe ratlerki. Zawsze był na przodzie, zawsze

eprasa.pl ea67704293

ze swoimi żołnierzami i zawsze sam wykonywał najbardziej ryzykowne zadania. I choć miał stopień pułkownika i wiek pozwalający mu na bycie dowódcą batalionu, to wolał z żołnierzami jeść w okopach zupę z wojskowego termosu, niż przekładać papiery w sztabie.

***

– Chyba powinniśmy skręcić tutaj – powiedziałam niepewnie do Baczy, kiedy minęliśmy ceglany mur z dawno skruszoną nazwą kołchozu. Takie murki-znaki, które żołnierze nazywali stelami, trzydzieści lat temu oznaczały wewnętrzne granice przestrzeni, która dzieliła się tam na wielkoobszarowe kołchozy. Wtedy, w Wielki Piątek, gdy jechaliśmy pierwszy raz z pozycji „w stepie", jeszcze tego nie wiedziałam. Dopiero uczyłam się donieckiej przestrzeni i znaków świata, który choć emocjonalnie był mi bliski, to jednak tak bardzo odmienny.

– Tak, ten mur na pewno mijaliśmy i gdzieś tu powinniśmy skręcić – odrzekł.

Jednak drogi, które skręcały, były trzy, a może cztery i wszystkie kończyły się w polu, zupełnie nie tak, jak to zapamiętaliśmy. Zaczęliśmy krążyć. W prawo, w lewo, z powrotem do steli i znowu w lewo. Nawigacja nie działała, bo był fatalny zasięg, a może dlatego, że fale specjalnie zagłuszano. Fakt, że tego mglistego popołudnia z trzema zmęczonymi, zmarzniętymi i ubłoconymi po dobie kopania żołnierzami na tylnym siedzeniu i czterema na pace, zabłądziliśmy.

Uświadomiłam sobie, że w ostatnich dniach zachowuję się jak zwierzę. Że nie mam żadnych głębszych refleksji. Że ciągle wyostrzam słuch i wzrok. Że zaczynam mieć automatyczne odruchy.

Wjechaliśmy w błotnistą polną drogę, na której auto pomimo napędu na dwie osie zaczęło tańczyć. Ślizgiem pokonywaliśmy kolejne metry, nie wiedząc, dokąd jedziemy i ile kilometrów od linii starcia jesteśmy. Zupełnie nie wiem, jak to się stało, że ani Bacza, ani ja nie pomyśleliśmy, jadąc w tamtą stronę, że warto zerknąć na mapę choćby dla ogólnego rozeznania. Pewnie zbyt zaufaliśmy swoim umiejętnościom rozpoznania terenu, a możliwe, że to nonszalancja, której przejawy widziałam na froncie zbyt wiele razy.

– Żebyśmy tylko nie wjechali do kacapów – odezwał się któryś z żołnierzy niby żartem. Ale czułam rosnące napięcie. Siedzieli z tyłu ściśnięci w pełnym ekwipunku, świeżo po doświadczeniach we W., które wciąż odbijały się w nich echem pierwszego dotyku śmierci.

Wokół nas rozciągały się pola. Na przemian czarne, jeszcze nieobsiane i zazielenione ozimą pszenicą i rzepakiem. Droga wiodła między polami, czasem wzdłuż

eprasa.pl ea67704293



Olga Sołarz

Życie na froncie przypomina egzystencję w obozowisku.

krzaków i smug leśnych. Nikt z nas nie rozpoznawał krajobrazu. Czarnoziem w deszczu stał się lepki jak glina. Jego grudy odrywały się od podłoża i latały wokół nas niczym fajerwerki, bębniąc o dach i przyklejając się do szyb. Ślizgaliśmy się, bo każde zatrzymanie groziło zakopaniem się w tej żyznej, krwistej i pachnącej ziemi, która była tak tłusta, że chciało się ją jeść garściami. Jeść i tarzać się w niej. Wcierać w siebie tę żyzność, zakopywać się i odkopywać, ryć niczym kret lub nornica i wąchać zapach soków życia.

Przedwiośnie nabrzmiewało i było gotowe, by eksplodować życiodajną siłą. Ze stalowego i gęstego nieba padały okazałe krople – wydawało się, że ziemia ugina się pod ich ciężarem. Gleba chłonęła wodę, jakby wiedziała, że za chwilę odda soki niebu, a sama pomarszczy się i popęka. Ozima pszenica ma dopiero kilka centymetrów, po niej pojawią się sercowate ziarna słonecznika, które przyssają się do jej piersi i wypiją wszystko. Ziemia żyła swoim cyklem, jak gdyby nigdy nic, choć człowiek orał ją piekłem swoich pocisków. Była niczym fundament.

Ziemia stanowiła punkt odniesienia dla wojny. Za nią walczono, w niej się chowano, była najlepszą kamizelką kuloodporną i hełmem, żywiła, ubierała i na koń-

eprasa.pl ea67704293

cu grzebała. Była największą wartością, bo mieściła wszystkie idee: od rodziny po ojczyznę, od własności po poczucie bezpieczeństwa. A ta ukraińska ziemia, orana przez wieki przez nieekspansywnych rolników przywiązanych do kawałka gruntu po dziadach, wryła się tak mocno w ich ciała, w bruzdy, że żadne zmiany cywilizacyjne nie zdołały jej wyczyścić. Walczyli więc o czarny, smolisty i pachnący czarnoziem, po którym ślizgiem sunęliśmy, wypatrując jakichkolwiek znaków potwierdzających, że jedziemy w dobrym kierunku, a nie wprost do niewoli.

Droga zrobiła się bardziej pofałdowana, a nawet pagórkowata. Raptem na podjeździe minęliśmy cmentarz. Metalowe, sterczące, porozrzucane to tu, to tam krzyże wyglądały jak wyjęte z innej rzeczywistości. Cmentarz zrobił na mnie wówczas kolosalne wrażenie, zapomniałam o lęku. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że był jedyną pozostałością zlikwidowanej przez Sowietów w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku wsi H. i że stanie się on dla mnie *axis mundi* tamtego świata.

– Dobrze jedziemy – raptem ktoś wykrzyknął, wskazując na horyzoncie majaczący elewator na zboże. Gdy wjeżdżaliśmy na plac kołchozowy, gdzie w stróżówce rozmieścił się pierwszy pluton, minęły nas dwie wyrzutnie gradów, które znalazły miejsce garażowania w jednym z hangarów. Plutonowi machali nam, a my machaliśmy im. Nikt wtedy nie przypuszczał, że dwa tygodnie później te grady zabiorą Doka.

***

Przez pierwsze dni na pozycję „w stepie" jeździłam z Baczą po kilka razy dziennie. Rotowaliśmy chłopaków, a gdy już zasiedlili się na stałe, to dowoziliśmy im rzeczy.

„W mojej torbie w kieszeni z boku jest nóż, a w środku tenisówki".

„Gdzieś przy moim łóżku leży kubek".

„Zapomniałem zabrać powerbank".

Prosili o różne rzeczy, a ja grzebałam po ich torbach i je dowoziłam.

Z dnia na dzień nabrzmiewały pączki drzew i krzewów, wszyscy obserwowali to z radością, bo wraz z wiosną nie tylko przychodziło ciepło, ale przede wszystkim zjawiała się możliwość maskowania i chodzenia na zwiady. Panowało rozluźnienie – pozycje wciąż nie były bezpośrednio ostrzeliwane, więc samochody wyjeżdżały i zajeżdżały.

Mniej więcej po trzech dniach w przylegającym prostopadle pasie leśnym zjawili się żołnierze Sił Zbrojnych Ukrainy. Była to 59. brygada.

– Czy możecie nie kursować wte i wewte? Zdradzacie pozycje – zatrzymali nas i powiedzieli z wyrzutem. Mieli rację, bo auta kompanii, choć przykryte siatką maskującą, wciąż coś przywoziły i odwoziły. Dwa razy dziennie termos z ciepłym jedzeniem, prócz tego „zapomniałem tego, zapomniałem tamtego".

eprasa.pl ea67704293

Po tej reprymendzie Bacza przestał dojeżdżać do końcowych pozycji i parkować w przesmyku, z którego doskonale widać było pozycję wroga. Zresztą to parkowanie było dla mnie – laiczki – zagadką.

– Gdzie stoją kacapy? – pytałam.

– Tam – wskazywał ręką któryś z chłopaków na zachód.

– Tam – wskazywał ręką któryś z chłopaków na wschód.

– Tam – wskazywał ręką któryś z chłopaków na południe.

W rezultacie nie wiedziałam, gdzie się dokładnie znajdują, wiedziałam natomiast, że nie stoją tam, skąd przyjeżdżamy i że parkując auto tak, jak to robimy, musieliśmy być widoczni.

– Czemu tak parkujemy? Szyba nam się odbija w słońcu. Czy to bezpieczne? – Zgłupiałam.

– No może – stwierdzał Bacza. – Następnym razem przytulę się bardziej do krzaków.

***

W niedzielę wielkanocną wyciągnęłam kolorowe tekturowe pudełko, które przywiozłam z Polski. Były w nim kartki oraz listy od dzieci z punktu nauczania języka ukraińskiego z Bartoszyc i ukraińskiej szkoły z Przemyśla. Wzięliśmy paski, czyli wielkanocne drożdżowe baby, do auta i przed południem pojechaliśmy „w step".

Świeciło słońce, niebo było przejrzyste i naprawdę czuć było wiosnę. Droga zrobiła się twarda, czarnoziem miał tę zaletę, że szybko parował. Zupełnie inaczej niż bieszczadzka glina, która długo po deszczu oblepiała buty gęstą, ciężką warstwą. Tu wystarczyły trzy godziny, nieco promieni słonecznych i droga zastygała.

Przed P. przy stawach stało dwóch żołnierzy i machało na stopa.

– Chrystos Woskres – przywitali się świątecznie.

– Woistynno Woskres – odpowiedzieliśmy.

– Podrzucicie do najbliższego sztabu, bo haubica nam ugrzęzła?

– Wsiadajcie – powiedział Bacza. Przez krótką chwilę, tyle ile trwała droga do sztabu, pogadaliśmy o haubicy, która zakopała się tuż przy brzegu stawu, o tym, że są z zachodniej Ukrainy, że walczymy i oczywiście zwyciężymy.

Zostawiliśmy ich tuż przy tymczasowym sztabie batalionu, który został ulokowany w niedokończonym budynku w centrum P., z przeznaczeniem na sklep lub bar. We wsi po ostrzałach nie było prądu, więc cały czas huczał tam agregat. Stał pod przylegającą do budynku wiatą, tuż przy długim stole, na którym znajdowały się plastikowe kubki, kawa, herbata, ciastka, chleby i konserwy. Więc można było zjeść i się napić, co też robiłam, ilekroć zatrzymywaliśmy się tam na chwilę. Okazywało

eprasa.pl ea67704293

się, że rozmowy są trudniejsze, bo trzeba było przekrzykiwać agregat, ale i tam zawierałam przelotne znajomości.

– Po akcencie słyszę, że nie stąd.

– Z Polski – odpowiadałam.

– Z Polski? Dziękujemy Polakom, dziękujemy!

Te podziękowania słyszałam prawie codziennie. Zawsze też przy okazji wypływał temat wspólnego wroga i katastrofy smoleńskiej, bo absolutnie wszyscy ukraińscy żołnierze byli pewni, że w śmierci Lecha Kaczyńskiego maczali palce Moskale. Innego wariantu nie brali pod uwagę.

Generalnie w sztabie panowały fatalne warunki: betonowe wylewki na podłogach, ciemno i wilgotno. W sporej sali bez okien podłączone były dwa komputery, a z boku ładowały się radiostacje. W środku, nawet za dnia, należało używać latarek. Z tego powodu, ale też dlatego, że wieś była pod ciągłym ostrzałem, dość szybko, może nawet po tygodniu, zdecydowano, by przenieść sztab do S. Niedługo po tym na ten budynek spadła rakieta i zrównała go z ziemią. Przemykało się później obok niego niczym koło widma wypełnionego przez krótką chwilę głosami i twarzami żołnierzy, które z czasem stały się tylko wspomnieniem.

***

– I tym różnimy się od Moskali – powiedział Bacza, gdy autostopowicze wysiedli. – Moskal stałby na miejscu koło tej utopionej Msty [nazwa haubicy – przyp. red.] i czekał, aż dowództwo coś na to zaradzi. A nasi sami szukają wyjścia z sytuacji. Dlatego zwyciężymy.

Proste i oczywiste. Bacza często mówił rzeczy zwykłe i jednocześnie odkrywcze. Nie wymądrzał się, nie wymyślał, lecz patrzył na świat oczami – jak mawiał – prostego wieśniaka. „Babusia mówiła, że…" – często kwitował lub zaczynał zdanie. A zazwyczaj wypowiadał ludowe przysłowia we wschodnioukraińskim dialekcie, który był tak miły dla ucha, jak szelest wysokiej, rozgarnianej dłońmi lub końskimi kopytami trawy pod wielkim stepowym niebem.

Skręciliśmy w drogę na W., które – jak każdy chutor – składało się z kilku chałup. Nie było już tam wtedy żywej duszy, choć domy w większości stały jeszcze całe. Dopiero z czasem przysiółek ten zamienił się w kompletną ruinę. Przez wieś jechało się szybko, by nie trafić pod przypadkowy ostrzał. Ślady wojny było widać na każdym polu – większe lub mniejsze leje po pociskach wyzierały jak oczy z zielonych tafli oziminy. Na końcu wsi skręcało się w lewo na południe i najpierw pomiędzy polami, później wzdłuż smugi leśnej, pokonując niewielki jar, dojeżdżało się do ogromnego pola osłoniętego od zachodu i południa pasem drzew. Stamtąd do pozycji pierw-

eprasa.pl ea67704293

szego plutonu pozostawało już jakieś 500 metrów, jednak my pojechaliśmy dalej – do miejsca, gdzie okopały się chłopaki z plutonu drugiego oraz trzeciego.

– Chrystos Woskres! – przywitaliśmy się hucznie i radośnie, bo tak zwyczajem należy się witać w święto zmartwychwstania.

– Woistynno Woskres! – odpowiedzieli ci, którzy byli bliżej przesmyku, przy którym zaparkowaliśmy auto.

Zaczęliśmy wypakowywać termosy z jedzeniem, chleb, wodę, baby wielkanocne, konserwy i wszystko to, co wzięliśmy ze składu kompanii, dopychając auto jedzeniem z kuchni. Bo sytuacja z żywnością na początku wojny była taka, że bataliony obrony terytorialnej w dużym stopniu zależały od pomocy wolontariuszy. Tak więc wszystkie konserwy, suchy prowiant czy słodycze pochodziły od ludzi, zaś batalionowa kuchnia dawała zupy, kasze, wodę i chleb. Z czasem w polowej stołówce pojawiły się jabłka, banany, kruche ciastka, suche kiełbasy, sery i pomidory. Jednak jeszcze wówczas królował głównie barszcz, który niczym nie przypominał tego z zachodniej Ukrainy o kolorze buraczkowym. Bo barszcz wschodniacki jest czerwony od sosu pomidorowego, który obok kapusty stanowi obowiązkowy składnik. Żaden tam burak.

Wokół nas rozciągały się pola. Na przemian czarne, jeszcze nieobsiane i zazielenione ozimą pszenicą i rzepakiem. Droga wiodła między polami, czasem wzdłuż krzaków, smug leśnych. Nikt z nas nie rozpoznawał krajobrazu.

Pomogłam wypakować dwa termosy barszczu, który po drodze przez sparciałe uszczelki zdążył zalać auto. Później weszłam do smugi leśnej. Chłopaki nalewały sobie parujące jedzenie, a ja to się przyglądałam, to z kimś rozmawiałam. Było prawie cicho, tylko gdzieś daleko słychać było grzmienie wojny. Jedli bez pośpiechu. Wokół panowała przedwiosenna szarość, taka sama, jak dzień wcześniej. Wydawało się, że nie ma miejsca na święta.

Bo niedziela wielkanocna była tam tylko nazwą, konstruktem świata zewnętrznego, który nijak miał się do zastanego. Służba nie drużba. Więc kiedy cały świat wschodniego chrześcijaństwa zajadał kiełbasy, żołnierze na pozycjach jedli konserwy tyrolskie i te z firmy Krakus, które przywiozłam im jako pomoc humanitarną.

***

– Chrystos Woskres! Dziękujemy, że dzięki wam Ukraina wciąż jest i będzie. – Pokemon trzymał w dłoniach kartkę świąteczną i powoli czytał na głos list, który wyraźnie napisała mama jakiegoś dziecka, bo pismo obok dziecięcych malunków

eprasa.pl ea67704293

było „dorosłe". – Uważajcie na siebie, nasi kochani obrońcy, jesteśmy z wami. Wracajcie szczęśliwie do swoich domów i rodzin. Katrusia z rodziną z Olsztyna…

Patrzyłam na jego pociemniałe od ziemi palce, pełne zadziorów i czarnoziemu pod paznokciami. W lewej dłoni delikatnie dwoma palcami trzymał żółto-niebieską wstążkę, którą do listu dodała Katrusia. Czytał wolno, pochylając się nad kartką. On i żołnierze obok umorusani od kopania i zmęczeni raptem poczuli, że to Wielkanoc.

Pokemon podniósł głowę i się uśmiechnął. Ale w jego oczach nie widziałam radości. Jego spojrzenie było nieodgadnione. Uważałam go za tajemniczego mężczyznę od momentu, kiedy poznałam go miesiąc wcześniej. Im dłużej go znałam, tym mniej rozpoznawałam jego emocje. Pochodził z Ługańszczyzny, miał czterdzieści lat i można było powiedzieć, że jest przystojny. Średniego wzrostu i średniej budowy ciała, zazwyczaj uśmiechnięty i spokojny. I choć był małomówny, to wiedziałam, że jego żona z dwójką małych dzieci została na okupowanym terytorium. Mieli ze sobą sporadyczny kontakt, więc lęk o bliskich zawsze przepełniał jego oczy cierpieniem.

W niedzielę wielkanocną wyciągnęłam kolorowe tekturowe pudełko, które przywiozłam z Polski. Były w nim kartki oraz listy od dzieci z punktu nauczania języka ukraińskiego z Bartoszyc i ukraińskiej szkoły z Przemyśla. Wzięliśmy paski, czyli wielkanocne drożdżowe baby, do auta i przed południem pojechaliśmy „w step".

Obsługiwał karabin maszynowy, który nazywano „pokemonem", stąd też wzięła się jego ksywa. Był zbyt skromny, żeby wymyślać sobie egzotyczne pseudonimy. Nigdy się nie skarżył i zawsze bez zastrzeżeń wykonywał rozkazy. Można rzec – ideał żołnierza, który prócz tego, że dźwiga na grzbiecie dziesiątki kilogramów, to nigdy cię nie zostawi. Bo Pokemon nieraz osłonił całą grupę, która musiała się wycofać, i jako ostatni wychodził z zasadzek. Wszyscy o tym wiedzieli, dlatego go szanowali. Prawdziwy pobratymiec.

Spojrzał na mnie. Przez gałęzie wpadał długi promień słońca. I choć światło wokół wciąż jeszcze było chłodne, zimowe, to wszystko, co żywe, już je chłonęło. Wzdłuż mijanych przez nas dróg zakwitły mirabelki, a w trawie pojawiły się drobne kwiaty. Chłopaki ściągali kurtki i czapki. Nikt nie miał kamizelki i hełmu. Na pozycjach było cicho, to po co się męczyć.

– Jedziemy – krzyknął do mnie Bacza.

– Jedziemy – powiedziałam do Pokemona.

– Plus – odpowiedział.

Podobały mi się te krótkie komunikaty. Plus to plus. Przyjąłem. Na wojnie więcej dopowiadasz w myślach, niż wypowiadasz w rzeczywistości. Świat wojny to pląta-

eprasa.pl ea67704293

nina kształtów. To, co na wierzchu, jest tylko wierzchołkiem dryfującej, ogromnej, wsobnej, własnej i zazwyczaj samowystarczalnej góry lodowej.

Gdy wracałam ścieżką, która z dnia na dzień stawała się coraz bardziej wydeptana, podbiegł do mnie jeden z żołnierzy. Później próbowałam sobie przypomnieć jego twarz, ale obraz nie zyskiwał na ostrości. W dłoniach trzymał świąteczną kartkę, którą dałam mu, zanim doszłam na pozycje Pokemona.

– Ola – zawołał. Odwróciłam do niego głowę. Stał metr ode mnie z rozpieczętowaną kopertą. – Dziękuję.

Głos miał nienaturalny, zduszony. Wiedziałam, że jest na granicy płaczu.

– Ja dziękuję – odpowiedziałam i odwróciłam głowę.

Wskoczyłam do auta i się rozpłakałam.

***

W poniedziałek wielkanocny grzmiało.

– Biegnij do chłopaków, szybko, szybko – krzyczał Bacza, gdy zatrzymaliśmy się niedaleko pozycji pierwszego plutonu. Tyle że nie tych pozycji, gdzie poprzedniego dnia jedliśmy wielkanocne śniadanie, ale dużo dalej, bo pierwszy pluton okopał się na dystansie 200 metrów.

Biegłam wzdłuż drzew, które od pola odgradzało wielkie zwalisko wyciętych suchych krzaków, i nigdzie nie mogłam znaleźć przejścia. „Kurwa, czemu stanął tak daleko, ja pierdolę!" – złorzeczyłam pod nosem wściekła, a że przeklinałam – dowiedziałam się później z nagrania, bo pędziłam z włączoną kamerą. Bieg w kamizelce kuloodpornej, hełmie i z torbą przewieszoną przez ramię jak w filmie w zwolnionym tempie. Oczy podążały szybciej niż ciało. W pasie leśnym przylegającym prostopadle 200 metrów ode mnie pojawiały się kłęby grzybów po wybuchach. Biegłam wprost na nie, szukając wejścia między drzewa. W końcu zobaczyłam ścieżkę, na końcu okop, z którego wychylali się chłopcy.

– Szybko, szybko – machali do mnie. Rozstąpili się, wskoczyłam do środka i się roześmiałam.

– Grady – powiedział ktoś. I tak siedzieliśmy dziesięć minut, nasłuchując wybuchów. Wtedy też zaczęłam uczyć się dźwięków. Nie nauczyłam się ich w ciągu tego pobytu, bo pojawiały się coraz to nowe. Po gradach poznałam brzmienia pocisków kasetowych. Te były łatwe do rozpoznania, bo wybuchały nieregularnie, jazzowo, jak improwizacja w nocnym klubie Nowego Jorku Milesa Davisa. Po tym przyszły moździerze i czołgi. Tornado-K, od którego trząsł się cały świat, i wybuchy w powietrzu pracujących ukraińskich systemów przeciwlotniczych, które na chwilę zatrzymywały, dziwiły i kazały się domyślać, że nie niosą zagrożenia.

eprasa.pl ea67704293



Żołnierzom pomaga rozmowa, wspólny posiłek.

Trzeba było nauczyć się rozróżniać wystrzały. Gdy pierwszy raz kilkadziesiąt metrów ode mnie wystrzelił ukraiński moździerz i świstem przeleciał mi nad głową, to aż przysiadłam. Akurat byłam sama przy aucie, niedaleko pozycji pierwszego plutonu i czekałam na Baczę. „Bum" – zagrzmiało, ziemia zadrżała i poniósł się świst. Moje serce zamarło. Automatycznie kucnęłam, bo nie wiedziałam, czy padać na twarz, czy nie. Nikogo wokół, kogo mogłabym podglądać. Po dwudziestu sekundach wstałam i rozejrzałam się. „To pewnie nasi. Nagram to" – pomyślałam i wyciągnęłam telefon. W ten sposób uwieczniłam, jak Bacza wychodzi zza drzew i idzie w moim kierunku, a nad nim świszczy pocisk moździerzowy. Jakby przechodził pod portalem, dźwiękową tęczą, która nie kończy się garnkiem ze złotem, lecz śmiercią. Pod dźwiękowymi tęczami byłam później wielokrotnie i już wiedziałam, że jak świszczy, to raczej jest bezpiecznie.

Nie sądziłam, że ja – zwykła kobieta, która przecież z wojną nie miała niczego wspólnego prócz pamięci dziadków i szkolnych lektur, wejdę tak głęboko w jej trzewia. Gdy pracowały ukraińskie grady i słyszałam, jak wysypuje się ich cała bateria, szybko, czasem szeleszcząco, jeden po drugim, pomnażając swoją moc, echo i siłę,

eprasa.pl ea67704293

w głowie kręciły mi się myśli: „Lećcie i pomścijcie", „Pokarajcie i wygońcie", „Bądźcie celne". Lubiłam też pomruk pracującej ukraińskiej artylerii, który codziennie docierał do I. Zaczęłam razem z żołnierzami wzdychać na widok haubicy. Czy to gdy nadjeżdżała z naprzeciwka, czy kiedy jechała przed nami lub stała w polu gotowa do pracy. „Piękna" – wzdychałam. Miałam ochotę głaskać i zaklinać ukraińskie czołgi, za którymi podążaliśmy.

***

Był 26 kwietnia, dzień mojego powrotu do Polski. Rano jak zwykle pojechaliśmy na pozycje, coś dowieźć, coś wywieźć. Całą noc grzmiało. Na przodzie trwał ostrzał. Moskale przebijali się w kierunku Z. na wschód od W. A przy okazji regularnie ostrzeliwali P. i S., w których prócz żołnierzy nie było już prawie nikogo z ludności cywilnej.

Ostatni punkt kontrolny znajdował się 10 kilometrów od I. Od tego miejsca, aż do zerówki, czyli przez niemal 30 kilometrów, nie było blokady drogowej. To przestrzeń wojska: mundurów i wojskowych samochodów. Pędziło się szybko, bo choć drogi nie były tam w stanie idealnym, to jednak w miarę połatane. Dopiero z czasem od ciężkiego sprzętu i wybuchów porobiły się dziury, które należało omijać, by nie urwać koła. Wszystko wokół wyglądało jak olbrzymia scenografia filmu wojennego. Świat w świecie. Hermetyczny, w kolorach brązu i czerni.

Jadąc rano na pozycje, policzyłam w myślach, że od 22 kwietnia do tej chwili jest to mój dwunasty wyjazd na zerówkę. Włączyło mi się myślenie magiczne, dlatego postanowiłam, że tego dnia więcej – czyli trzynasty raz – tam nie pojadę. Tak więc, gdy Bacza zabierał jedzenie z kuchni polowej, nie pojechałam z nim, tylko zostałam w S. W hełmie i kamizelce kuloodpornej usiadłam na stołku na niewielkim podwórzu między domem a letnią kuchnią i obserwowałam kucharzy, którzy krzątali się przy pracy. Wszyscy byli w pełnym rynsztunku, w kamizelkach i w hełmach. Zrobiło się ciepło, z wielkiego kotła kuchni polowej parował barszcz, a wraz z nim z gorąca parował Sania Kaban, czyli jeden z kucharzy.

Sania wiele lat pracował w Polsce, dlatego próbował rozmawiać ze mną po polsku. Było to bardzo miłe, pomimo że polski znał w stopniu słabym. Pochodził z Dniepra i przez wiele lat pracował w różnych restauracjach – trochę w Polsce, a później w Szwecji. Gdy zaczęła się inwazja Rosji na Ukrainę, wrócił do kraju i zaciągnął się do wojska. Miał na oko trzydzieści lat, twarz niesamowicie ciepłą i miłą.

– Jak sprawy? – zapytał z uśmiechem.

– Dobrze – odpowiedziałam.

– Czy chcieć jeść? Zwaryli my barszcz. Jak będzie „zwaryli"?

eprasa.pl ea67704293

– Ugotować. Ugotowaliśmy – odpowiedziałam, bo przy okazji obiadu w czasie naszych krótkich spotkań zawsze był kurs polskiego.

Nalał mi wielką porcję, do tego dwie pajdy chleba i postawił na stołku obok. Jadłam, słuchając ich żartów, bo prócz Sani Kabana siedzieli tam jeszcze drugi Sania i Lena, która oficjalnie miała etat praczki. W związku z tym, że nie było pralni, pomagała w kuchni.

Lena wyciągnęła wielkiego pluszowego psa, położyła go na trawie i się rozciągnęła. Była drobną, ładną blondynką, choć widać, że sponiewieraną przez życie. Mimo że nie miałyśmy wówczas okazji do rozmowy, prócz kilku zdań o jedzeniu, to od razu ją polubiłam.

Jadłam barszcz, grzałam się w słońcu, a Lena opalała się w hełmie i kamizelce, leżąc na pluszowym psie wielkości człowieka. Było dość sielsko, choć czułam lęk o Baczę, bo wiedziałam, że w tym momencie przebija się na zerówkę drogą pod ostrzałem. Obserwowałam kucharzy gotujących w ciężkich kamizelkach i wiedziałam, że wykonują niedocenianą pracę. Zastanawiałam się, czemu kuchnia polowa jest tak blisko frontu i dlaczego nie odciągną jej dalej na tyły. Tym bardziej, że Sania opowiadał żartem o ostrzale tego poranka. I wywołał wilka z lasu.

Zdążyłam się tylko poderwać i biegiem dolecieć do piwniczki, która znajdowała się kilka metrów ode mnie, gdy walnęło gdzieś obok. Stanęliśmy w pół schodów, bo wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że nie jest to dobre schronienie, sufit byle jaki, jedno wyjście. Ale nie było innego. Chwilę odczekaliśmy, a gdy robiło się cicho, wychodziliśmy, po czym znowu waliło i ponownie wbiegaliśmy na schody. Wybuchało raz bliżej, raz dalej. Między wybuchami Sania mieszał w kotle, bo gotował kaszę i nie chciał, by się przepaliła.

Gdy całkowicie ucichło, kucnęłam przy wejściu do piwnicy. Nie chciałam już daleko odchodzić. Czułam zmęczenie tym ciągłym uciekaniem i permanentnym strachem. Oparłam się o ścianę z twarzą zwróconą na południe i przymknęłam oczy. Chyba nikomu nie chciało się mówić. Panowała cisza.

I wtedy uświadomiłam sobie, że w ostatnich dniach zachowuję się jak zwierzę. Że nie mam żadnych głębszych refleksji. Że ciągle wyostrzam słuch i wzrok. Że zaczynam mieć automatyczne odruchy, bo niewiele brakowało, a staranowałabym Lenę, biegnąc do piwniczki. Wygrałam wyścig, kto pierwszy się schowa, odpychając ją przy wejściu ręką. Zawstydziłam się. Stałam się instynktem przetrwania. Normalnie człowiek wpuściłby kogoś, kto ucieka. Ale moje uciekanie było dla mnie ważniejsze, więc rozpychałam się rękami. Zdecydowanie nie byłam antropolożką na wojnie, która rzekomo miała mieć spostrzeżenia natury egzystencjalnej czy ogólnej. Zredukowałam się do instynktu.

eprasa.pl ea67704293

***

– Wsiadaj! – usłyszałam wołanie Baczy.

Stał w otwartej furtce i machał ręką. Złapałam torbę i pobiegłam do auta. Z tyłu siedziało dwóch żołnierzy, których zabrał z pozycji, bo zachorowali. Nie pamiętam, czy o czymś rozmawialiśmy, ale wiem, że okropnie śmierdziało. Zastanawiałam się, czy choroba któregoś z nich nie jest przypadkiem związana z biegunką. Albo zrobił kupę ze strachu w czasie ostrzału, a teraz Bacza go wiezie, by mógł się normalnie umyć i przebrać. Już wcześniej dostałam instrukcję i nasłuchałam się historii o puszczaniu zwieraczy podczas bliskiego wybuchu. Wiedziałam, że tak bywa i nigdy nie jest to obiektem żartów żołnierzy, bo każdemu może się zdarzyć.

Dojechaliśmy do I. Chłopcy wysiedli przy swojej chałupie, a my pojechaliśmy do swojej.

– Zobacz, co mam w bagażniku – powiedział do mnie Bacza, wychodząc z auta.

Otworzyłam klapę. Z wewnątrz uderzył mnie smród fekaliów. Na pace leżał wielki prosiak w kałuży krwi.

– Dostał odłamkiem, znalazłem go, jak wracałem z pozycji, waży dobre sto kilo.

– Będą szaszłyki – cieszył się Jura Starszyna, zaglądając mi przez ramię do paki.

Bo szaszłyki to święto. Nie było urodzin bez szaszłyków, świąt państwowych i religijnych. Szaszłyki oznaczały celebrację, na nie się zapraszało. A była to spuścizna po Sowietach, po czasach, gdy za szczyt dobrobytu uchodziło pieczenie mięsa „na przyrodzie". Odpoczynek człowieka radzieckiego. Więc dalej wszyscy je robili, najlepiej z jagnięciny, ale i świnina nie była zła. Mięso kupowano w najbliższym mieście na bazarze w hali mięsnej, gdzie królowało sało, nad którym górowały świńskie głowy. Chodzono uważnie, przeglądano wszystko i wybierano najładniejsze świeże kawałki. Marynowano je długo, a później pieczono na ruszcie, który znajdował się w każdym obejściu, gdzie rozlokowali się żołnierze. Zazwyczaj był jeden mistrz ceremonii, co z czasem samoistnie się ustaliło, bo jeden piekł bardziej z sercem, a inny mniej. W batalionie nie było wegetarian, tylko jedzący mięso często i dużo. W każdej zupie pływały wielkie kawałki wieprzowiny, które wyłapywało się niczym kruszonkę z ciasta. Gdyby nie było mięsa, gdyby nie było sała, to zacząłby się bunt. Sało i papieros to wikt żołnierza.

Gotowa do wyjazdu wyszłam z chałupy. W czasie gdy pakowałam plecak, na podwórzu zebrała się grupka żołnierzy. Jura Starszyna zdążył też ściągnąć sąsiada z opalarką, który fachowo zabrał się do roboty. Żegnałam się w pośpiechu. Od dzieciństwa nie znosiłam szumu palnika gazowego i smrodu opalanej sierści.

Dr Olga Solarz jest ukrainistką i etnolożką. Tłumaczka przysięgła z języka ukraińskiego.

eprasa.pl ea67704293

Akcja „Wisła", czyli ludobójstwo kulturowe

Z prof. Grzegorzem Motyką, historykiem i autorem książki *Akcja „Wisła" 47. Komunistyczna czystka etniczna*, rozmawia Wojciech Wojtasiewicz

WOJCIECH WOJTASIEWICZ: Jak zrodziła się idea akcji „Wisła" w kierownictwie Polskiej Partii Robotniczej? Jakie były jej oficjalne cele?

GRZEGORZ MOTYKA: Tworząc Polskę Ludową, Józef Stalin zadecydował, że ma być ona państwem homogenicznym narodowościowo. W celu utwierdzenia nowych granic doszło w latach 1944–1946 do szeregu masowych przesiedleń ludności. Ukraińcy byli wysiedlani do Związku Radzieckiego, natomiast Polacy z Wołynia i Galicji Wschodniej do Polski. Polscy komuniści uważali, że wywózka Ukraińców do ZSRR rozwiąże problem ukraińskiego podziemia. Jednak na początku 1947 roku okazało się, że podziemie wciąż działa, dlatego zaczęto przygotowywać, pod naciskiem Związku Radzieckiego i Czechosłowacji, akcję wojskową w celu zniszczenia oddziałów partyzanckich. Do tego momentu władze koncentrowały uwagę na likwidacji podziemia polskiego, a działania ukraińskiej partyzantki uważały za problem drugorzędny.

Jaką rolę w tej sprawie odegrało morderstwo generała Karola Świerczewskiego pod Jabłonkami?

Kiedy 28 marca 1947 roku w zasadzce Ukraińskiej Powstańczej Armii (UPA) zginął generał Świerczewski, władze Polskiej Partii Robotniczej (PPR) w ciągu dwudziestu czterech godzin podjęły decyzję o przeprowadzeniu akcji „Wisła", w której główny akcent przeniesiono ze zwalczania partyzantki na całkowite przesiedlenie ludności, już nie tylko ukraińskiej, ale także łemkowskiej i rodzin mieszanych. W przypadku tych ostatnich o zakwalifikowaniu do wyjazdu decydowało prawo krwi. Jeżeli w rodzinie był krewny o korzeniach ukraińskich, to trafiała ona na listę wyjazdową. Nie brano pod uwagę postawy danej rodziny, lecz jej narodowe lub religijne pochodzenie. Do kontyngentu wysiedleńców często dodawano etnicznych Polaków, których lokalne władze chciały się pozbyć z terenów pogranicznych, uznając, że są oni zbyt „reakcyjni", czyli antykomunistyczni.

Idea całkowitego wysiedlenia ludności nie została w pełni zrealizowana, bo w dalszym ciągu na południowo-wschodnich terenach PRL zamieszkiwała ludność ukraińska. Dlaczego polscy komuniści nie chcieli

eprasa.pl ea67704293

tej społeczności przesiedlić na tereny Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, a zdecydowali o jej przesiedleniu na Zachód?

Z końcem 1946 roku oficjalnie zakończono przesiedlenia do Związku Radzieckiego. Polscy komuniści myśleli o tym, żeby je wznowić. Prowadzono na ten temat rozmowy, lecz, jak sądzę, dotyczyły one tylko tych rodzin, które uznawano za etnicznie „czysto" ukraińskie. Nie chodziło więc o wszystkich, których koniec końców wysiedlono w trakcie akcji „Wisła", lecz zapewne o około 30 tysięcy osób. Uznawano, że ZSRR ma prawo do uznania ich za swoich obywateli. Wysłano więc oficjalne pytanie, czy komuniści ukraińscy przyjmą kolejne transporty z wysiedleńcami. Odpowiedź była negatywna. W Kijowie uznano, że ludzie ci są nacjonalistami źle ustosunkowanymi do władzy radzieckiej i nie ma sensu robienia sobie kłopotu z ich sprowadzeniem. Był to czytelny sygnał dla Warszawy: to są wasi obywatele, możecie z nimi zrobić, co chcecie. Dla komunistów było to jednoznaczne ze zgodą na rozpoczęcie akcji wynaradawiania tej ludności.

Zastanawiam się, czy przesiedleńcy mieli cokolwiek do powiedzenia. Rozumiem, że wszystkie przesiedlenia były przymusowe, a jednak 30 tysięcy ludzi zostało po stronie polskiej, jak również etniczni Polacy po stronie radzieckiej.

Ci ludzie w czasie wysiedlenia do ZSRR po prostu próbowali przetrwać. Chcieli pozostać we własnych domach i bojkotowali akcję wysiedleńczą, ukrywając się na przykład w lasach. Duża część ludności była zwolniona z wywózki do ZSRR, ponieważ przeniosła metryki chrztu z cerkwi do parafii katolickich. Decydując się na przeprowadzenie akcji „Wisła", Biuro Polityczne PPR w 1947 roku podjęło decyzję radykalną. W gruncie rzeczy największą ofiarą „Wisły" stały się rodziny mieszane, często o płynnej tożsamości. Decyzją administracyjną komuniści wszystkie te rodziny uznali za odpowiedzialne za działania UPA i wymagające resocjalizacji, której warunkiem wstępnym stała się wywózka na ziemie północne i zachodnie.

Ile osób i z jakich terenów zostało wytypowanych do przesiedlenia? Czy wysiedleni mieli zostać wszyscy Ukraińcy, Łemkowie i Bojkowie, czy były jakieś wyjątki?

Władze zakładały, że będą to rodziny ukraińskie „we wszystkich odcieniach", a więc też łemkowskie i bojkowskie oraz wszystkie rodziny mieszane. Przyjęto, że ogółem będzie to 70–100 tysięcy ludzi. Liczba ta zaczęła gwałtownie rosnąć, ponieważ okazało się, że na pograniczu żyje znacznie więcej rodzin mieszanych, niż zakładano. Po pierwszych dwóch tygodniach prowadzenia operacji i wywiezieniu ponad 50 tysięcy ludzi władze doszły do wniosku, że muszą przeformułować zasady wysiedleńcze. Od tej pory przyjęto, że wywózce podlegają tylko te rodziny mieszane, które sympatyzują z podzie-

eprasa.pl ea67704293

miem. Oznaczało to w praktyce, że jeśli do tej pory oficerowie Wojska Polskiego i Urzędu Bezpieczeństwa mieli obowiązek wysiedlać każdą rodzinę mieszaną, to od tamtego momentu od ich woli zależało, czy dana rodzina wyjedzie, czy zostanie.

Czy w jakikolwiek sposób pomagało ludziom ich poparcie dla władzy, członkostwo w PPR?

W przypadku „czystych" rodzin ukraińskich – nie. Wywołało to duże poruszenie w powiecie włodawskim, gdzie stosunkowo wielu Ukraińców było w strukturach PPR. Lokalni działacze tej partii uważali, że wysiedlenia są co prawda słuszne, ale powinny dotyczyć jedynie rodzin, które sympatyzują z podziemiem, tak polskim, jak i ukraińskim. Już po zakończeniu akcji „Wisła" wywieziono z Lubelszczyzny kilka tysięcy ludzi, których uważano za oddanych władzy. Nie mogli pozostać na miejscu, lecz pozwolono im wyjechać później, aby zdążyli zebrać plony.

Natomiast z niewiadomych powodów zrezygnowano z wysiedlenia miast, choć początkowo myślano, by od nich zacząć. Na przykład w Przemyślu doszukano się tysiąca osób, które miały ukraińskie lub mieszane korzenie. Świadczy to o ogromnej pracy śledczej, jaką wykonano, żeby tego typu rodziny zidentyfikować.

Jak przebiegały przesiedlenia? Czy dochodziło do buntów wśród Ukraińców? Czy opuszczone wioski były zasiedlane Polakami?

Wysiedlenia były prowadzone według specjalnych instrukcji. Wieś otaczano wczesnym rankiem, ludność gromadzono w jednym miejscu i ogłaszano jej decyzję o wysiedleniu. Zgodnie z instrukcjami należało mieszkańcom zostawić do pięciu godzin na spakowanie najbardziej potrzebnych rzeczy. W praktyce bywało różnie. Często rzeczywiście trwało to kilka godzin, ale nierzadko musiało wystarczyć pół godziny.

Jaka była postawa żołnierzy wobec przesiedleńców? Czy dochodziło do aktów przemocy?

Żołnierze zachowywali się raczej poprawnie. W dokumentach zachowały się informacje o tym, że pomagali pakować dobytek ludności. Żołnierze dość często odczuwali współczucie wobec wysiedlanych ludzi. W końcu byli to tacy sami chłopi, jak oni. Ale zdarzały się też przypadki gwałtów, przemocy, nadużywania władzy, pokazu siły. Na Lubelszczyźnie jeden z chłopów zdecydowanie odmówił wyjazdu, zaczął grozić żołnierzowi i próbował wyrwać mu broń. W rezultacie został zastrzelony. Doszło też do grabieży.

Osoby przesiedlane mogły wziąć to, co dało się spakować do toreb czy na wóz. A jak było ze zwierzętami gospodarczymi?

Wysiedleńcom umożliwiano zabranie ze sobą koni, krów, kóz czy owiec. Należało je jednak przepędzić kilkadziesiąt kilometrów do punktów załadunko-

eprasa.pl ea67704293

wych, gdzie pojawiał się od razu problem z wyżywieniem zwierząt, a trzeba było je jeszcze przewieźć. Wysiedleńcy, którzy mieli konie i krowy, otrzymywali na ziemiach zachodnich własne gospodarstwa. Natomiast ci, którzy ich nie posiadali, byli kierowani do państwowych gospodarstw rolnych. Źródła nic nie mówią o kotach i psach. Być może pozostało ich niewiele po okresie walk partyzanckich, które toczyły się w regionie. Parę godzin nerwowego pakowania było bardzo trudnym doświadczeniem dla tych ludzi. Bardzo często od ich pomysłowości i przytomności umysłu zależało, czy ich rodzina będzie głodować, czy nie. Na stacjach załadunkowych często brakowało żywności, ludzie dostawali na drogę mikroskopijne racje. Żywiono się przeważnie tym, co zabrano z domu.

Powiedział Pan, że wioska była otaczana przez żołnierzy. Co mówili przesiedlanym? Były groźby czy raczej zachęty?

Przekazywano im informację, że decyzją rządu zostają wysiedleni i mają obowiązek jej się podporządkować, ponieważ w przeciwnym razie będą traktowani tak, jakby sami byli partyzantami. Ludzie sprzeciwiający się wysiedleniu mieli więc trafiać do więzień i przed sądy polowe.

Jak długo trwały podróże wysiedleńców? Czy informowano ich o tym, dokąd jadą?

W punktach zbiorczych i załadunkowych przebywali przez kilka dni. Większość osób nocowała pod gołym niebem, zaledwie kilka namiotów rozstawiano do dyspozycji kobiet z dziećmi oraz osób starszych czy chorych. Ludzie w transportach byli dość dokładnie sklasyfikowani. Zakładano, że mieszkańcy danej wsi nie będą osiedlani w jednym miejscu, lecz w różnych, często oddalonych od siebie miejscowościach. Starano się natomiast nie rozdzielać rodzin, choć takie przypadki też się zdarzały. Przesiedleńcy nie otrzymywali informacji, dokąd jadą, dlatego towarzyszyły im w drodze lęk i niepewność o swój los.

Wiemy z relacji, że kiedy pociągi zatrzymywały się przy jeziorach, to w transportach wybuchała panika. Ludzie bali się, że zostaną potopieni. Sama podróż trwała co najmniej kilka dni. Na stacjach końcowych na wysiedleńców czekała komisja Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, która wskazywała rodzinom miejsce osiedlenia. Przydzielanie gospodarstw i transport do nich także trwał dłuższy czas. Nagminnie brakowało ciężarówek do rozwożenia ludzi, dlatego często nakazywano miejscowym gospodarzom rozwożenie wysiedleńców swoimi furmankami, co od razu budziło niechęć do przybyłych.

Jak przesiedleni Ukraińcy odnajdywali się na północy i zachodzie Polski? Czy były przypadki powrotu Ukraińców na tereny, z których ich wysiedlono?

Ludzie czuli się wyobcowani. Większość osób miała nadzieję, że po zakoń-

eprasa.pl ea67704293

czeniu wysiedleń będzie możliwy powrót do własnych gospodarstw. Często zdarzało się, że wysiedleńcy wysyłali przedstawicieli rodziny do swoich domów, żeby ci zorientowali się w sytuacji i zabrali jakieś pozostawione rzeczy i żywność. Gdyby okazało się, że można bezpiecznie wracać, mieli natychmiast dać znać rodzinie.

Powroty zaczęły zdarzać się dość szybko, dlatego generał Stefan Mossor zdecydował, by wszystkie takie osoby bezwarunkowo kierować do obozu w Jaworznie. Dramat polegał na tym, że rodziny często wysyłały jako swoich przedstawicieli matki z małymi dziećmi albo kobiety w ciąży. Naiwnie zakładano, że takie osoby nie będą zatrzymywane. Tymczasem na podstawie rozkazu Mossora wysyłano je bezwzględnie do Jaworzna. Dopiero Józef Różański, który często wizytował obóz w Jaworznie, nakazał ich zwolnienie, uznając, że ich przetrzymywanie nie ma żadnego sensu. To paradoks, bo Różański był jednym z większych stalinowskich oprawców.

Czym był Obóz Pracy Jaworzno i które z osób przesiedlanych do niego trafiały?

W Jaworznie, na terenie podobozu Auschwitz-Birkenau, komuniści stworzyli obóz pracy. W 1947 roku Biuro Polityczne PPR zdecydowało o zorganizowaniu w tym miejscu obozu internowania dla więźniów ukraińskich. Słusznie założono, że w punktach załadunkowych funkcjonariusze UB nie będą mieli czasu, żeby prowadzić dokładne śledztwa. Wykrytych partyzantów od razu kierowano do więzienia i najczęściej szybko stawiano przed sądem. Natomiast nie wiedziano, co zrobić z tymi, na których padnie podejrzenie o współpracę z podziemiem. Drobiazgowe przesłuchania na stacjach opóźniałyby odjazdy transportów, uznano więc, że należy zebrać takie osoby w jednym miejscu, gdzie specjalna grupa śledcza bez pośpiechu przeprowadzi dochodzenie.

Do obozu w Jaworznie trafiła masa ludzi kompletnie niewinnych, niezwiązanych z podziemiem. O wysłaniu do obozu czasami decydował kaprys oficera albo chęć przejęcia majątku danej osoby. W sumie do Jaworzna trafiło prawie cztery tysiące osób. Pięćset osiemdziesiąt sześć z nich (w tym pięćdziesięciu ośmiu Polaków) grupa śledcza po przeprowadzeniu brutalnego dochodzenia uznała za rzeczywiście związanych z podziemiem i wysłała do więzienia w Krakowie.

W przypadku pozostałych trzech tysięcy ludzi już we wrześniu 1947 roku szef grupy śledczej zawyrokował, że nie mają oni związków z konspiracją i powinni być zwolnieni. Pomimo to jeszcze przez kilka miesięcy byli oni przetrzymywani w obozie, ponieważ komuniści wykorzystywali więźniów jako tanią siłę roboczą. Tymczasem nadejście jesiennych słot w połączeniu z niedożywieniem doprowadziło do gwałtownego wzrostu umieralności wśród więźniów. Do września 1947 roku, pomimo bezwzględnych przesłuchań, dwie osoby zmarły w obozie. W ciągu kilku następnych miesięcy zmarło prawie

eprasa.pl ea67704293



Archiwum prywatne

W czasie wysiedlenia do ZSRR ludzie próbowali przetrwać. Bojkotowali akcję wysiedleńczą, ukrywając się w lasach. Duża część ludności była zwolniona z wywózki do ZSRR, ponieważ przeniosła metryki chrztu z cerkwi do parafii katolickich.

sto sześćdziesiąt osób. Dopiero wtedy władze zdecydowały o likwidacji obozu i wysłaniu przetrzymywanych do rodzin na ziemiach zachodnich i północnych.

Kim byli Stefan Mossor i Władysław Wolski? Jakie były ich losy po zakończeniu akcji „Wisła"?

To dwaj główni wykonawcy akcji „Wisła". Mossor jest bardziej znany, ponieważ stał na czele całej grupy operacyjnej. To przedwojenny oficer, który we wrześniu 1939 roku dostał się do niewoli. Uwolniony w 1945 roku zgłosił się do „ludowego" Wojska Polskiego i szybko został zastępcą szefa Sztabu Generalnego WP. Reprezentował go w Państwowym Komitecie Bezpieczeństwa, który koordynował zwalczanie podziemia antykomunistycznego w całej Polsce. Stąd również odpowiadał za działania wojska podczas fałszowania referendum z 1946 roku. Władze ufały mu do tego stopnia, że Biuro Polityczne PPR zastanawiało się, czy nie powierzyć mu teki ministra obrony narodowej po śmierci Świerczewskiego. Ostatecznie się jednak na to nie zdecydowano. Kierownictwo PPR wykazało się czujnością, ponieważ parę tygodni później dzięki materiałom otrzymanym z Londynu komuniści dowiedzieli się, że Mossor był członkiem wysłanej przez Niemców w 1943 roku delegacji do Katynia. Jeszcze przed końcem akcji „Wisła" Biu-

eprasa.pl ea67704293

ro Polityczne PPR sprawdziło jego życiorys i uznało, że kariera polityczna Mossora jest skończona. Kilka lat później został aresztowany i skazany. Dopiero odwilż po śmierci Józefa Stalina umożliwiła mu wyjście na wolność.

Biografia Władysława Wolskiego jest nieco inna. Był on przedwojennym ideowym komunistą. Jego wiarą w komunizm nie zachwiały nawet represje wobec najbliższej rodziny. Nadzorował działalność Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, nazywano go nawet ministrem do spraw migracji. Zasiadał też w Komitecie Centralnym PPR i cieszył się zaufaniem radzieckiego ambasadora w Warszawie. W 1950 roku zaatakował kierownictwo PZPR, twierdząc, że w jego szeregach znajduje się zbyt dużo osób pochodzenia żydowskiego. W ciągu dosłownie dwudziestu czterech godzin został wyrzucony z partii i ze wszystkich stanowisk. Jego kariera polityczna została złamana. Natomiast dla PZPR-owców był to sygnał, że być może Moskwa rozważa zrobienie czystki w szeregach partii.

Jak podczas akcji „Wisła" radzili sobie najsłabsi – ludzie samotni, w podeszłym wieku, osoby z niepełnosprawnościami, chorzy psychicznie czy sieroty?

Ich los był szczególnie dramatycznym fragmentem operacji, o czym do tej pory niewiele mówiono. Samotni staruszkowie, pozbawieni bliższej rodziny, w dawnym miejscu zamieszkania jeszcze jakoś wiązali koniec z końcem na swoich gospodarstwach. Wywiezieni na ziemie zachodnie i północne natychmiast stawali się zbędnym balastem. Nie przekazywano im gospodarstw rolnych, bo nie daliby sobie rady z ich uprawą. Nie miało też sensu wysyłanie ich do państwowych gospodarstw rolnych, bo nie byli w stanie sprostać trudom pełnoetatowej pracy. Umieszczano ich zatem w domach starców. W niektórych z powiatów powstawały takie domy właśnie ze względu na przybycie transportów z akcji „Wisła". W sumie od tysiąca do półtora tysiąca osób zostało skierowanych do takich placówek, gdzie zostały *de facto* skazane na powolną śmierć w nędzy.

Wiadomo, że niektórzy z wysiedleńców nie wytrzymywali nacisku psychicznego i dostawali ataków histerii. Kierowano ich do ośrodków psychiatrycznych. Nie wiadomo, ile było takich osób i jaki był ich dalszy los.

Wyłapywanie uciekinierów z ziem zachodnich miało miejsce jeszcze w 1948 roku. Poruszyła mnie historia staruszki skierowanej do domu pracy przymusowej dla włóczęgów pod Poznaniem. Czy to był pojedynczy przypadek, czy było ich więcej, tego nie wiemy.

Wspomina Pan też o przypadku sierocińca w Przemyślu.

Istniał tam sierociniec prowadzony przez greckokatolickie siostry zakonne. W 1948 roku władze podjęły decyzję o stopniowej likwidacji wszystkich katolickich sierocińców, ten greckokatolicki przejęto w pierwszej kolejności. Sio-

eprasa.pl ea67704293

stry wygnano, dosłownie z godziny na godzinę, a opiekę nad dziećmi przejęli pracownicy państwowi. W przemyskim ośrodku szybko pojawili się kolejni podopieczni, już z rzymskokatolickich placówek. Dzieci później przenoszono do sierocińców w różnych częściach Polski. Nie wiemy, co się z nimi stało. Możemy być niemal pewni, że zostały spolonizowane.

Akcji „Wisła" towarzyszyła walka z tak zwanymi bandami UPA. Jak przebiegał proces likwidacji ukraińskiego podziemia w południowo-wschodniej Polsce?

Równolegle do przymusowych wysiedleń prowadzono działania przeciw oddziałom UPA. Przez pierwszy miesiąc nie przynosiły one większych rezultatów. Kilkudniowa obława na Chryszczatę zakończyła się kompletnym fiaskiem. Słabe efekty działań przeciwpartyzanckich wynikały z faktu, że żołnierze byli przede wszystkim zajęci wysiedleniami ludności cywilnej. Dopiero w czerwcu doszło do szeregu potyczek z upowcami. W likwidacji podziemia pomogła zdrada Jarosława Hamiwki, który zgłosił się dobrowolnie do UB. Dopiero od niego władze dowiedziały się, że podziemie ma zorganizowaną strukturę, a na jej czele stoi Jarosław Staruch.

To pokazuje, z jakim lekceważeniem komunistyczne władze podchodziły dotąd do zwalczania UPA, nawet nie przykładano się do jego wywiadowczego rozpracowywania. Duże oddziały partyzanckie na południe od Przemyśla zostały wykrwawione i zmuszone do opuszczenia Polski do lipca 1947 roku. Kureń (batalion) „Zalizniaka", działający w okolicach Lubaczowa, pomimo dużych strat dotrwał do września. Akcję „Wisła" przetrwały natomiast niemal nieruszone oddziały UPA na Lubelszczyźnie. W sierpniu przeprowadziły one szereg ataków na pododdziały WP, zabijając kilkudziesięciu żołnierzy, i dopiero wtedy zostały rozwiązane. Co ciekawe, lubelskie oddziały UPA przetrwały również dlatego, że w lipcu 1947 roku duża część sił odpowiedzialnych za zwalczanie partyzantki na Lubelszczyźnie została skierowana do polowania na grupy poakowskiego podziemia, które dokonały napadu na Puchaczów.

Czy byłaby możliwa pacyfikacja podziemia bez akcji wysiedleń? Czy rzeczywiście ludność ukraińska, łemkowska, mieszana wspomagałaby oddziały ukraińskie?

Grupy partyzanckie zostałyby zniszczone w porównywalnym czasie i przy porównywalnych stratach, ponieważ o ich klęsce nie przesądził brak ludności cywilnej na tym terenie, tylko duża aktywność wojska. Gdyby była ona równie wysoka już w 1946 roku, to partyzanci straciliby możliwość działania. Odpowiednio duża liczba wojska, a takiej użyto podczas akcji „Wisła", zablokowałaby ludność we wsiach, nie pozwalając jej na pomaganie partyzantom. Więcej czasu zajęłoby rozbicie struktur cywilnych. Wymagałoby to trudniejszej pracy agenturalnej, ale też stworzenia real-

eprasa.pl ea67704293

nej alternatywy dla ludności. W trakcie wywózek do ZSRR w latach 1944–1946 ludność została postawiona przed wyborem: wyjazd na wschód albo ukrycie się w lesie i pomaganie UPA. Przykład powiatu włodawskiego, gdzie wielu Ukraińców zaangażowało się w PPR, pokazuje, że taka propozycja współpracy mogłaby się spotkać z dużym zainteresowaniem. Działacze UPA w swoich meldunkach skarżyli się, że poparcie miejscowej ludności było w najlepszym razie falujące. Im bliżej miast, tym bywało gorzej. Wielu ludzi nie rozumiało sensu walki partyzanckiej. Nawet w UPA coraz częściej zdarzały się dezercje.

Jaki stosunek do akcji „Wisła" miała ówczesna główna partia opozycyjna – Polskie Stronnictwo Ludowe (PSL) Stanisława Mikołajczyka?

PSL zażądało powołania komisji śledczej do zbadania akcji „Wisła". W trakcie akcji doszło do przesiedlenia sporej grupy ludności polskiej, przeciwko czemu już w pierwszych dniach, a wręcz godzinach zaczęli protestować lokalni działacze PSL. Po części skutecznie, bo dzięki ich staraniom niektóre rodziny mogły powrócić do swoich domów. W lipcu w sejmie ustawodawczym złożono wniosek o powołanie komisji śledczej, podpisany przez Stanisława Mikołajczyka i jego najbliższe otoczenie. Oczywiście podstawą wniosku były przypadki wysiedlania ludności polskiej. Jednak znalazło się w nim jedno wiele mówiące zdanie, że należy zbadać całokształt operacji. PSL-owcy nie mogli złożyć wniosku dalej idącego, bo bezpośrednie opowiedzenie się po stronie ludności ukraińskiej byłoby natychmiast przedstawione jako „sojusz z banderowcami".

Generał Gustaw Paszkiewicz latem 1947 roku w czasie wystąpienia w sejmie, powołując się na własne rzekome doświadczenia, opowiedział o schwytanej bandzie, w której skład wchodzili Niemcy, Ukraińcy i działacze PSL, co było oczywistym kłamstwem. Trzeba pamiętać, że posłowie PSL byli nieustannie atakowani przez władze. Niezależnie od nacisku policyjnego prowadzono wobec nich w środkach masowego przekazu istną kampanię nienawiści. Dlatego już samo złożenie wspomnianego wniosku wymagało wiele odwagi, został on jednak odrzucony przez PPR.

Jak zmieniła się polityka polskich komunistów wobec Ukraińców po 1952 roku?

W kwietniu 1952 roku kierownictwo PPR przyjęło uchwałę, która zalecała poczynienie kulturowo-narodowych ustępstw na rzecz mniejszości ukraińskiej. Od tego momentu kultywowanie języka i kultury przez tak zwanych osadników z akcji „Wisła" przestało samo w sobie być uważane przez władze za coś potencjalnie wrogiego wobec państwa.

To ważny dokument, ponieważ faktycznie kierownictwo PZPR zrezygnowało wtedy z prowadzonej od 1947 roku polityki wymuszonej polonizacji na rzecz asymilacji państwowej. Zmianę polityki

eprasa.pl ea67704293

tłumaczono chęcią ulżenia niedoli mniejszości ukraińskiej, ale trudno uwierzyć, by to był jedyny powód. Być może miało to związek z przygotowaniami do uchwalenia konstytucji PRL, gdzie mimo wszystko mocniej gwarantowano poszanowanie praw obywatelskich. W rezultacie kontynuowanie wobec mniejszości ukraińskiej polityki tak jawnie gwałcącej przepisy konstytucji uznano za ryzykowne, bo dawało oczywisty oręż przeciwko kierownictwu partii w razie wewnętrznych czystek. Tak czy inaczej, w mojej ocenie, w latach 1947–1952 PPR i PZPR uprawiały politykę w istocie etnobójczą. Nigdy wcześniej w historii Polski nie zdarzyło się, żeby władze prowadziły planową politykę niszczenia tożsamości mniejszości narodowej. Tego typu postulaty zgłaszali co prawda endecy, ale nigdy nie przybrało to charakteru ogólnopaństwowego.

Akcja „Wisła" została określona mianem etnocydu. Co to takiego?

Etnocyd to inaczej ludobójstwo kulturowe. Mówimy o nim, kiedy jakaś grupa etniczna zostaje pozbawiona prawa do korzystania, rozwijania i przekazywania własnej kultury i języka, co ma w konsekwencji doprowadzić, bez stosowania metod fizycznej eliminacji, do jej kulturowego zaniknięcia.

Czy w III RP akcja została potępiona przez demokratyczne władze? Czy w jakikolwiek sposób zadośćuczyniono ofiarom i ich potomkom?

Akcję „Wisła" potępił Senat RP w 1990 roku w specjalnej uchwale. Senatorowie pierwszej kadencji wybrani z ramienia „Solidarności" wykazali się wtedy dużym wyczuciem etycznym i historycznym. Żałuję, że Instytut Pamięci Narodowej, choć już dziesięć lat temu wszczął śledztwo w sprawie akcji „Wisła", to do dziś nie przedstawił żadnego wniosku końcowego, który pokazałby zbrodniczość polityki władz stalinowskiej Polski.

Prof. dr hab. Grzegorz Motyka jest historykiem, politologiem, pracownikiem Instytutu Studiów Politycznych PAN, zajmuje się problematyką stosunków polsko-ukraińskich po 1939 roku oraz kwestią antykomunistycznego oporu w Europie Środkowej po 1944 roku. Napisał m.in. książki *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła". Konflikt polsko-ukraiński 1943–1947* (2011) i *Akcja Wisła '47. Komunistyczna czystka etniczna* (2023).

eprasa.pl ea67704293

Zawodowa ukrainizatorka

Urszula Pieczek

Od 24 lutego 2022 roku Oksana Zabużko jest w drodze. Od momentu, kiedy na Kijów spadły pierwsze rakiety, nie wróciła do domu. Już od ponad roku intensywnie próbuje uświadomić światu, czym tak naprawdę jest Rosja i co widzą w niej Ukraińcy i Ukrainki. W swojej twórczości zmagała się z tym od dawna.

Oksana Zabużko 23 lutego 2022 roku przyjechała do Polski na promocję zbioru esejów *Planeta Piołun*. Dzień później wybuchła wielka wojna w Ukrainie. Pisarka, która przybyła wtedy z jedną walizką, nie wróciła do domu do dziś. W międzyczasie na zamówienie włoskiego wydawcy napisała książkę *Najdłuższa podróż*, która miała pokazać Europie, czego ta konsekwentnie nie zauważała od 2014 roku, czyli od rzeczywistego wybuchu wojny. Ten emocjonalny esej (na język polski przełożyła go Katarzyna Kotyńska) pokazuje jednak, że wielka wojna między Rosją a Ukrainą nie rozpoczęła się ani w 2014 roku, ani w 2022 roku. Jej korzenie sięgają dużo głębiej. *Najdłuższa podróż* to najbardziej polityczna książka Zabużko, która boleśnie pokazuje, jak Zachód pomylił się w postrzeganiu Rosji, jak nie docenił Ukrainy i skąd bierze się zło, które obserwujemy w zasadzie na bieżąco, przyglądając się wiadomościom z wojny.

Zabużko „badania terenowe po ukraińskiej tożsamości" prowadzi od początku swojej pracy twórczej, a jest ona niezwykle płodną i konsekwentną autorką. Wraz z kolejnymi książkami rozprawia się z postkolonialną spuścizną Ukrainy, zależy jej na mówieniu o dumie, podmiotowości i niezależności Ukrainek i Ukraińców. W swoim najnowszym eseju pokazuje jednoznacznie, dlaczego naród ukraiński jako jedyny nie boi się Rosji. Ale jak to wszystko się zaczęło?

Oksana Zabużko uchodzi za jedną z najbardziej barwnych postaci kojarzących się z feministyczną literaturą niepodległej Ukrainy, angażuje się w promocję swojego kraju na świecie. Jest autorką nie tylko utworów prozatorskich, ale również eseistką, poetką i tłumaczką. Po wszystkich latach nieobecności kobiety w literaturze ukraińskiej właśnie Zabużko – kobieta autorka – wydanymi w 1996 roku *Badaniami terenowymi nad ukraińskim seksem* wykreowała nową, silną kobietę bohaterkę. *Badania terenowe…* okazały się wielkim sukcesem wydawniczym.

„I właśnie książka współczesnego ukraińskiego autora *Badania terenowe nad ukraińskim seksem* okazała się wielkim sukcesem komercyjnym. Precedensem było

eprasa.pl ea67704293

to, że współczesna ukraińska literatura może być rynkowa. Zależało mi na tym. Przez prawie cały rok chodziłam na wszystkie wywiady, udzielałam dwóch wywiadów dziennie. To był eksperyment" – mówiła Oksana Zabużko w rozmowie z Tarasem Prochaśką.

Zabużko, wydając w 1996 roku *Badania terenowe…*, w pewien sposób przełamała złą passę, uświadamiając, że ukraińskojęzyczna beletrystyka może być rynkowa. Do 2009 roku w Ukrainie książka pojawiła się w dziesięciu wydaniach, ponadto była tłumaczona na pięć języków, w tym niemiecki, francuski i polski.

Zapytajmy, o czym jest ta książka, która wywołała tyle sensacji na rynku wydawniczym. Nie sposób udzielić jednoznacznej odpowiedzi. *Badania terenowe…* to polifoniczna powieść, której narracja prowadzona jest w formie wykładu akademickiego, przecinana retrospekcjami przeszłości, wspomnieniami obnażającej się (choć nie do końca) przed czytelnikiem kobiety. *Badania terenowe…* często nazywane były ukraińską odyseją seksualną lub biblią ukraińskiego feminizmu – wiele kobiet podkreśla, że utożsamiają się z bohaterką, z jej myślami i zachowaniami. *Love story* opowiadające o życiu dwóch inteligentów w Ameryce jest właściwie retrospekcją kobiecości. Odsłonięciem wszystkich blizn na kobiecym ciele pozostałych po ranach zadanych przez historię państwa kolonizującego i kolonizowanego oraz brak odwagi, by mówić o człowieku, który jest kobietą.

Jak pisze autorka: „Być może sukces *Badań terenowych…* tym właśnie da się wytłumaczyć, że dramat miłosny, w całej jego psychofizycznej złożoności, został tu wpisany w historyczne współrzędne końca wieku". Powieść stała się zarówno bestsellerem, jak i skandalem. Już od momentu wydania książki pojawiło się wiele przychylnych i krytycznych recenzji. Zarzucano Zabużko, że „wysoką tragedię narodową ukazuje przez pryzmat intymnego doświadczenia kobiecego, które wówczas w Ukrainie do wysokiej kultury nie było dopuszczane". Raził nienormatywny, nieprzystający kobietom język narracji i sama narracja, która od tej prowadzonej w trzeciej osobie staje się w pewnym momencie personalną, w żaden sposób nie pozwala nam oddzielić narratorki od bohaterki, co wzmacnia urywająca się i na pozór chaotyczna faktura tekstu. Zarzucano autorce naruszenie świętości, jednak dla społeczeństwa najważniejsze okazało się to, że po wielu latach milczenia Ukrainka mogła przeczytać w tekście literackim o sobie – dotąd nieznanej kobiecie, dzięki czemu mogła uwierzyć we własną siłę. Kobieta w literaturze pozostawała białą plamą, której nie można określić. *Badania terenowe…* wywołały falę dyskusji, dzięki czemu książka jest wciąż żywa. Udowodniono, że literatura kobieca może sprowokować gorący dyskurs, co też podnosi wartość pisarstwa kobiecego. Dzięki tej książce przełamano w literaturze ukraińskiej wiele tematów tabu i udowodniono, że kobieta może pisać tak nienormatywnym i momentami agresywnym językiem, jak męż-

eprasa.pl ea67704293

czyźni. Zabużko niejednokrotnie podkreśla, że wiele jej czytelniczek i czytelników w tej książce odnalazło siebie.

Warto zwrócić uwagę na to, że chociaż autorka nie wychodzi z agresywnego „programowego" feminizmu ściśle związanego z walką przeciwko mężczyznom, jej powieść spełnia cechy pisarstwa kobiecego, feministycznego przez autobiografizm, autotematyzm. W kontekście *Badań terenowych...* należy zwrócić jeszcze uwagę na szeroko pojęty postkolonializm i na miejsce kobiety autorki w rzeczywistości poradzieckiej. Liczne retrospekcje przeszłości radzieckiej nadają wielki walor książce, która odszyfrowuje historię Ukrainy.

Najdłuższa podróż pokazuje Europejczykom to, czego konsekwentnie nie zauważali od 2014 roku, czyli od rzeczywistego wybuchu wojny.

Oksana Zabużko w wywiadzie udzielonym „Wysokim Obcasom" mówiła: „Swej powieści nadałam charakter postkomunistycznej psychoanalizy narodowej. Bohaterowie to dwoje ukraińskich intelektualistów. Piszę o tym, jak skutki gwałtu na narodzie oddziaływają na jednostki nawet w sytuacjach intymnych. Mężczyzna za swoje poniżenie odgrywa się na kobiecie w domu, w łóżku. Nie umiemy kochać, więc nie umiemy żyć (…). Może pierwsza wybitna książka w języku ukraińskim powinna mówić o bohaterstwie patriotów, o głodowym ludobójstwie, łagrach, więzieniach, wojnie. Czy jednak stałaby się wówczas znana? *Badania terenowe nad ukraińskim seksem* także o tym mówią. Z perspektywy osobistej. Pokazują spustoszenia, jakich dokonał komunizm, totalitaryzm i kolonializm w naszych duszach".

Badania terenowe... nie były debiutem prozatorskim Zabużko. Wydała w 1989 roku książkę pod tytułem *Księga Rodzaju. Rozdział Czwarty*. Bardzo dużym sukcesem wydawniczym i literackim okazał się zbiór opowiadań pod tytułem *Siostro, siostro* wydany w 2003 roku. Najważniejszą książką niepodległej Ukrainy, według niektórych krytyków, jest ponad ośmiusetstronicowa, monumentalna powieść Zabużko *Muzeum porzuconych sekretów* wydana pod koniec 2009 roku. Autorka pracowała nad nią ponad osiem lat, przebywała w archiwach, prowadziła badania i rozmowy z naocznymi świadkami wydarzeń sprzed ponad połowy wieku. To historia trzech pokoleń, trzech różnych historycznych momentów, która dotyka w sposób subtelny wielu newralgicznych punktów z ukraińskiej historii.

Oksana Zabużko znana jest także jako komentatorka ukraińskiego życia. Swoją najnowszą książką dobitnie pokazuje zachodnim czytelnikom, czym jest Ukraina i skąd bierze się jej siła.

eprasa.pl ea67704293

Łemkowska sztuka to nie margines

Z Michałem Szymko, badaczem łemkowskiej i rusińskiej sztuki, rozmawia Tomasz Kobylański

TOMASZ KOBYLAŃSKI: Kim jesteś?

MICHAŁ SZYMKO: Istnieją dwie perspektywy – kim jestem dla siebie i kim jestem dla innych. Te perspektywy pokazują całą moją życiową drogę i wszystko to, co udało mi się do tej pory stworzyć lub zniszczyć. Chcę tutaj uniknąć ogólnych stwierdzeń – jestem historykiem sztuki, ukrainistą, Polakiem, Łemkiem, synem, partnerem, przyjacielem. Moje poczucie wewnętrznego „ja" zmienia się, jest niejednorodne. Nie zatrzymuję się, ciągle jestem głodny świata, wiedzy i spotkań. Ostatnio zapisałem się na kurs języka rumuńskiego.

To na pewno przydatne w kontekście Twoich zainteresowań badawczych.

Tak! Zajmuję się sztuką łemkowską i rusińską. Aby móc wniknąć w nią głębiej, potrzebuję narzędzia, jakim jest język. Odkryłem dla siebie całkowicie nową i nieznaną sferę, która za jakiś czas będzie częścią tego, kim jestem. Moja tożsamość jest wynikiem splotu nieskończenie wielu okoliczności. Jest konstrukcją społeczną poniekąd zależną od czasu i miejsca.

Pochodzisz jednak z niewielkiej wsi Iwla na Podkarpaciu. Od lat mieszkasz w Warszawie, gdzie starasz się przekonywać, że tradycje i kultura Łemków zachwycają.

Zgadza się, pochodzę z małej wioski na pograniczu polsko-słowacko-łemkowskim. Iwla jest wioską etnicznie polską, ale z racji pochodzenia mojego taty wyrosłem także w Zyndranowej. Lubię pogranicza za ich przenikanie się, nieoczywistość i bogactwo kulturowe. Kultury narodowe mają wiele konkretnych cech, stanowią jeden z elementów świadomości narodowej, a te małe miejsca na pograniczach nijak nie dadzą się w nie wpisać. I wszystko to, co wytwarzane jest dzięki tej niemożliwości, jest najciekawsze. Tak jest właśnie ze sztuką łemkowską.

Myślę, że jeśli istnieje jakiś naród lub mniejszość, to posiada swój wewnętrzny kod. Idąc dalej, jeśli istnieje taki kod, to powinien być ktoś, kto będzie go ochraniał, przechowywał i mówił o nim szerzej. Opiekun. Ja po prostu mówię i pokazuję. Tak jak moja ukochana Julia Doszna śpiewa. O nas Łemkach, o historii.

Zatrzymajmy się tutaj na chwilę.

Gdy wracam wspomnieniami do dzieciństwa, widzę tatę, który często w kuch-

eprasa.pl ea67704293

ni śpiewał łemkowskie pieśni wykonywane przez Julię Dosznę. Do tej pory jego ukochaną jest *Oj, wersze, mij wersze* (*Оŭ, верше, мій верше*). Tata powtarza, że nie może słuchać nowoczesnych interpretacji, według niego są one pozbawione prawdy i pewnego rodzaju nostalgii. Jedynie Julia potrafi go wzruszyć i przypomnieć życie w dawnej Zyndranowej. Zgadzam się z nim. Myślę, że Doszna posiada dar. Im jestem starszy, tym wyraźniej rozumiem, o czym śpiewa. I po co to robi. Po każdym jej występie bardzo długo noszę w sobie wszystkie emocje. Jestem nimi przepełniony. Gdziekolwiek w świecie bym był, to zawsze dzięki Julii przenoszę się do domu. Podobnie zresztą mam z obrazami Nikifora.

Czy odkrycie Nikifora Krynickiego i późniejsze upowszechnianie jego twórczości, a także wyreżyserowanie filmu *Mój Nikifor* przez Krzysztofa Krauzego było przełomem w postrzeganiu sztuki łemkowskiej?

Patrząc z perspektywy badacza sztuki łemkowskiej, z jednej strony tak, bo ludzie zaczęli szerzej mówić o Łemkach, a z drugiej – niekoniecznie.

Dlaczego?

Prowadziłem niedawno kwerendy muzealne dotyczące prac łemkowskich artystów i artystek w kolekcjach polskich muzeów. Trzeba przy tym zaznaczyć, że Łemkowie żyją i tworzą w obrębie terytorialnym Polski, więc ich twórczość jest także częścią dziedzictwa polskiego. I wiesz, co mnie zaskoczyło? W muzeach narodowych, etnograficznych, sztuki współczesnej i nowoczesnej, oprócz kilku ikon, prac Nikifora i paru części odzieży, nie ma żadnych prac łemkowskich twórców. Nikt nie jest nimi nawet zainteresowany. Tak jakby Łemkowie wyparowali z polskiej historii. Wyjątkiem jest wrocławskie Muzeum Etnograficzne, będące filią Muzeum Narodowego we Wrocławiu. W swojej kolekcji mają prace Jana Mychalaka, który był Łemkiem przesiedlonym na Dolny Śląsk. Urodził się w Gładyszowie, po 1947 roku mieszkał w Wichrowie koło Środy Śląskiej. Muzeum w swoich zbiorach posiada jedenaście obiektów jego autorstwa – to bardzo ciekawe wielopostaciowe rzeźby czy makiety, niektóre ruchome.

Trudno uwierzyć w ten brak recepcji.

Mamy czym się pochwalić. W spuściźnie sztuki łemkowskiej są artyści, którzy tworzą od sztuki naiwnej, przez modę, fotografię, aż po abstrakcję. Myślę tutaj między innymi o Kasi Szwedzie, Dawidzie Zdobylaku, Teodorze Kuziaku czy Władysławie Rewaku. Z Rewakiem w ogóle jest ciekawa historia. Ukończył Wyższą Szkołę Inżynierską w Rzeszowie, w szkolnictwie pracował dwadzieścia trzy lata jako nauczyciel przedmiotów zawodowych, a już jako dojrzały mężczyzna zaczął malować. Trochę po to, by nie zapomnieć. Utarło się powiedzenie, że akwarele to obrazki, a olejne to prawdziwe obrazy. Rewak udowadnia, że nic

eprasa.pl ea67704293



Archiwum prywatne

Jeśli istnieje jakiś naród lub mniejszość, to posiada swój wewnętrzny kod. Ktoś musi go ochraniać, być jego opiekunem. Ja po prostu mówię i pokazuję. Tak jak moja ukochana Julia Doszna śpiewa. O nas Łemkach, o historii.

bardziej mylnego. Ostatnio, gdy rozmawialiśmy, pokazywał mi swoje nowe łemkowskie pejzaże.

Prac Łemków próżno szukać w muzeach. Są jednak takie osoby jak ty. Choć dzieje się to bardzo powoli i chyba potrzeba szerszego procesu, to kropla drąży skałę.

To przede wszystkim zasługa wielkich łemkowskich badaczy i działaczy, którzy swoją pracą wpłynęli na to, że o Łemkach w ogóle zaczęto mówić. Myślę tu między innymi o Teodorze Goczu, założycielu Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej, łemkowskich poetach Petrze Muriance (Piotrze Trochanowskim) i Pawle Stefanowskim, Bogdanie Gambalu, zespole łemkowskiego radia Lem.fm. Poza tym wyrosłem na tekstach profesora Paula Roberta Magocsiego. Jest to historyk, który znaczną część swojego życia poświęcił Rusinom karpackim, w latach 2005–2009 był przewodniczącym Światowej Rady Rusinów. W tamtym roku miałem zaszczyt być jednym z uczestników szkoły letniej na Uniwersytecie w Toronto organizowanej przez Carpatho-Rusyn Research Center i poznać go osobiście. Profesor Magocsi zaprosił nas, młodych badaczy, do siebie do domu. Ma imponującą kolekcję sztuki rusińskiej, w tym oryginalnego Atanasa Fedynca. Z Polski była nas trójka młodych doktorantów – ja od sztuki, Marta Watral, która zajmuje się literaturą łem-

eprasa.pl ea67704293

kowską, i Ania Maślana, która bada język łemkowski. To wielka radość, że o Łemkach mogłem opowiadać w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Rosji, Słowacji, a niedługo lecę do Mołdawii.

Łemkowska twórczość jest upowszechniana raczej w skali mikro. Mam tu na myśli chociażby przykład niewielkiego podkrakowskiego wydawnictwa Żyznowski. Wydało ono niedawno publikacje łemkowskich twórców – Bolesława Bawolaka i Mikołaja Gabły. Pierwszy z nich przez całe swoje życie zbierał i zapisywał łemkowskie przysłowia. Zgromadził ich w sumie siedem tysięcy!

Dokładnie! Ta oficyna i inne małe wydawnictwa udowadniają, że są czytelnicy zainteresowani kulturą łemkowską. W publikacji Bolesława Bawolaka świetnie „przemycone" są też prace wspomnianego już przeze mnie łemkowskiego malarza Teodora Kuziaka. Wszędzie wożę ze sobą te dwie publikacje, bo oprócz wartości merytorycznej są także pięknie wydane. Do pełnej trylogii łemkowskiej brakuje tam jeszcze trzeciej – dotyczącej sztuki.

Jeśli mógłbyś zdecydować, to jakiego rodzaju publikacja na temat sztuki powinna znaleźć się w takiej trylogii?

Ze sztuką łemkowską mamy taki problem, że nikt się nią wcześniej nie zajmował (pomijając opracowania o Nikiforze i ikonach). Parę lat temu zacząłem spisywać, badać, fotografować, rozmawiać. Zebrałem grupę współczesnych łemkowskich twórców, którzy żyją obok siebie, a nie mieli o sobie wzajemnie pojęcia. Chciałbym zacząć od podstaw, od historii sztuki łemkowskiej.

Czyli chciałbyś przemówić głosem tych, którzy przez lata tworzyli, a dzisiaj pamięć o nich zaginęła?

Tak. Myślę tutaj szczególnie o rzeźbiarzach z wiosek Wólka i Bałucianka. Tamtejsi Łemkowie oprócz uprawą ziemi i hodowlą bydła zajmowali się dodatkowo obróbką drewna. Najbardziej skomplikowaną i wymagającą największej doskonałości formą pracy z nim było tradycyjne rzeźbiarstwo artystyczne. Główną tematyką prac była miłość do rodzinnego domu i przyrody, szczególnie do świata roślin i zwierząt. Wśród prac tworzonych w tamtym okresie znajdziemy między innymi płaskorzeźby przedstawiające liście różnych drzew (dębu, klonu, jaworu), grona winorośli. W zbiorach Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej znajdują się także niesamowite rzeźby jednego z najważniejszych łemkowskich artystów – Andrija Suhorskiego. Szczególnie bliskie są mi te, które przedstawiają postać Łemka.

Oprócz tego miejscowi twórcy rzeźbili dekoracyjne talerze, tace, nadając im formę poprzeplatanych liści górskich drzew z gronami winorośli. Płaskorzeźbę należy traktować więc jako najstarszą formę rzeźbiarstwa łemkowskiego. Wszystko zakończyło się wraz z ekspatriacją tamtejszych Łemków do Ukrainy. Część z nich

eprasa.pl ea67704293

tworzyła nadal, część twórców natomiast musiała skupić się na wyżywieniu rodziny i całkowicie przestała rzeźbić. To doświadczenie analizuje w swojej instalacji *Wrąb* Jakub Jakubowicz. Artysta zainicjował przeniesienie ozokerytu z Truskawca do Wólki i osadził go w nienaturalnych warunkach i otoczeniu. Działanie to jest świadomym odwróceniem sytuacji przesiedlenia. To jeden z ważnych głosów współczesności, w którym widzimy przeszłość, ale także zachodzące zmiany.

Który ze współczesnych łemkowskich artystów najlepiej pokazuje w swojej twórczości zmiany zachodzące w obrębie kultury?

Jest kilka takich osób, łemkowscy artyści i artystki w ciągu ostatnich lat szczególnie często poruszają temat tożsamości. Niektórzy za pomocą własnych prac chcą szerzej mówić o swoim pochodzeniu, inni, tworząc, szukają swoich korzeni. To trudne, bo od sztuki łemkowskiej wymaga się jednocześnie, by spełniała kryteria estetyczne, ale także była swoistym artefaktem pamięci i tożsamości. Ten wpływ współczesności na tradycyjną kulturę łemkowską widać bardzo dobrze w kolekcji *Łemkowyna* Anny Marii Zygmunt. Artystka w symboliczny sposób umieściła kulturę, jądro tożsamości łemkowskiej, w modzie, a dokładniej przerobiła łemkowski strój ludowy i oprawiła go w ramy współczesności. Modyfikując tradycyjne lajbiki, czuhy, krywulki, swobodnie dobrała środki komunikowania się z odbiorcą i ogłosiła tym samym postulat rozmywania granicy pomiędzy sztuką a życiem, przeszłością a teraźniejszością, męskością a kobiecością.

Pozostaje też pustka pozostawiona przez Łemków po akcji „Wisła". Czy ktoś ze współczesnych artystów porusza w swojej twórczości ten temat?

Tak, na przykład ja. Wspólnie z Dominiką Chmielewską stworzyliśmy cykl kolaży *Łemkowie. Terra Incognita*. Jestem z niego bardzo dumny. Prace trwały kilka lat. W pierwszej fazie jeździłem po opuszczonych wioskach i fotografowałem tę wszechogarniającą pustkę. To było dla mnie trudnym doświadczeniem. Bo jak wytłumaczyć, że kiedyś było tutaj życie, a dzisiaj jest ta przeszywająca cisza? Wielokrotnie zadawałem sobie pytanie, co byłoby, gdyby akcja „Wisła" nigdy się nie wydarzyła. Jak wyglądałoby dzisiaj życie w tych wioskach? Dlatego na te wykonane współcześnie zdjęcia wklejone zostały archiwalne fotografie. Chciałem połączyć przeszłość z teraźniejszością.

A starsze pokolenie łemkowskich artystów?

Tutaj mamy do czynienia z innym rodzajem pustki, a mianowicie ze zjawiskiem bezimiennych twórców. Do tej pory znajdują się łemkowskie rzeźby sprzedawane początkowo w Rymanowie i Iwoniczu, a następnie, po ekspatriacjach, w Truskawcu i Tarnopolu. Nikt nie wie, kto był ich autorem. Podejrzewam, że w kolekcjach polskich muzeów także znajdują się prace łemkowskich artystów,

eprasa.pl ea67704293

ale nikt o tym nie wie. W czasie gromadzenia zbiorów (przede wszystkim w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku) często nie zapisywano niestety informacji na temat tożsamości etnicznej czy wyznania artystów plastyków, inaczej niż na przykład w przypadku strojów. To ciężka praca u podstaw.

O Łemkach i sztuce łemkowskiej będzie jeszcze głośno?

Oczywiście. W kwietniu w litewskiej Kaunas Picture Gallery, oddziale Narodowego Muzeum Sztuki w Kownie, zaprezentowana zostanie wystawa Nikifora *Nikiforas. Lenkijos Naive Art Meistras.* Pokazanych będzie ponad sto prac z kolekcji Muzeum Etnograficznego w Warszawie. Wystawa przedstawi przekrojowo dorobek malarza i obejmie wszystkie podejmowane przez niego tematy: pejzaż, architekturę miejską i fantastyczną, dworce kolejowe, wnętrza świątyń i sklepów oraz postacie świętych. Budujące są te wszystkie inicjatywy, natomiast w publikacjach im towarzyszących o Łemkach mówią polscy badacze. Czekam, kiedy do dyskusji zaproszeni zostaną łemkowscy uczeni.

Smuci jednak to, że Muzeum Kultury Łemkowskiej w Zyndranowej z roku na rok traci finansowanie. Decyzją Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji dotacje na działalność i utrzymanie muzeum na 2023 rok zostały mocno obniżone w stosunku do finansowania w latach ubiegłych. Przez to jest ono obecnie nieczynne dla zwiedzających i nie wiadomo, jak będzie wyglądało jego funkcjonowanie w kolejnych miesiącach.

A przecież Łemkowszczyzna to obszar chyba coraz chętniej odwiedzany przez turystów. Władzom raczej powinno zależeć na tym, aby zachęcać ich właśnie do wizyt w szerzej nieznanych zakątkach kraju i poznawania tradycji naszych małych ojczyzn?

Też tak uważam, więc tym bardziej nie rozumiem tych decyzji. Muzeum w tym roku prawdopodobnie nie będzie w stanie opłacić pracownika, mediów i dokonać niezbędnych przeglądów. Mam nadzieję, że przyszłość, która czeka łemkowskie instytucje, działaczy i badaczy, będzie nie tyle głośna, ile spokojna, i pozwoli skupić się na pracy, a nie walce o głos i przetrwanie.

Michał Szymko jest historykiem sztuki, łemkoznawcą, ukrainistą i doktorantem nauk o kulturze Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Zajmuje się sztuką łemkowsko-rusińską.

eprasa.pl ea67704293

Robota na kraj

Z Kamilą Łabno-Hajduk, autorką biografii *Zofia Hertz. Życie na miarę Kultury*, rozmawia Piotr Leszczyński

PIOTR LESZCZYŃSKI: Zofia Hertz była niezwykłą świadkinią historii XX wieku. Nic przecież w jej biografii nie było oczywiste i przesądzone z góry. Urodziła się w Warszawie… No właśnie: w 1910 czy 1911 roku?

KAMILA ŁABNO-HAJDUK: Zdecydowanie tak, jej biografia była nietypowa i pełna niezwykłych zbiegów okoliczności. Urodziła się w Warszawie, ale większość życia przed 1939 rokiem spędziła w Łodzi. Trudno powiedzieć, z którym miastem utożsamiała się bardziej. Gdybym miała zgadywać, to pewnie wskazałabym na Łódź. Dorastanie w Warszawie to nie był najszczęśliwszy czas. Rozstanie rodziców, a potem choroba matki i jej przedwczesna śmierć. Gdy po latach Hertz wróciła do Warszawy, by podjąć studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim, borykała się z poważnymi kłopotami finansowymi, które przesądziły ostatecznie o przerwaniu nauki, choć nie był to oczywiście jedyny powód. Jej dzieciństwo i dorastanie obciążyły trudne sytuacje. Okres łódzki natomiast to czas, gdy po kilkuletnim przemieszkiwaniu u krewnych i na stancjach Zofia usamodzielniła się w sensie finansowym i lokalowym. I wreszcie poznała Zygmunta Hertza, z którym stworzyli udane małżeństwo.

Ale przede wszystkim została pierwszą notariuszką nie tylko w Łodzi, ale w skali całej Polski. To było coś! Pisma lokalne nie bez sensacji rozpisywały się w tonie – „Łodzianka pierwszym kandydatem na rejenta w Polsce!". Jej przełożony, Apolinary Karnawalski, był bardzo dumny, że to jemu przypadło w udziale współpracować z Zofią Hertz i że to w jego kancelarii dokonuje się emancypacja kobiet w notariacie. Gdzie tylko mógł, chwalił się, że to u niego pracuje ta „słynna łodzianka".

A z rokiem urodzenia Zofii Hertz wiąże się zagadkowa historia, która sięga czasu wojny. We wrześniu 1939 roku wraz z mężem Zygmuntem Hertzem znaleźli się na terenach okupowanych przez wojska radzieckie, gdzie podzielili los wielu Polaków. Zostali aresztowani przez NKWD, a następnie wywiezieni na daleką północ ZSRR, do łagrów, gdzie pracowali przy wyrębie lasu w posiołku Cyngłok w Maryjskiej Autonomicznej Republice Radzieckiej. Czternaście miesięcy spędzonych w łagrze, w tym ciężka praca fizyczna po kilkanaście godzin dziennie, było dla Hertzów czasem ciężkiej próby. Zazwyczaj to Zofia stanowiła opokę, nigdy nie brakowało jej hartu ducha, ale ten trudny okres poważnie ostudził jej wolę życia. To był jeden z nielicznych momen-

eprasa.pl ea67704293

tów, które – co prawda tylko na chwilę – ją złamały. Zygmunt natomiast do końca wierzył, że w końcu wyjdą z „nieludzkiej ziemi" i że ich życie będzie kiedyś inne. I miał rację. Zostali zwolnieni w ramach amnestii polskich więźniów na mocy układu Sikorski–Majski. Przyjechali do Buzułuku, gdzie formowały się oddziały Armii Polskiej w ZSRR pod dowództwem generała Władysława Andersa. Nikt z rekrutujących nie chciał dać wiary w to, że Zofia Hertz jest pełnoletnia (!). Od tamtego momentu podawała 1911 jako rok swojego urodzenia. Trudno powiedzieć, dlaczego odjęła sobie akurat rok. Gdy szła do wojska, do ochotniczej służby kobiet, miała trzydzieści jeden lub, jak wynikało z rekrutacyjnych dokumentów wojskowych, trzydzieści lat.

Podczas służby wojskowej poznała Józefa Czapskiego i Jerzego Giedroycia. Tak zaczęła się ich współpraca, która zaowocowała powstaniem Instytutu Literackiego i legendarnej paryskiej „Kultury", miesięcznika wydawanego nieprzerwanie od 1947 do 2000 roku.

Spotkanie Józefa Czapskiego, a potem Jerzego Giedroycia odmieniło losy Hertz. Jakby w jednej chwili zaczęła, po miesiącach spędzonych w łagrach, odzyskiwać sens i wolę życia. Praca przy wydawnictwach Armii Polskiej na Wschodzie (przekształconej później w 2. Korpus Polski) – czy to w tygodniku „Orzeł Biały", czy piśmie „Parada" – pozwoliła jej poznać kuchnię pracy redakcyjnej, której po wojnie nie chciała przerywać. A jeszcze bardziej nie chciała kończyć swojej współpracy z Giedroyciem. Późniejszy redaktor „Kultury" mocno wierzył w posłannictwo słowa, wierzył w moc literatury i tym myśleniem zaraził też Zofię Hertz. Praca w imię czegoś i na rzecz czegoś wydała się jej dalece bardziej satysfakcjonująca niż to, czym zajmowała się przed wojną.

Giedroyc zafascynował ją także jako mężczyzna. Doskonały wgląd w rozwój tej relacji – i różne jej etapy – daje korespondencja tych dwojga (korpus liczy około czterystu dwudziestu listów, nad ich edycją krytyczną pracujemy obecnie z profesorem Sławomirem M. Nowinowskim). Co ciekawe, na początku znajomości nie przypadli sobie do gustu, to znaczy pierwsze wrażenie nie było dobre. Nie trwało to długo. Zaprzyjaźnili się i przyjaźń ta trwała przez kolejne sześćdziesiąt lat.

Twoja książka *Zofia Hertz. Życie na miarę Kultury* to pierwsza biografia wydana w dwadzieścia lat po śmierci dobrego ducha domu w Maisons-Laffitte, jak o niej często mawiano. Dlaczego tak długo czekaliśmy na jej pełną biografię? Przecież bohaterka naszej rozmowy nie jest ani nieznana, ani tym bardziej zapomniana?

Wciąż czekamy na biografie wielu emigrantek, których rola w środowisku polskiej emigracji po 1945 roku była znacząca. Nie mamy biografii Marii Czapskiej, Marii Danilewicz-Zielińskiej, Anieli

eprasa.pl ea67704293



Archiwum prywatne

Zofia Hertz, choć odegrała kluczową rolę w kształtowaniu się i trwaniu polskiej wyspy w podparyskim Maisons-Laffitte, to jednak nie pracowała twórczo. Zostawiła po sobie w przeważającej mierze pisma urzędowe oraz korespondencję z subskrybentami wydawnictw Instytutu Literackiego i przyjaciółmi.

eprasa.pl ea67704293

Mieczysławskiej *de domo* Lilpop, Marii Prądzyńskiej, Karoliny Lanckorońskiej, a to dopiero początek tej długiej listy wstydu. Te znakomite uczestniczki polskiego życia emigracyjnego nie doczekały się jeszcze zainteresowania, na które bez wątpienia zasługują.

Zofia Hertz, choć odegrała kluczową rolę w kształtowaniu się i trwaniu polskiej wyspy w podparyskim Maisons-Laffitte, to jednak nie pracowała twórczo. Zostawiła po sobie dokumenty, ale w przeważającej mierze są to pisma urzędoweo raz korespondencja z subskrybentami wydawnictw Instytutu Literackiego i przyjaciółmi. Odpowiadała za pracę administracyjną, bez której Instytut nie mógłby istnieć, a jednak nie zapisała się złotymi zgłoskami w takim znaczeniu, jak dzieje się to z wielkimi wydawcami i redaktorami czy pisarzami i tłumaczami. Można wręcz powiedzieć, że jej biografia nie prosiła się o spisanie, bo choć Hertz współtworzyła fenomen na europejskiej mapie intelektualnej, kluczowy dla demokratyzacji krajów Europy Środkowej i Wschodniej po 1989 roku, to czyniła to od strony najbardziej niewdzięcznej, bo tej codziennej, niezbędnej dla funkcjonowania, ale w gruncie rzeczy niewidocznej. Warto też pamiętać o tym, że gdyby nie Redaktor „Kultury" i wytężona praca redakcyjno-korektorska Hertz, to wielu znanych dziś wybitnych autorów mogłoby po wojnie literacko nie zaistnieć, jak chociażby Witold Gombrowicz, Józef Wittlin, Jerzy Stempowski czy Andrzej Bobkowski.

Giedroyc mówił, że są trzy osoby tworzące paryską „Kulturę": Zofia Hertz, Juliusz Mieroszewski i on. To zdanie najlepiej dokumentuje jej rolę.

I tego zdania Jerzy Giedroyc nie zmienił do końca. Pokolenia autorów piszących do „Kultury" na przestrzeni dekad zmieniały się, jednak nikt inny w takim zakresie jak Juliusz Mieroszewski – czołowy eseista i publicysta, wyraziciel linii politycznej „Kultury", który sformułował doktrynę ULB (Ukraina, Litwa, Białoruś), będącą fundamentem myślenia tego środowiska o Wschodzie, jej echa widoczne są do dziś – i właśnie Zofia Hertz nie byli tak oddani sprawie. Hertz co najmniej kilkukrotnie udowodniła Redaktorowi swoją lojalność, stawiając nawet na szali trwałość swojego małżeństwa z Zygmuntem Hertzem. Dla spraw i rzeczy najważniejszych była skłonna poświęcić wszystko.

Do zespołu „Kultury", czyli grupy najściślej współpracującej z Redaktorem, należeli Gustaw Herling-Grudziński (do 1947 i od 1956 roku), mieszkańcy domu w podparyskim Maisons-Laffitte, czyli Zofia i Zygmunt Hertzowie, Józef Czapski (do 1960 roku, kiedy to bardziej zaczął poświęcać się malarstwu) oraz stale współpracujący, a mieszkający w Paryżu Henryk Giedroyc (od 1952 roku) i wspomniany Mieroszewski (do 1976 roku).

Jak zatem wyglądało życie redakcji? Nie obywało się chyba bez konfliktów i sporów?

Sporów i konfliktów nie brakowało, co nie dziwi, zważywszy na fakt, że willa

eprasa.pl ea67704293

w Maisons-Laffitte była nie tylko siedzibą redakcji, wydawnictwa i miejscem, gdzie odbywała się „robota na kraj", ale także domem mieszkalnym dla kilkorga niespokrewnionych ze sobą osób. Pod jednym dachem musieli ze sobą żyć ludzie o różnych temperamentach, charakterach i oczekiwaniach – małżeństwo Hertzów, Jerzy Giedroyc, Józef Czapski, Maria Czapska, bywający na co dzień Henryk Giedroyc. Do tego dochodziły regularne krótsze i dłuższe wizyty przyjaciół „Kultury" i przyjezdnych z Polski. Gustaw Herling-Grudziński począwszy od 1956 roku składał tam regularnie kilkutygodniowe wizyty, a w 1951 roku na dłużej zatrzymał się w Maisons-Laffitte także Czesław Miłosz.

Intensywność życia zawodowego i prywatnego w sposób nieuchronny prowadziła do konfliktów, a tych nie brakowało między innymi na linii Czapski–Giedroyc, Zygmunt Hertz–Giedroyc i Zofia Hertz–Maria Czapska. Stosunki w domu „Kultury" bywały osobliwe (Czapscy prowadzili osobne gospodarstwo, mieli własną kuchnię na piętrze) na tyle, że nawet chwilowi goście dostrzegali ich odrębność.

Bez względu na pojawiające się konflikty czy osłabiające się z czasem więzi Giedroyc głęboko przeżywał śmierć bliskich – Zygmunta Hertza (1979 rok), Józefa Czapskiego (1993 rok) i Juliusza Mieroszewskiego (1976 rok). To ważne cezury zarówno w historii Instytutu Literackiego, „Kultury", jak i prywatnie dla Zofii Hertz i Jerzego Giedroycia.

Czy coś szczególnie Cię poruszyło przy zbieraniu dokumentów do biografii Zofii Hertz?

To, jak intensywnie pracowali. Właściwie do utraty tchu. Wydawali „Kulturę" w trybie miesięcznym, „Zeszyty Historyczne" (od 1962 roku; najpierw jako półrocznik, później jako kwartalnik), do tego dochodziły książki, których było kilkanaście rocznie. Praca nad tekstami odbywała się ręcznie. Zofia Hertz częstokroć przepisywała rękopisy na maszynie i dopiero później przechodziła do ich opracowania. Skład i korekta również były robione ręcznie. Nie wspominając o sprawach administracyjnych, podatkowych, codziennym funkcjonowaniu, a także o obfitej korespondencji, którą każdy z członków zespołu prowadził. Oni naprawdę nie mieli swojego życia prywatnego, na to nie było czasu. Ich poświęcenie było bezgraniczne.

Co dziś pozostało z przesłania Instytutu Literackiego?

Instytucje, pisma, organizacje, które uprawiają „giedroyciowiznę". Jedne z lepszym, drugie z gorszym skutkiem, ale najważniejsze, że ta myśl wciąż jest żywa. Mówię o dorobku tego środowiska, o dokonaniach i jednak regularnemu powracaniu polskich intelektualistów do tego, co wiele dekad temu zostało w „Kulturze" opublikowane lub ukazało się nakładem Instytutu Literackiego.

Ostatnimi czasy sięgałam do dawnych artykułów publikowanych w „Kulturze" i nie mogłam się nadziwić, jak bardzo

eprasa.pl ea67704293

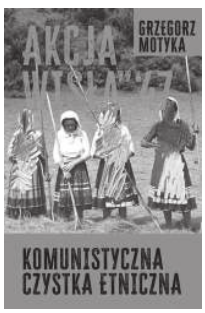
aktualne są diagnozy pojawiające się na jej łamach z końcówki lat czterdziestych i początku pięćdziesiątych XX wieku dotyczące rosyjskich działań dezinformacyjnych i prób destabilizacji mediów. Pamiętam też, jak Basil Kerski na konferencji jubileuszowej Instytutu Literackiego w Paryżu mówił o tym, jak bardzo myślenie polityczne „Kultury" w odniesieniu do doświadczenia polsko-niemieckiego w roku 2021 jest aktualne. Wciąż publikowana jest korespondencja Redaktora z uczestnikami emigracyjnego (i nie tylko) życia intelektualnego, co wzbogaca naszą wiedzę i raz po raz rzuca nowe światło na osiągnięcia w rozmaitych obszarach.

Kamila Łabno-Hajduk jest historyczką, politolożką, pracuje w Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Autorka wydanej w 2023 roku biografii *Zofia Hertz. Życie na miarę Kultury*.

eprasa.pl ea67704293

Recenzje

Akcja „Wisła" jako próba etnobójstwa



Grzegorz Motyka, *Akcja Wisła '47. Komunistyczna czystka etniczna*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023

O akcji „Wisła" napisano już sporo tekstów. Sam autor recenzowanej pracy nie pierwszy raz porusza ten temat, jest uznanym badaczem dziejów podziemia ukraińskiego i relacji polsko-ukraińskich lat czterdziestych poprzedniego stulecia. Zaczął od pionierskiej pod tym względem książki *Tak było w Bieszczadach*. Wiele razy powracał do tego wątku, między innymi w *Od rzezi wołyńskiej do akcji „Wisła"*, a ostatnio jako współautor monografii *Międzynarodowe aspekty akcji „Wisła"*. Po raz pierwszy jednak tytułowa operacja stanowi główny temat i oś pracy. Czy jednak można dodać coś nowego do tak eksploatowanego tematu i czemu wraca doń po raz kolejny? Odpowiedzią na to jest deklaracja zawarta we wstępie. Dla autora akcja „Wisła" jest swojego rodzaju lustrem. Stosunek do niej mówi, kim jesteśmy, jakie mamy spojrzenie na państwo i relacje międzyludzkie – czy bliżej nam do ciasnego nacjonalizmu, czy do wartości liberalno-demokratycznych; czy nie szukamy usprawiedliwień, gdy system stalinowski represjonował nie „naszych", lecz tych „drugich". Grzegorz Motyka nie stroni od ocen moralnych, zarówno komunistów, jak i antykomunistycznej opozycji. Nadawanie moralnego wymiaru omawianym wydarzeniom wyróżnia zresztą pisarstwo tego autora od dawna.

Grzegorz Motyka ma też wiele nowego do dodania do obrazu akcji funkcjonującego w literaturze przedmiotu. Książka stanowi bowiem podsumowanie wieloletnich badań i tę wiedzę widać na każdym kroku. Swoją pracę oparł na szerokiej bazie źródłowej, przede wszystkim z zasobów Instytutu Pamięci Narodowej. Swój tekst uzupełnia licznymi cytatami z tych dokumentów, co stanowi dodatkowy walor pokazujący chociażby sposób myślenia i postrzegania rzeczywistości przez kierujących akcją.

Nie jest to jednak moim zdaniem typowa monografia naukowa samej akcji, bardziej zbiór obszernych i erudycyjnych esejów. Każdy z podrozdziałów stanowi w gruncie rzeczy osobne studium poruszające różne kwestie „okołowiślane": poprzedzającą akcję zasadzkę, w której zgi-

eprasa.pl ea67704293

nął generał Karol Świerczewski, warunki życia przesiedlonych, późniejsze deportacje, operację C-1 czy meandry komunistycznej polityki wobec Ukraińców aż do połowy lat pięćdziesiątych. Akcję „Wisła" Motyka przedstawia na tle podobnych deportacji i represji w sowieckiej Ukrainie i w republikach bałtyckich przeciwko tamtejszemu podziemiu zbrojnemu, wskazując wzajemne podobieństwo tych wydarzeń. Udowadnia, że działania polskich komunistów znakomicie wpisywały się w stalinowską politykę tego czasu. Niektóre z wątków są znane tym, którzy śledzą kolejne publikacje bądź felietony tego badacza na łamach dodatku do „Gazety Wyborczej" pt. „Ale Historia". Tu znajdziemy ich poszerzone i rozwinięte wersje.

Właściwie w każdym z poruszanych tematów, które w większości były już wielokrotnie podejmowane, Motyce udało się dodać coś nowego lub przedstawić oryginalną interpretację opisywanych wydarzeń. Za najciekawsze uznałbym przedstawienie wystąpień działaczy Polskiego Stronnictwa Ludowego, w tym samego Stanisława Mikołajczyka, na posiedzeniach Krajowej Rady Narodowej w sprawie tytułowej akcji. Autor zwrócił uwagę, że były to ostatnie słowa przywódcy ludowców na tym forum przed jego ucieczką z kraju. Podobnie jest z losem osób starych i niedołężnych przesiedlonych w ramach akcji „Wisła" czy działaniami wydzielonej ze składu GO „Wisła" grupy operacyjnej „Puchaczów" przeciwko… podziemiu polskiemu. Z pewnością niewielu czytelników wiedziało też o powtórnych przesiedleniach osiedlanych w ramach akcji „Wisła" czy o przesiedlaniu Litwinów na Suwalszczyźnie. Oczywiście w tak niewielkiej w gruncie rzeczy książce, jak na skalę omawianych tematów, nie mógł zawrzeć wszystkiego. Są więc zagadnienia z grubsza zarysowane czy jedynie muśnięte. Jednakże ostatecznie czytelnik otrzymuje naprawdę rozległy obraz akcji „Wisła" i jej konsekwencji dla społeczności ukraińskiej.

Najwięcej miejsca zajmuje tytułowa operacja. Autor koncentruje się przede wszystkim na akcji wysiedleńczej, ale omawia także pokrótce działania przeciwko podziemiu ukraińskiemu. Grzegorz Motyka przekonująco udowadnia zawartą w tytule tezę, że mieliśmy do czynienia z dokonaną przez komunistów czystką etniczną. Przesiedlano właściwie wszystkich Ukraińców, również zwolenników nowej władzy czy rodziny mieszane, przesiedlano też z terenów, na których podziemie nie operowało bądź miało znikome poparcie (np. z Łemkowszczyzny). Należy się jednak zgodzić z tezą autora, że akcja „Wisła" może być uznana za próbę etnobójstwa. Zwraca on zarazem uwagę, że działania władz dotknęły nie tylko członków tej społeczności, ale również miejscowych Polaków. Mam nadzieję, że ta argumentacja przekona przynajmniej część całkiem niemałego grona osób utwierdzonych w konieczności przeprowadzenia akcji. Przy pełnej akceptacji argumentów autora nasuwa się jednak pytanie: czy tak samo potraktowano by

eprasa.pl ea67704293

Ukraińców, gdyby nie działalność podziemia ukraińskiego, w tym liczne przypadki zbrodni podziemia ukraińskiego na cywilnych Polakach w poprzednich kilku latach? (Liczbę cywilnych ofiar podziemia ukraińskiego na terenach objętych akcją „Wisła" od momentu wyzwolenia spod okupacji niemieckiej można szacować na mniej więcej dwa tysiące, jakkolwiek od jesieni 1946 roku ginęły już tylko pojedyncze osoby). Czy rzeczywiście też celem działań władz była Polska jednolita narodowo, można również mieć wątpliwości. Ponad stutysięcznej społeczności białoruskiej, która nie zorganizowała żadnego podziemia, nie potraktowano bowiem w ten sam sposób.

Pewne niejasności budzi również kwestia początku akcji „Wisła". Z jednej strony autor stwierdza bowiem, że Grupa Operacyjna „Wisła" rozpoczęła działania już 20 kwietnia, z drugiej zaś za początek akcji „Wisła" uznaje moment rozpoczęcia wysiedlania, czyli 28 kwietnia. Ta ostatnia data funkcjonuje zresztą nieco bezwiednie w większości opracowań ostatnich lat. Zamieszanie to tłumaczyć można tym, że w żadnym dokumencie Grupy Operacyjnej „Wisła" nie ma określonego początku akcji. Niemniej uważam, że należy zań uznać wcześniejszą z tych dat – z kilku powodów, o których już szerzej pisałem w swojej monografii poświęconej akcji. Tytułem polemiki należy też zauważyć, że wpisywanie Polaków na listy przesiedleńcze z przyczyn politycznych było oddolną inicjatywą lokalnych ośrodków władzy, a nie władz centralnych, nawet jeśli kierujący akcją generał Stefan Mossor po fakcie bronił tego rodzaju działań, na przykład przesiedlenia PSL-owców z powiatu przemyskiego. Należy dodać, że jednego z tych ostatnich, posła do Krajowej Rady Narodowej Michała Głowacza, cofnięto ze stacji załadowczej na skutek interwencji szefa gabinetu ministra bezpieczeństwa publicznego (*sic!*).

W tekście wkradło się kilka uproszczeń, drobnych błędów i pomyłek, od których niewolna jest każda książka. Chociażby zainicjowane jesienią 1945 roku przymusowe przesiedlenia na ziemie sowieckiej Ukrainy objęły tylko część społeczności ukraińskiej. W niektórych przypadkach autor ogranicza się do opisu, zabrakło natomiast wyjaśnień okoliczności i przyczyn wydarzeń. Czytelnik nie dowie się choćby, dlaczego przesiedlenia w województwie lubelskim rozpoczęto od powiatu włodawskiego, skoro pierwotnie miały zacząć się od południa województwa. Przesiedlenie z powiatu biłgorajskiego rozpoczęło się już w czerwcu 1947 roku, jakkolwiek objęło wówczas tylko niektóre z miejscowości zamieszkanych przez Ukraińców. Pominięto wysiedlonych w sierpniu mieszkańców powiatu zamojskiego. Wieś Łosie w powiecie gorlickim nie była typową osadą łemkowską, gdyż mieszkańcy trudnili się maziarstwem, które pozwalało na znacznie większe dochody, niż uzyskiwała reszta Łemków. Stąd tamtejsi gospodarze mieli okazałe, nieraz piętrowe domy i mogli pozwolić sobie na zatrudnienie służby.

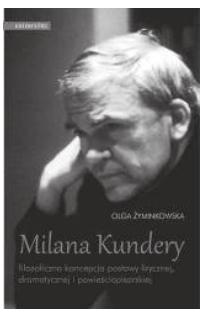
eprasa.pl ea67704293

Te drobne na ogół pomyłki nie wpływają na generalną ocenę pracy. Mamy do czynienia z ważnym dziełem ukazującym dramat całej społeczności południowo-wschodniej Polski.

Napisana przystępnym językiem książka stara się dotrzeć ze swoim przekazem do szerszego czytelnika. Taką formę, znaną zresztą z wcześniejszych książek Motyki, bliższą historiografii zachodniej, czytelnik z pewnością doceni. Czyta się ją naprawdę z zaciekawieniem.

Jan Pisuliński

Kundera liryczny



Olga Żyminkowska, *Milana Kundery filozoficzna koncepcja postawy lirycznej, dramatycznej i powieściopisarskiej*, Universitas, Kraków 2022

Kiedy piszę ten tekst, w Brnie trwają przygotowania do uroczystego otwarcia Biblioteki Milana Kundery (Knihovna Milana Kundery). W ten sposób rodzinne miasto (tu się urodził, dorastał i zdał maturę) autora *Nieznośnej lekkości bytu* uczci jego dziewięćdziesiąte czwarte urodziny. Wszystko wskazuje na to, że uroczystości odbędą się bez udziału pisarza, choć znam osoby, które ciągle mają nadzieję, że Kundera w Brnie się pojawi. Pisarz od lat siedemdziesiątych mieszka we Francji, pisze po francusku, od ponad czterdziestu lat ma francuskie obywatelstwo. Nie milkną dyskusje, czy Kundera (dla mnie intelektualista formacyjny) jest pisarzem czeskim, francuskim, czesko-francuskim, a może, jak twierdzą niektórzy, to rozróżnienie w obliczu jego talentu i niepowtarzalnego powieściowego stylu nie ma większego sensu. Po opuszczeniu Czechosłowacji urodzony w Brnie pisarz zerwał kontakt z ojczyzną, czego najdobitniejszą ilustracją było porzucenie języka czeskiego (dla Czechów język jest wyrazem patriotyzmu). Komunistyczne władze Czechosłowacji w 1979 roku po ukazaniu się francuskiego tłumaczenia nieopublikowanej wtedy jeszcze w oryginale powieści *Księga śmiechu i zapomnienia* pozbawiły go obywatelstwa, które odzyskał dopiero po zabiegach byłego czeskiego premiera Andreja Babiša w 2019 roku.

Piszę to wszystko, by pokazać, że relacje na linii Kundera–Czesi są skomplikowane. Pisarz blokuje tłumaczenie na język czeski niektórych swoich „francuskich" książek. Mieszka we Francji, niekiedy ponoć odwiedza przyjaciół w Czechach, ale zawsze *incognito*. U naszych południowych sąsiadów obserwujemy wzrost zainteresowania Kunderą, zwłaszcza w kontekście dyskusji o czechosłowackim komunizmie.

W 2020 roku ukazała się mocno krytyczna wobec czeskiego pisarza, potężna, bo niemal tysiącstronicowa biografia napisana przez Jana Nováka zatytułowana *Kundera. Český život a doba* („Kundera. Czeskie życie i czasy"), która doczekała się statusu bestsellera. Do czeskich księ-

eprasa.pl ea67704293

garń trafiło także tłumaczenie francuskiej biografii Kundery pod czeskim tytułem *Milan Kundera. Život spisovatele* („Milan Kundera. Życie pisarza), której autorem jest Jean-Dominique Brierre. W przypadku francuskiej pracy mamy do czynienia z książką przedstawiającą Kunderę w bardzo pozytywnym świetle. Co prawda, Kundera nie rozmawia zarówno z dziennikarzami, jak i ze swoimi biografistami, ale – jeżeli wierzyć informacji, która znalazła się w czeskim posłowiu książki *Milan Kundera. Życie pisarza*, sam zainteresowany przeczytał wydanie w języku francuskim i podziękował za nią w miłym liście przesłanym autorowi.

Kiedy w Czechach o Milanie Kunderze publikuje się dużo, w Polsce zdaje się on jakby nieobecny. Dlatego cieszy książka Olgi Żyminkowskiej *Milana Kundery filozoficzna koncepcja postawy lirycznej, dramatycznej i powieściopisarskiej*, która w 2022 roku ukazała się nakładem krakowskiego wydawnictwa Universitas. To niewielka, bo niewiele ponad stustronicowa publikacja o charakterze literaturoznawczym. Autorkę nie interesuje biografia pisarza, nie zajmują ją rozpalające czeskich publicystów zarzuty wobec Kundery o granice współpracy z komunistycznym reżimem. W całej książce nie ma ani słowa o jego koncepcji Europy Środkowej, bez której przez przynajmniej dwie dekady nie sposób było sobie wyobrazić żadnej debaty o naszym regionie.

Żyminkowska analizuje literacką twórczość Kundery, uwzględniając uprawiane przez niego gatunki literackie. Książkę rozpoczyna opisem liryki Kundery, który debiutował jako poeta. W tej części autorka posiłkuje się także opisem postawy Jaromila, bohatera powieści *Życie jest gdzie indziej*, który „przyszedł na świat jako poeta – owoc młodzieńczej miłości i niechcianej przez ojca ciąży, jako niepowtarzalny dowód i wynik matczynej miłości". W kolejnej części skupia się na dramacie, a w szczególności tekście *Kubuś i jego pan: Hołd w trzech aktach dla Denisa Diderota*. Całość wieńczy analiza świata powieściowego Kundery, który swoje powieściopisarstwo wyniósł do estetycznej koncepcji „sztuki powieści". „Dla tematu niniejszej pracy istotne jest postawienie hipotezy (…), iż dokonane przez niego w przeszłości zmiany form wypowiedzi – od liryki do epiki – wynikają ze swoistej autorskiej filozofii form. Porzucenie liryki na rzecz dramatu i powieści było z jego strony gestem niezwykle ważnym, stanowiło bowiem zasadniczą przemianę światopoglądową" – czytamy w książce Żyminkowskiej.

Badaczka w fascynujący sposób prowadzi nas po twórczości Kundery, którą wpisuje w ważne dyskusje współczesnej humanistyki. Jednak wychodzi też poza grube księgi – rozmawia z Markiem Bieńczykiem, polskim tłumaczem i przyjacielem pisarza, udaje się jej dotrzeć do tekstu sztuki wystawianej kilkadziesiąt lat temu na deskach teatru w Gnieźnie i Toruniu.

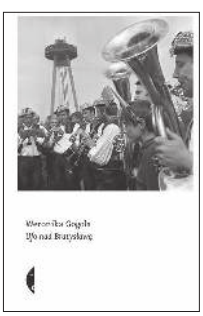
Olga Żyminkowska to młoda i utytułowana już badaczka, która w czasie publikacji opisywanej książki była dwudziestotrzyletnią studentką filozofii. Z jednej

eprasa.pl ea67704293

strony z podziwem, o czym wspominałem już wcześniej, czytałem, jak bez kompleksów zestawia twórczość Milana Kundery z tuzami współczesnej humanistyki. Z dala od wielokrotnie już przemielonych tropów Europy Środkowej czy czechosłowackiej historii XX wieku. Z drugiej strony nie obyło się bez potknięć, na przykład kiedy wiersz Kundery cytowany jest w oryginale i podawany bez polskiego tłumaczenia (za to otrzymujemy jego przekład na język angielski, który akurat udało się autorce znaleźć). Bohemista Jan Čulík w tekście Żyminkowskiej staje się Janem Culikiem, a w przypisach bogato cytowana jest książka Jacka Illga *W kręgu powieści Milana Kundery*, która jest pokłosiem splagiatowanego doktoratu o Kunderze.

Łukasz Grzesiczak

Szukając słowackiego króla



Weronika Gogola,
Ufo nad Bratysławą
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021

Pod płaszczykiem lekkiej i zabawnej opowieści snutej przez polską powieściopisarkę, która mieszka w słowackiej stolicy, dostajemy ciekawą i poważną historię sąsiadującego z nami państwa. Chodzi o pięciomilionową Słowację, która dla większości Polaków jest krajem tranzytowym, ewentualnie tanią bazą narciarską w zimie.

Na początku czytelnik otrzymuje dość obszerny rozdział o tym, jak i dlaczego ukrainistka Weronika Gogola znalazła się w Bratysławie. Nie ma wątpliwości, że *Ufo nad Bratysławą* będzie autorskim, mocno subiektywnym i zanurzonym w osobistej narracji wyborem wątków i tematów, które zajmują autorkę *Po trochu*.

Zaraz po anegdotycznej opowieści o poszukiwaniu słowackiego króla wracamy (w jednym rozdziale) do czasów Vladimíra Mečiara, którego łagodna dyktatura wizualnie rozpina się gdzieś pomiędzy wizytą Claudii Schiffer i występem z ciupagami. Gogola bardzo celnie opisała zaopiekowanie się przez Mečiara (a później przez premiera Roberta Fica) „babkami demokratkami", sierotami po Czechosłowacji, odpowiednikami naszych „moherów": ktoś o nich pamiętał, pozdrowił noworocznie i serdecznie, rozdał róże na jednym z wieców.

Jednak korupcja i zapaść słowackiej służby zdrowia nie dają łatwo o sobie zapomnieć. Sfrustrowani rolnicy ze wschodu kraju pod wodzą Patrika Magdoški próbują zwrócić na siebie uwagę, rozrzucając gnój pod Ministerstwem Rolnictwa (bo jak powiedział były premier Fico, „na wschodzie nic nie ma"). Migranci ze wschodu Słowacji czują się w Bratysławie jak Ukraińcy czy Serbowie, ale po pewnym czasie wtapiają się w miasto, kupują mieszkania i zaczynają chodzić na squasha. Poczucie humoru Gogoli pozwala eksponować takie wątki, jak wieszanie w salonach nowej klasy średniej zdjęć z opuszczonych fabryk (nazwa

eprasa.pl ea67704293

projektu: Czarne Dziury). Bardzo ciekawy rozdział o liderach partii Mamy Dość! kończy się gorzką konstatacją autorki: oligarchowie wiedzą już, że bunty chłopskie należy gasić w zarodku.

Do niedawna lasy stanowiły około 40 procent powierzchni kraju, plasując Słowację (pod względem zalesienia) w pierwszej trójce państw europejskich, obok Szwecji i Finlandii. Dziś jest ich wyraźnie mniej, a jako oficjalną przyczynę podaje się plagę kornika i niebezpieczną suszę (czy nam to czegoś nie przypomina?). Nieoficjalnie mówi się, że ogromne połacie lasów państwowych zostały po cichu sprywatyzowane, poza terenami parków narodowych, a ludzie, którzy nimi zarządzają, tkwią na stanowiskach od ponad pół wieku. Wzburzenie miejscowych wielbicieli Połonin i turystów, którzy wręcz zauważyli już zmiany w krajobrazie, jest traktowane jako „egzaltowany ekoterror".

„Co się robi z tymi koralikami?" To o różańcu. O słabym oddziaływaniu katolickiego uniwersum wśród młodszych Słowaków pisze autorka z właściwym sobie poczuciem humoru: „Na zachodzie kraju, gdzie mieszkam obecnie, większość moich znajomych pochodzi z rodzin niewierzących, a katolicką obrzędowość pamięta mętnie, z wakacji spędzanych u babci na wsi.

– Oni mają te fajne pędzelki na wino.
– Kto?
– No u mojej babki w kościele.
– To twoja rodzina jest greko?
– Nie wiem, chyba tak.

Ten czysty i niezakłamany brak wiedzy na tematy religijne szybko mnie zachwycił. Zwłaszcza że uwolnienie się spod hegemonii Kościoła było jedną z głównych przyczyn, które przywiodły mnie na Słowację.

„Postawisz mi maj?" – pyta autorka swojego ukochanego. Maje to pnie brzozowe z girlandą kolorowych kwiatów, Polakom przypominałyby może wielkanocne palmy. Ale folklor słowacki występuje raczej w wydaniu rodem z zespołów pieśni i tańca niż w wersji progresywnej w typie naszej Kapeli ze Wsi Warszawa. Odkąd Mečiar pokazał się z ciupagami i Claudią Schiffer, słowaccy decydenci uznali, że to będzie najlepszy – i jedyny – sposób łączenia starego z nowym. Może boją się dekonstruować słowacki folklor, bo się rozpadnie, a wtedy sami znikną, zastanawia się autorka.

Poszukiwanie słowackiego króla nie kończy się sukcesem. Słowakom bardziej pasuje zbójnik Janosik jako narodowy bohater i główny mitotwórca (a także złodziej, jak podkreśla Gogola). Co ciekawe, nasz polski serial nigdy nie dotarł na Słowację, zresztą oni mają swoje ekranizacje. Przez wieki młodzi Słowacy byli potrzebni Węgrom jako mięso armatnie, więc wszystkie antypańskie wystąpienia i powstania chłopskie mają też rys narodowy. Poczucie krzywdy i ucisku trudno wymazać z historii tego kraju i z serc jego mieszkańców. Ale też słowaccy zbójnicy i pasterze za łatwo rezygnują z dziedzictwa mieszczańskiego i rzemieślniczego, jakby ono całe zostało po czeskiej stronie.

eprasa.pl ea67704293

„Jesteśmy w stanie podporządkować się nawet roślinom" – mówi o naturze Słowaków jedna z rozmówczyń Weroniki Gogoli. Także podczas protestów po zabójstwie dziennikarza śledczego Jána Kuciaka i jego narzeczonej Martiny Kušnirovej swoje cele planowali „wystać", wydemonstrować, ale bez przemocy. Ten pokojowy ruch położył podwaliny pod prezydenturę Zuzany Čaputovej (osobne podziękowania należą się Robertowi Mistríkowi, który zrezygnował z kandydowania, żeby nie dzielić opozycji) i pozwolił mieć nadzieję na progresywny zwrot w kraju.

Rozdziały o polityce autorka zgrabnie przeplata lekkimi opowieściami o… konkursie w kopaniu grobów na czas i pomysłach na wysyłanie prochów nieboszczyków w kosmos. Można wyczuć, że polska powieściopisarka dobrze się czuje w swojej przybranej matczyźnie, że odnalazła tam spokój, słowackie *slow life*, dobre wino i schronienie przed dominującym w Polsce katolicyzmem. Jej sposób pisania na pewno nie stanowi bariery poznawczej, nawet na tle tytułów z „białej serii" Czarnego *Ufo nad Bratysławą* wyróżnia się żartobliwym i przystępnym stylem, a czytelnik bez wysiłku pochłania informacje o naszych najbliższych sąsiadach.

Magdalena Moskal

eprasa.pl ea67704293